

**BOILEAU-
-NARCEJAC**

NIETYKALNI



**BOILEAU-
-NARCEJAC
NIETYKALNI**

Przekład:
Marek Binniecki

Krajowa Agencja Wydawnicza
Katowice 1992

Tytuł oryginału: *Les intouchables*

ISBN 83-03-03563-0

© Copyright by Editions Denoel, 1980

© Copyright for the Polish edition by Krajowa Agencja Wydawnicza, Katowice 1992

Opracowanie graficzne

Renata Pacyna

Redakcja

Renata Zarębska

Redakcja techniczna

Iwona Szoska

Korekta

Renata Kempaska

Krajowa Agencja Wydawnicza

Katowice 1992

Wydanie I

Ark, wyd. 7,5. Ark, druk. 8,25

Skład: Zakłady Graficzne Katowice

Druk i oprawa:

Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza

Zam, nr 1633/K-92

Drogi przyjacielu!

Zatem udało się panu mnie odnaleźć. Dzięki Opatrzności – powiada pan. Być może. Niechże pan jednak nie sądzi, iż zamierzałem ukrywać się w Paryżu. Nie. Chciałem po prostu zagubić się w tłumie, zniknąć, by zacząć życie od nowa. Świadomie zerwałem wszelkie więzy. Niewątpliwie powinienem był podzielić się wątpliwościami z panem – przez wiele lat moim duchowym ojcem – ale z góry odgadywałem pańskie odpowiedzi. I uważałem je za niewystarczające. Już dostatecznie byłem zraniony, by jeszcze pogłębiać rozpacz bolesną sceną, która nieuchronnie nastawiłaby nas przeciwko sobie. Wolałem odejść ukradkiem, jakbym uciekał. Widzi pan, byłbym rad, gdyby Opatrzność jak pan to mówi – nie mieszała się w moje sprawy. Proszę mi wybaczyć tę szczyptę urazy. Niech pan będzie spokojny; skierowana jest przeciw mnie samemu. Uraza to zło nękające ludzi, którym nie było dane dostąpić łaski schizofrenii. Istnieje we mnie, pomimo wstrząsów, które sobie zadaję, jakaś opierająca się upadkowi ściana. Pański list pochylił nieco bardziej ową chwiejną budowlę. Teraz już nic nie wiem; czuję jednocześnie radość i gniew. Lecz mimo wszystko sądzę, iż radość bierze górę.

Nie zrobił pan błędu, jakim byłoby wybaczenie mi. Uznałbym je za zniewagę. Otwarł pan przede mną ramiona, więc być może opowiem o sobie, skoro, jak pan utrzymuje, jest w stanie mnie zrozumieć. Nie ulega wątpliwości, iż minęło dziesięć lat. Dziesięć lat; wystarczająco długo, by potępienie zmieniło się w ciekawość. Ponieważ jeden z pańskich przyjaciół minął mnie na ulicy, kiedy wracałem do domu, i nie omieszkał wspomnieć panu o owym spotkaniu, być może jest to coś więcej niż szczęśliwy przypadek. Widzę w tym jeszcze niejasną oznakę zmiany, mogącej uczynić me życie znośniejszym. Tak bardzo chciałbym się czasem przed kimś otworzyć!

Opowiem panu wszystko, jakbym upuszczał z siebie krew. Mam dużo czasu, niestety, ponieważ od kilku miesięcy pozostaję bez pracy. Dziś pragnę pani jedynie podziękować. Nie jestem winny i czuję wzruszenie, kiedy twierdzi tak druga osoba. Raz jeszcze dziękuję.

Z całego serca
Jean-Marie Quéré

Drogi przyjacielu!

Odczekałem cztery dni. Aby odzyskać spokój umysłu. Aby mówić o sobie bezstronnie, jeśli to w ogóle możliwe. W każdym razie bez schlebiania, a zwłaszcza bez pięknych słówek. Tak, straciłem wiarę. To stało się nagle. Zdarzają się słynne przypadki nawróceń czy iluminacji, które przypominają miłość od pierwszego wejrzenia. Zdarzają się również nagle utonięcia. W sekundzie znika horyzont. Pełna blasku prawda staje się rozpaczliwym przekonaniem. Widać już tylko lewą stronę wszystkiego; co więcej, odkrywamy, iż nigdy nie było prawej. To przydarzyło mi się pewnego niedzielnego wieczoru... Mógłbym podać dokładną datę i godzinę, tak żywe pozostaje we mnie owo wspomnienie. Oglądałem program o życiu zwierząt. Miałem za sobą męczący dzień i nieuważnie śledziłem ruchy taplającego się w błotnistej kałuży hipopotama, gdy nagle kamera uchwyciła małe stado zebr skubiących trawę nad wodą.

Uwielbiam zebry za ich łagodność i żywotność. Mają w sobie coś pulchnego, pyzatego i filuternego, co przywodzi na myśl dzieciństwo. Zrywały pęki trawy, podnosiły łby, nastawiały ucha na krążące w powietrzu odgłosy i uspokojone wracały do jedzenia. Nie zauważyły, przyczajonej za krzakiem lwicy.

Wciąż widzę tę sprężoną do skoku bestię. Wszystko wyrażało w niej zbrodnię. Mordercza namiętność wprawiała mięśnie w drganie, a ślepie niczym sagaje zadawały śmierć. Nagle spłoszone zebry zaczęły zwawo umykać. Lwica na ukos rzuciła się za nimi w pościg, rychło oddzielając jedną zebra od niknącego już w tumanach kurzu stada, i wiedziałem, że dokonana zostanie zbrodnia.

Wielokrotnie widziałem już podobne sceny i nie wprawiało mnie to w zbyte

podniecenie. Owego jednak wieczoru, zdjęty zgrozą, przyglądałem się walce. Lwica z impetem wczepiła się pazurami w zad ofiary. Powaliła zebłą na ziemię, szukając gardła. Z rozkoszy rzeziła chrapliwie. Kamera krążyła wokół splecionych bezładnie zwierząt. Wówczas w zbliżeniu ukazała łeb zebry; zabawny pędzelek jasnej sierści między uszami, a nade wszystko, ach! nade wszystko ślepia odbijające niebo, pod którym krążyły już sępy, i trzepoczące po raz ostatni długie rzęsy. A potem wierzgająca noga rozluźniała się powoli. Był to już tylko dobry kąsek do zjedzenia. Jednym uderzeniem lwica obróciła ciało, na którym krwawe pręgi mieszały się z zadrapaniami, i zręcznym szarpnięciem kłów otworzyła ciepły brzuch. Orgazm wykręcił jej lędźwia.

Z bijącym sercem starałem się zrozumieć, co czuję; wstręt, zgrozę, bunt jakże panu wytłumaczyć... Niemożliwe... Powiedziałem „nie”...

Myśli pan być może, iż ogarnęło mnie krótkotrwałe przygnębienie i że agonia zebry nie jest w stanie zburzyć całej metafizyki. Jakbym pana słyszał: „To człowiek sprowadził na ziemię zło. Świat przed człowiekiem był samą niewinnością, itd”. Ale myśliciele nigdy nie chcieli przyjąć do wiadomości, że przyjemność zabijania tkwi głęboko w zwierzęcej naturze. Oto co odkrywałem w nagłym przeblasku świadomości. Te pazury, siekacze, dzioby, kły, świdry – ileż instrumentów tortur! Zadają cierpienie, nim spowodują śmierć. I cierpienie ofiary sprawia radość napastnikowi. Właśnie to ujrzałem. Gasnące oczy, patrzące na ukochane rzeczy: sawannę, niebo, wiatr szumiący w trawie... Czemu? Czemu koniec wszystkiego?

Jeżeli Bóg istnieje, jeżeli jest wszędzie, nie może nie słyszeć chrzęstu miażdżonych kości, który od jednego do drugiego końca tej krwawej planety wypełnia ciszę dni i nocy. Jedząca planeta. Odrażająca radość zaspokajanego głodu. Zwycięstwo drapieżników jako przygotowanie i zapowiedź wygranej człowieka. Począwszy od ameby a skończywszy na policjancie nikt nie jest niewinny. Utwierdziłem się w tym przekonaniu. Nie pragnę już nawet dyskutować, ponieważ walczyłem, jak pan się pewno domyśla. Ze wszystkich stron rozważałem ów problem cierpienia. Ale nieustannie miałem przed oczyma błędne ślepia duszonego zwierzęcia.

Przywidzenie? Niech będzie! Być może od dawna już dojrzywałem, by doznać owego „kontrobjawienia” i pozwolić mu sobą zawładnąć. Ale słusznie czy nie czułem się zobowiązany dostosowywać czyny do moich przekonań. Aby pozostać w zgodzie z

sumieniem, nie mogłem już wierzyć. Czymże była – zapytuję pana – nieskończona dobroć, od początków świata zezwalająca na panoszenie się zbrodni? Aż do żałobnego wzgórza Golgoty? Raz jeszcze powtarzam – nie twierdzę, że mam rację. Twierdzę jedynie, iż otworzyły mi się oczy, i że rozumiałem... lecz rezygnuję z przekazania panu doświadczenia, które doszczętnie mnie wypaliło.

Poczułem, że muszę się ukryć, zatopić w anonimowym tłumie. Wyjechałem, nikogo nie uprzedzając. Przybyłem do Paryża. Paryż to samotność w zgiełku. Łatwo się tam zgubić. Ja się zgubiłem. Udało mi się zapodziać tę bezpańską wiarę, która przylgnęła do mnie jak zbłąkany pies. Nareszcie poczułem się wolny.

Nie może pan sobie wyobrazić, czym staje się wolność, kiedy wszystko jest dozwolone. Ponieważ nie ma już nakazów, jedynym prawem pozostaje żądza. Tym razem naprawdę znajdowałem się w dżungli. Mogłem zupełnie bezkarnie zaspokajać pożądanie. Niestety, nie należę do ludzi namiętnych. Poza tym pragnienie bez pieniędzy jest tylko skurczem imagacji. Byłem biedny, co oznaczało, iż stoję po stronie zabijanych, a nie zjadaczy. Ostatecznie nie było to dla mnie przykre. Wyszukałem małe, umeblowane mieszkanie w Dzielnicy Łacińskiej. Kosztowało naturalnie moc pieniędzy. Restauracja do reszty rujnowała moje finanse. Wszyscy mnie wyzyskiwali. Ale przechadzając się przed niejedną księgarnią czy antykwariatem, mogłem sobie powiedzieć – w pewnym sensie wszystko należy do mnie.

Jest to ulubione powiedzenie nędzarzy; w pewnym sensie! Pomiędzy nimi a dobrami materialnymi wyrasta witryna. Ich ręce nie mają prawa dotykać, ale oczy mają prawo szperać. I to „w pewnym sensie” stanowi sposób na posiadanie. Mój sposób. Tysiące rzeczy kupowałem w myślach, fundowałem sobie tysiące przyjemności, choć z góry znałem ich znikomą wartość. Tak gromadziłem, nie popadając we frustrację. Wszystko mnie pociągało i nie zależało mi na niczym. Nie byłem ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy. Pozostawałem przy życiu, zagubiony intruz.

Ale muszę teraz opowiedzieć o Marceau Langlois. Nazwisko mówi coś panu? Tak, Marceau Langlois, czyż to nie autor...? To rzeczywiście on. Niemordowany autor 150 czarnych powieści, 80 powieści erotycznych, setki romansów; brał się za wszystko, co przynosiło zyski. Mówię o nim w czasie przeszłym, ponieważ zmarł niedawno. Zresztą dlatego jestem bezrobotny. Tak, przez wiele lat byłem jego sekretarzem. Może to

się panu wydać niebywałe, by nie rzec nawet przerażające. Ale w imię czego, pytam pana, miałbym pogardzić ową posadą? Proszę sobie przypomnieć, że odrzucam wszelkie zakazy. A zresztą, Langlois nie był złym człowiekiem. Przyznaję, miał w sobie coś z sutenera. Nigdy nie wetknął pan nosa w tę cuchnącą literaturę, nie wie pan więc, jak się ją przyrządza. A ja wiem. Nauczyła mnie żargonu, tysiący nie znanych mi rzeczy o seksie, gwałcie, przestępczości. Uodporniła na nieszczęścia ciała i duszy. Pozwoliła zrozumieć, do jakiego stopnia jest głupia, i za to czuję do niej wdzięczność.

Langlois urodził się spryciarzem. Jako dziennikarz był zbyt wielkim tchórzem, by zostać wysłannikiem specjalnym, zbyt mało wykształcony, by prowadzić kronikę literacką, zbyt przezorny, by pisywać artykuły polityczne. Pozostawała mu gastronomia. Wspecjalizował się w tej dziedzinie, co dawało mu sporo wolnego czasu. Wykorzystał go do napisania pierwszej czarnej powieści o narkotykach, która odniosła znaczący sukces. Ponownie wkroczył na złą drogę, rzucając wkrótce dziennikarstwo, by poświęcić się produkcji skandali, i niebawem osiągnął w niej mistrzostwo. Potrzebował wokół siebie małego „brain trust”. (Nie znał angielskiego, lubił jednak ssać jak cukierki słowa odnoszące się do biznesu.) Zostałem przyjęty najzupełniej przypadkowo, niemal wyłącznie dzięki mojemu wyglądowi, który zawsze był godny i nieśmiały. Potrzebował sekretarza, który byłby szybki, skuteczny, a nade wszystko nie rzucający się w oczy. Przypadłem mu do gustu dzięki dwóm latom studiów i mojemu czarnemu, nieco wytartemu garniturowi. Nie wymagał ode mnie żadnych referencji, a ja nie uważałem za stosowne wyjaśniać mu, co sprowadziło mnie do Paryża.

Za 4000 franków miesięcznie miałem prawo pozostania w jego cieniu, odpowiadania na ogromną korespondencję. Trudno panu to sobie wyobrazić! Kazał mówić do siebie: „mistrzu”, przeświadczony, iż jest wielkim pisarzem, bo sprzedaje całe tony papieru. Bezustannie, niemal wszędzie wysyłałem jego zdjęcia z dedykacją. Od czasu do czasu wchodził do biura i pochylał się nade mną z cygarem, które przypalało mi ucho. Czytał redagowany przeze mnie list, klepał przyjaźnie po plecach.

„Bardzo dobrze, Jean-Marie, jest pan obdarzony darem sztuki epistolarnej”. Lubiał mówić do mnie Jean-Marie. „To trochę głupie – powiedział mi na początku – ale brzmi przyzwoicie”. Zastępowałem go; przyjmowałem gości – zwłaszcza kobiety – których

nie chciał oglądać. Widziałem defilującą zgraję, o której nie może pan mieć najmniejszego pojęcia. Różowe powieści, podpisywane Jean de Fréneuse, przyciągały do niego mnóstwo podstarzałych kobiet z książką w ręku, jakby prosiły o jałmużnę. Założmy, iż przesadzam nieco, bowiem zawsze bawiła mnie postać Marceau, aie szczerze mówiąc, często krzyżował moje plany, bo musiałem zostawać do siódmej, ósmej wieczorem, żeby załatwić zaległą korespondencję. Nie przyszłoby mu do głowy wypłacić mi najmniejszej gratyfikacji. Chociaż nie. Zawsze wręczał mi swe najświeższe dzieło, które zwał raz: „Koniec z pieskim życiem”, to znowu – „Dziewicze serce”. A co najgorsze, byłem zmuszony je czytać, ponieważ pytał: „No i jak, mój mały Jean-Marie, co sądzi pan o mojej książce?” „Widać, że poddał pan ją wszechstronnej obserwacji.” „Oto właściwe słowo. Kiedy pan zacznie pisać – co z pewnością nastąpi któregoś dnia – proszę pamiętać; cały sekret tkwi w obserwacji.”

Niekiedy zabierał mnie swoim bentleyem na spotkanie w interesach. Nie po to, abym uświetniał bankiet; miałem starannie rejestrować w pamięci bardzo swobodnie wymieniane w biesiadnej euforii zdania. Notowałem je po powrocie. Marceau czytał z uwagą, mrużąc pod nosem: „Figlarze!... Za kogo mnie biorą?!”

Potem słyszałem, jak dzwonił. „Ależ drogi przyjacielu, powiedział mi pan, że... Właśnie to pan powiedział... Ach, skoro tak, zgoda. Jest pan usprawiedliwiony. Każdy może popełnić błąd!”

Powolutku uczyłem się życia, tego prawdziwego. Przypominałem sobie wszystkie wersety Pisma Świętego, w których mowa jest o niegodziwych bogaczach, rozpustnikach, łotrach, prostytutkach. A ja oglądałem łajdaków z bliska, co jest zupełnie czymś innym. Przekonałem się, że kanalia z dobrymi manierami pozostanie kanalią. Jedno zdanie Renana często przychodziło mi do głowy: „Możliwe, iż prawda jest przygnębiająca”.

Wiele zawdzięczam biednemu Marceau. Zmarł na zawał z kieliszkiem szampana w ręku niczym bohater „Nie należy się mylić, glino”. Na jego pogrzebie – religijnym, jak należy, obecny był tłum towarzyszący zwykle zmarłym osobistościom, nie wspominając kilku byłych kochanek z odpowiednio skupionymi twarzami.

Kiedy otwarto testament, okazało się, iż arcybogaty Marceau Langlois nie zostawił mi ani grosza. Co więcej, znalazłem się w sytuacji dalekiej od jasności. Sekretarz niezującego pisarza, kimże w istocie byłem? Zwolnionym pracownikiem czy

zdymisjonowanym urzędnikiem? Gdyby Helena nie podtrzymała mnie na duchu, nie wiem, co by się ze mną stało. Helena jest moją żoną. Ożeniłem się w ubiegłym roku. O tym opowiem panu później. Na razie... ale po cóż miałbym pana zanudzać opisem ciągłych wędrówek od biura do biura?

Pan żyje sobie bezpiecznie. Och! To nie zarzut! Widzi pan, świat bezrobocia jest zupełnie innym światem, nie ma nic wspólnego z pańską codziennością. Nie jest to świat ubóstwa. To świat, z którego wyparowało uczucie solidarności. Świat papierzysk, raportów, druków do wypełnienia, urzędowych dokumentów do przedłożenia. To duszenie się w oczekiwaniu, dreptaniu przed okienkami z pustą głową i drzeniem w nogach. Kolejka po podpis – uderzenie zderzaków! Kolejka po dokument w trzech egzemplarzach. Kolejka po... Ale dość tego – rezygnuję. Pańskie punkty odniesienia nie są już moimi...

Na przykład mógłby pan pomyśleć o mnie: zgorzkniały albo upokorzony. Otóż nie! Zmieniając nieco sens powiedziałbym, że jestem jakby otepiały. Nie widzę bowiem, w jaki sposób sytuacja mogłaby ulec zmianie. Nic nie potrafię, w każdym razie nic, co szybko przyniosłoby pieniądze. Nie nadaję się do pracy fizycznej. Nie jestem tak wykształcony, by przyjęto mnie do administracji. Cyfry napawają mnie wstrętem. Nie mam najmniejszego pojęcia o prawie. A więc?...

A więc żyję w zwolnionym tempie, skazany na los bez przyszłości – jak małż. Pobieram 40 procent mojego maksymalnego wynagrodzenia. Nie, nie czuję się na siłach tłumaczyć panu, co to dokładnie oznacza. Następnie, przez 274 dni będę już pobierał jedynie 35 procent plusienne diety (tylko przez pierwsze trzy miesiące), plus urlopy płatne w wysokości jednej dwunastej uposażenia. Mam przynajmniej wrażenie, że się nie mylę. Koniec końców pobieram płacę nie wystarczającą, wszelako nie śmieszną. Jestem niczym człowiek, który wpadł do wody; nieustannie bliski zatonięcia, lecz zdolny jeszcze oddychać, pod warunkiem że nie ma fal.

Na szczęście jest Helena. Ale o tym jutro. Kręci mi się w głowie od tych wszystkich nachodzących mnie myśli. Piszę do pana w kawiarni. Filizanka, marmurowy stolik; to rzeczy trwałe i realne. Od śmierci Marceau Langlois cierpię na zaburzenia poczucia rzeczywistości, że się tak wyrażę. Mam wrażenie, że to wszystko dzieje się w złym śnie, że się obudzę i usłyszę, jak niegdyś, dzwoniący na ratuszu zegar. Lecz

zarygłowałem drzwi do niedydysiejszych czasów. Pozostaje codzienna monotonia.

Z całego serca pozdrawiam

Jean-Marie

Drogi przyjacielu!

Ostatni list wysłałem prawdopodobnie piętnastego. Chciałem kontynuować opowiadanie z początkowym zapałem. Jeszcze jedno słowo do wykreślenia z mojego słownictwa. Wszystko, co wiąże się z pojęciem projektu lub życiowego porywu, jest kłamstwem. A tak naprawdę włączyłem się, traciłem czas na przeglądaniu gazet w poszukiwaniu nieprawdopodobnej oferty zatrudnienia. Uzbrojony w czerwony ołówek zakreślałam ramkami niektóre ogłoszenia, rozważam, oceniam, kalkuluję. Mgliste myśli, niepewne nadzieje. Dryfuję od jednego do drugiego obrazu, od jednego do drugiego papierosa, ponieważ od kiedy nie pracuję, zacząłem palić. Idę na jakieś zakupy i spostrzegam, że minęła jedenasta. Przed wyjściem Helena przykazała mi ugotować ziemniaki i podgrzać... już nie wiem... jakieś mięso; mam to zaznaczone w spisie, który zostawia mi każdego ranka.

No dobrze, niech będzie. Opowiem panu o niej. Będę pisał godzinę, popijając od czasu do czasu mały łyk kawy z mlekiem. Właściciel bistra nie może powstrzymać się od spoglądania na mnie. Sądzi, że piszę powieść. Kiedy przechodzi obok mnie, szepce porozumiewawczo: „W porządku, panie Quéré?” I kiwa głową, jak ktoś dobrze znający twórcze męki pisarzy.

Helena! Urodziła się w Palluau, sercu krainy szuanów. Ja pochodzę z Pontivy, jak panu wiadomo. Bretończyk i mieszkanka Wandei! Wszystko nas zbliżało. A jednak bardzo długo pozostawaliśmy jedynie sąsiadami z tego samego piętra. Zajmowała pokój naprzeciwko mojego. Spotykałem ją rzadko. Rano wychodziła przede mną. Wieczorem wracałem później od niej. Czasami spostrzegałem ją w salonie fryzjerskim, gdzie pracuje, albo kiedy wychodziła na mszę w niedzielę. Gdybym nie zapadł na bardzo poważne zapalenie oskrzeli, które na trzy tygodnie przygwoździło mnie do łóżka, być może na zawsze pozostalibyśmy dla siebie obcymi ludźmi. Ale słyszała, jak kaszlę

w nocy. Dozorczyzna powiedziała jej, że jestem chory i nikt się mną nie zajmuje. Helena ofiarowała mi pomoc, uprzejmie i stanowczo, dziwiąc się moim skrępowaniem jak wiejska dziewczyna, która nim wystarała się o posadę, pielęgnowała całą czeredę braci i sióstr. „No już! Niech pan się odwróci! Ależ nie, okład nie jest za gorący!... Jaki z pana delikatesik. Proszę to trzymać co najmniej przez kwadrans. Tylko bez oszukiwania!”

Poza matką nie znalazłem innych kobiet. Te spotykane u Marceau, wypacykowane jak totemy czy też złachmanione jak Cyganki, budziły we mnie jedynie szyderczą niechęć. Helena była naturalnością, zdrowiem, dłońią, która uspokaja i leczy. Wpadałem w zachwyty, gdy wchodziła do pokoju. W mgnieniu oka został poskromiony zamęt mej kawalerskiej doli. Życie płynęło przyjemnie. A ja pragnąłem tylko poddawać się jego biegowi.

Spotkała pewnego dnia Marceau, który przyszedł dowiedzieć się, co u mnie słychać. Tak naprawdę, chciał wysondować, czy będę w stanie rychło wrócić do biura. Jako że nigdy nie chorował, gdy ktoś z jego otoczenia zapadał na zdrowiu, nazywał go chuchrem albo dekownikiem. Było to, pan wybacz, jego ulubione wyrażenie. Helena uległa urokowi Marceau. Podobnie jak ja, należy biedaczka do tych, których fortuna onieśmiela. A poza tym, bardzo podziwiała Jana de Fréneuse. Ledwie wyszedł, zabrałem się z furią do niszczenia faceta i niewiele brakowało, bym jej nie rozgniewał. Zrozumiałem w tym momencie, że jestem zakochany.

Tak, w ten sposób wszystko się zaczęło. Zakochałem się pośród gderliwości i wyzwisk. Jakaż była niemądra ze swoim Fréneuse. Cóż za głupia gęś! Zapragnąłem jak najszybciej zmienić jej gust. Pożyczyłem kilka książek, które ją znudziły. Z mojej winy nasze kontakty stawały się coraz rzadsze. Nie mogłem sobie wybaczyć, że pociągała mnie do tego stopnia. Trwałem w głębokim przekonaniu, iż życie nie ma sensu i jest tylko fantasmagorią atomów! A więc miłość, co proszę?... Oszustwo instynktu, nic więcej!

Jednakże starałem się wchodzić Helenie w drogę, by zamienić z nią słowo, uśmiech. Potem obrzucałem się najgorszymi wyzwiskami, co było łatwe, jako że Marceau w napadach złości dysponował niewyczerpanym zasobem epitetów, z których kilka do mnie pasowało.

Parę tygodni później zachorowała z kolei Helena. Wykonuje zawód ogromnie

męczący dla nóg, o czym rzecz jasna nie wiedziałem. Stojąc całe dni fryzjerki, jak się zdaje, często nabawiają się zylaków. Zmuszona do leżenia przyjęła moją pomoc i odkryłem inną Helenę; nie mogącą się stroić, ukrywać za pewną siebie elegancją. Cierpiała z tego powodu. „Niech pan nie patrzy” mówiła. A ja, wzruszony, właśnie patrzyłem na nią – prawdziwą Helenę. Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć. Była młodą dziewczyną, która mnie pielęgnowała, przychodziła do mnie starannie uczesana, pachnąca perfumami i którą często pragnąłem wziąć w ramiona. Była... Jakby to powiedzieć? Heleną-miłością. A teraz miałem przed sobą Helenę-czułość, Helenę cierpiącą, która wsparta na poduszce zgadza się, by ją podnieść, która drżącym nieco głosem szepce: „Dziękuję”. O ileż czułość była dla mnie łaskawsza od miłości.

Szczerze mówiąc, miłość zawsze przerażała mnie. Opowiadałem panu historię o zagryzanej zebrze, która spowodowała u mnie taki szok. Mam wrażenie, iż również w miłości popełnia się morderstwo; z tą różnicą, że nie bardzo wiadomo, kto jest ofiarą. Posunę się nawet do stwierdzenia, że seks napełnia mnie wstrętem. Owo prymitywne znamię, które natura pozostawiła nam w dole brzucha, czyż nie stanowi ono dowodu bestialstwa? Tymczasem czułość jest łagodnością, zaufaniem, krótko mówiąc, streszczeniem czy raczej kondensacją wszystkich cnót, których nigdy nie posiadę, ale które zawsze będę szanował.

Zaufanie? Błyszcząco w jej oczach. Czy powiedziałem panu, że ma błękitne oczy, „ofiarujące” w pewnym sensie, podczas gdy oczy czarne, takie jak moje, stworzone są do pełnych rezerwy spojrzeń. Nie rozpieszczą jej życie, jak mi się zwierzyła. Trzech braci. Pięć siostr. Gospodarstwo zbyt małe, by wyżywić całą rodzinę. Wczesna emigracja do miasta. Najpierw Nantes. Potem Paryż. Co do mnie, byłem znacznie bardziej powściągliwy, ponieważ jestem, jak to się mówi, z natury skryty. A poza tym, widząc, jaka jest wierząca bez ustępstw – na sposób mieszkańców Wandeï – nie chciałem, by wiedziała o moich konfliktach sumienia. Wiara szuanów sięga znacznie głębiej niż karbonariusza.

Pokrótko opowiedziałem jej o mojej rodzinie, ojcu rejencie. Dałem do zrozumienia, iż pomiędzy rodziną a mną nie wszystko układa się najlepiej. W sumie próby zbliżenia nie trwały długo. Potrzebowaliśmy siebie nawzajem. Zgodziła się mnie poślubić, wszelako pod jednym warunkiem: weźmie ślub ubrana na biało, w kościele.

Niewiele brakowało, by ów warunek wszystko zniszczył. Wytłumaczyłem jej,

że jestem ateistą i nie mogę oszukiwać. Prawdę mówiąc, odgrywałem przed nią komedię niewierzącego, który pełen dobrej woli chciałby uwierzyć, ale nie spłynęła nań łaska. Później – być może. W każdym razie pozostawię jej pełną swobodę praktykowania. Kto wie, możliwe iż z czasem pójdę za jej przykładem.

Przysięgam, że działałem w dobrej wierze. Nie ma we mnie ani odrobiny fanatyzmu. W niczym nie przypominam wojujących wolnomyślicieli. Helena wierzyła żarliwie. Niech będzie. Powiem nawet, że nie było to dla mnie przykre. Czułem się jak zdrewniały z zimna podróżny szukający ciepła. W stanie duchowego spustoszenia, w jakim się znajdowałem, miłość Heleny dawała mi niespodziewaną szansę. Wzięliśmy ślub w Paryżu. Marceau przysłał mi z Londynu telegram gratulacyjny, do którego dołączył obietnicę podwyżki, nigdy nie dotrzymaną.

Na tym kończę, drogi przyjacielu. Wystarczy na dziś. Nieraz jeszcze będę panu opowiadał o Helenie, bo jak się pan pewno domyśla, od roku często dochodzi między nami do konfliktów. Nie przypuszczałem, że religia będzie takim problemem. To, wydaje się, dawno wyszło z mody. A jednak!...

Do zobaczenia, drogi przyjacielu. Wracam do kuchennych zajęć. Po drodze kupię chleb, wodę mineralną, kawę itd... Bezrobotny szybko staje się chłopcem na posyłki.

Z wyrazami przyjaźni

Jean-Marie

Ronan słyszy, jak matka telefonuje na parterze.

– Halo... Mieszkanie doktora Mesmin?... Mówi Guer... Byłaby pani łaskawa poprosić doktora, by wstąpił do nas rano?... Tak, ma nasz adres. Pani Guer...G...u...e...r... Przed południem. Tak. Dziękuję.

Ronan uświadamia sobie, że jak sięgnie pamięcią, zawsze telefonując przybierała wysokie tony mizdrzącej się pani domu. Irytujące. A teraz wejdzie, by otworzyć okiennice. Dotknie jego czoła, przegubu. „Jak się czujesz?”

Chce się krzyknąć: „Odpieprzcie się ode mnie!”. Chce się wykrzyknąć wszystkim; służącej, pielęgniarce, lekarzowi: „Odwalcie się ode mnie!”. Zaczyna się. Skrzypią stopnie schodów. I już pocałunki, czułości. Ma wrażenie, iż jest szczeniędem, i gdyby tylko mogła go lizać...

Wchodzi, odsuwa zasłony, otwiera okiennice. Pogoda jest niewyraźna, zima nie składa bronii. Drepcę w kierunku łózka.

– Mój mały dobrze spał? Nie ma gorączki? No, może nie będzie to nic poważnego...

Pochyla się nad chorym.

– Ileż się tobą namartwiłam! Gładzi mu skronie, nagle podskakuje:

– Masz już siwe włosy! Wcześniej nie zwróciłam na to uwagi.

– Wiesz, mamo, nie zawsze były powody do radości.

Próbuje sama siebie uspokoić:

– Jest ich tylko dwa albo trzy. Chcesz, bym ci je wyrwała?

– Ach nie! Proszę cię. Zostaw moje włosy w spokoju.

Wyprostowuje się, aby osuszyć oczy. Łzy ciekną jej po twarzy jak po nasiąkniętej wodą ziemi. Nagle wzbiera w nim litość.

– No, mamo... Wróciłem.

– Tak, ale w jakim stanie!

– Dojdę do siebie, nie martw się. Na początek zażyję krople. Zobaczysz, jaki jestem rozsądny!

Matka odlicza je, dodaje łyżeczkę cukru, patrzy na niego, gdy pije, i jej gardło porusza się, jakby to ona przełykała.

– Zaraz przyjedzie lekarz – mówi. – Postaraj się być nieco bardziej uprzejmy... Zawsze był wobec mnie miły. Kiedy zmarł twój ojciec, nie wiem, jakbym sobie bez niego poradziła. Zajął się formalnościami, wszystkim. Nie zostawiłby nas w potrzebie.

Wstrząsnęło nią łkanie.

– Nie zdajesz sobie sprawy – odpowiada Ronan – że naprzykrzasz mu się. Wiedział mnie wczoraj. Nie będzie przecież codziennie przychodził. Bez żartów!

– Jak ty do mnie mówisz – szepcze. – Bardzo się zmieniłeś.

– Dobrze. Dobrze. Zmieniłem się.

Obserwują się wzajemnie. Ronan wzdycha. Nie ma jej nic do powiedzenia... Nikomu nie ma nic do powiedzenia. Po dziesięciu latach, które upłynęły, jak przez mgłę widzi to, co było jego codziennym światem. Nic już nie rozpoznaje. Przechodnie są inaczej niż kiedyś ubrani. Samochody zupełnie zmieniły kształty. Nie ma najmniejszej ochoty wychodzić. Jest na to zresztą za słaby. Jedyne dom pozostał taki sam.

Dokładnie odpowiada jego wspomnieniom. Pachnie jak niegdyś pastą. Jakże daleko jest owo „niegdyś”. Żył jeszcze wtedy ojciec, stary dureń. Panował. Mówiło się do niego: „Proszę ojca”. Salon był pełen przywiezionych z podróży pamiątek i wszędzie wisiały jego zdjęcia – w zwykłym stroju, w galowym mundurze – komandor Fernand de Guer. Pognębiła go emerytura. Nie miał już kto stać przed nim na baczność, gdy wchodził do jadalni. Tylko oszalała z szacunku żona i syn szyderca.

– Usiądź, mamó. Niekiedy wspominam przyjaciół. Le Moal, co się z nim stało?

Ona zbliża się do fotela. Od razu nieruchomieje. Została przerwana cisza, która niczym zasłona spadła pomiędzy nich. Myśli, że wreszcie Ronan pogodzi się z nią. A on wspomina czasy, kiedy każdy pretekst był dobry, by kpić z despotycznego ojca – „Admirała”, jak mawiali kumple. Stworzyli we czwórkę lub piątkę małą grupkę i nocami ganiłi po mieście, by wypisywać węglem na murach napisy opowiadające się za wolną Bretanią. Policja zawiadomiła dyskretnie starego oficera. Doszło do strasznych i komicznych scen. Teraz Ronan czuje się zniszczony przez życie. Zbyt drogo zapłacił.

– Nie słuchasz, co do ciebie mówię – podejmuje matka.

– Co?

– Opuścił Rennes. Jest aptekarzem w Dinan.

Ronan natychmiast wyobraża sobie Le Moala w białym fartuchu, z zaczątkami ły-siny, jak sprzedaje Bledinex i olejek do opalania. On, który nocą zatykał bretoński sztandar na piorunochronie kościoła Saint-Germain. Smutne!

– A Nédellec?

– Ale dlaczego o nich pytasz? Kiedy cię odwiedzałam, zdawało się, że o wszystkich zapomniałeś.

– Niczego nie zapominam.

Ronan rozmyśla przez chwilę.

– Miałem 3650 dni, żeby sobie przypomnieć.

– Mój biedny mały!

Marszczy czoło i spod oka rzuca matce spojrzenie, które doprowadza do wściekłości Admirala.

– A więc? Nédellec?

– Nie wiem. Już nie mieszka w Rennes.

- A Hervé?
- Ach! Mam nadzieję, że mi go tutaj nie sprowadzisz?
- Właśnie że tak, mam mu wiele do powiedzenia.

Uśmiecha się. Hervé był drugim w hierarchii, wiernym zastępcą dowodzącego, tym, który nigdy nie dyskutował.

- Co on teraz porabia?
- Przejął spadek po ojcu. Kiedy wyzdrowiejesz i zaczniesz wychodzić, trudno ci będzie nie zauważyć jego przejeżdżających ciężarówek. Firma „Przewozy Le Dunff”. Wielkie przedsiębiorstwo. Prawie wszędzie ma swoje biura, nawet w Paryżu. To wszystko, co do mnie dotarło, ponieważ ten chłopiec nigdy mnie nie interesował. Twój biedny ojciec nie mógł go znieść.

Ronan wciska głowę w poduszkę. Lepiej było zostawić duchy w spokoju. Le Moal, Nédellec, Hervé, inni... Wszyscy teraz muszą mieć od trzydziestu do trzydziestu dwóch lat. Niechybnie! Urządzili się. Niektórzy bez wątpienia dorobili się żon i dzieci. Czy pamiętają burzliwą młodość, rozróby, nocne wyprawy, rozlepiane na opuszczonych sklepowych żaluzjach ulotki? F.C. zwycięży. F.C. – Front Celtycki. Tak któryś z nich od czasu do czasu na pewno to wspomina. Prawdopodobnie z powodu śmierci Barbiera z zakłopotaniem.

- Zostaw mnie – prosi. – Jestem zmęczony.
- Ale zjesz śniadanie?
- Nie jestem głodny.
- Doktor powiedział...
- Mam go gdzieś!
- Ronan!

I oto stoi oburzona, w przystępie gwałtownej wściekłości krzyczy:

- Sądzisz, że gdzie ty jesteś?
- Wciąż jeszcze w mamrze – wzdycha.

I odwraca się do ściany. Zamyka oczy. Ona wychodzi z chusteczką przytkniętą do ust. Nareszcie! Samotność. Stara, zawsze wierna kochanka. Jak bardzo wycierpiał! Ileż stłumionych buntów, bowiem każdy dzień nie może być dniem sprzeciwu i nienawiści. Należy poddać się losowi w oczekiwaniu na moment uwolnienia. Moment ów nadszedł, a wtedy dotknęła go choroba, podczas gdy tamten – ale gdzie on jest? – wiedzie spokojne życie. Wyrzuty sumienia z pewnością nie przeszkadzają mu spać.

Trzeba było uderzyć zaraz po wyjściu z więzienia. Teraz upłyną całe tygodnie, może nawet miesiące. To co wzięto by za desperacki akt wymierzenia sprawiedliwości, stanie się niechybnie godnym pogardy aktem zemsty. Trudno! A poza tym? Więzienie nie jest takie straszne. Ronan w myślach wciąż spaceruje po celi. Znośna była. Biblioteka całkiem przyjemna. Dużo w niej pracował. Zdawał nawet egzaminy. Traktowano go dobrze. Trochę litowano się nad nim. Gdy już zniszczy potwora, wróci do swych przyzwyczajzeń... krótka codzienna przechadzka, rozmównica od czasu do czasu, książki do oznakowania i klasyfikowania.

Oczywiście nie będzie już „politycznym”, lecz „pospolitym” więźniem. Matce zostanie tylko sprzedaż domu i zaszczyt się gdzieś na wsi. Być może gazety zajmą się jego sprawą, by napiętnować praktyki zmniejszeń kary i przedwczesnych zwolnień. Ale to się tak mało liczy! Czyż nie jest ważne, by żyć w zgodzie z własnym sumieniem? Obrazy defilują, nachodzą na siebie, powoli ogarnia go senność.

Zaczynam świrować – myśli ociężałe Ronan. Zасыpia z nosem na tapecie. Budzi go doktor. Jest stary. Wszystko jest tu stare. Od śmierci Admirala czas zatrzymał się niczym w muzeum.

– Nic nie je – mówi matka. – Już nie wiem, co mu szkować.

– Proszę się nie przejmować, droga pani – odpowiada doktor. – Choroby bywają długotrwałe, ale w końcu można się z nimi uporać. – Ujmuje przegub Ronana, wbija wzrok w sufit, nie przestając mówić: – Jeśli będziemy rozsądni, wkrótce poczujemy się lepiej.

Nie patrzy na chorego, gada frazesy, by ukryć wstręt, który odczuwa wobec przestępcy o nazwisku przynależnym wyższym sferom. „Jest się” bardzo mało godnym uwagi. „Ma się” to, na co się zasłużyło.

– Czy dobrze śpi?

– Nie bardzo – mówi matka.

Rozmawiają cicho, trochę na uboczu.

– Da mu pani wskazany przeze mnie środek na wzmocnienie.

Ronan jest wściekły. Ma ochotę wykrzyknąć: „Żyję, na Boga! Moja choroba należy do mnie, nie do matki!”.

Doktor zdejmuje okulary, wyciera je irchą. Znowu recepta. Znowu lekarstwa – fiołki, tabletki. Nocny stolik jest już po brzegi wypełniony lekami.

– Trzeba poczekać – wyrokuje lekarz. – Zapalenie wątroby, zwłaszcza jeśli

przybiera najgroźniejszą formę jak ta – unika wzroku Ronana, wskazując jedynie palcem chory brzuch – może spowodować komplikacje. Ale póki co, nie ma powodów do niepokoju. Przyjdę znów w przyszłym tygodniu.

Odchodzi po skinieniu głową, jakby zęgnął tym niedbałym gestem pokój, ściany, powietrze, w którym bez wątplenia unosi się wirus. Na progu dopada go szept matki, przerażający się w wyraźne zdanie:

– Proszę mu powiedzieć, że nie powinien wstawać, doktorze. Pana być może posłucha.

Doktor przybiera obrażoną minę.

– To oczywiste, że nie powinien wstawać.

Zamykają się drzwi. Kroki oddalają się. Ronan natychmiast odrzuca kołdrę i siada na brzegu łóżka. Po chwili wstaje. Nogi niosą go z trudem. Czuje drżenie w łydkach, jakby był mającym odpaść od ściany alpinistą. Robi jeden krok, potem drugi. Trudno będzie dojść do telefonu. Korytarz, schody, salon... To daleko, odległość prawie nie do pokonania. A przecież trzeba zatelefonować do Hervégo. Musi zrobić to, co postanowił. I nie będzie mógł obejść się bez przyjaciela. Poczekaj, aż wyjdzie stara Hortensja. Co do matki, jak w każdy piątek o siedemnastej pójdziesz odmawiać różaniec do katedry. Dom będzie pusty.

Jeżeli upadnę na schodach – rozmyśla – postaram się dojść do łóżka na czworakach.

Opiera się na poręczy fotela, długo pozostaje w bezruchu, badając nogi. Wzmocniły się nieco. To z głową jest nie w porządku, zaczyna się w niej kręcić. Jakiś głos podpowiada mu: „Masz dużo czasu. Zawsze zdążysz go odnaleźć”. Ale życie straciłoby wszelki sens, gdyby swój plan odłożył na później. Taki plan szybko traci moc. Każdy mijający dzień oczyszcza go i redukuje. Nie! Trzeba działać teraz, natychmiast. Czyż nie jedynie po to był przykładowym więźniem, by zasłużyć na przedterminowe zwolnienie? A kiedy już wreszcie uzyskał je, miałby odkładać sprawę na potem? A w tym czasie Quéré będzie spokojnie cieszył się ze wszystkich rzeczy, których on był tak okrutnie pozbawiony: nieba aż po horyzont, morskiego wiatru, bezkresnych wrzosowisk, przestrzeni, odległości, wijących się dróg; wszystkiego.

Dziesięć najlepszych lat życia wyrzuconych na śmietnik. Katarzyna nie żyje. Czyż to nie zasługuje na kulę w łeb? Ale nie dość tego; kula dla Quéré? To byłoby zbyt proste! Tak załatwić, by również zaznał codziennej udręki, lęku przed nocą, wycieńczającą

niczym włosienica duszę i ciało bezsennością. Przedłużyć powolną śmierć, sprawić, by tonął w potach rozpaczy. A nawet niech prosi o łaskę przed śmiercią, niechaj wie, skąd pochodzi cios.

Ronan zamyka oczy. Przysięga sobie, że wyzdrowieje. Uczyni wszystko, by powrócić do życia i mieć siły na zniszczenie tego, który go zniszczył.

Ponownie kładzie się do łóżka. Nawet nie cieszy się, że ból w kończynach przestał go nękać. Pragnie przystąpić do zemsty tak, jak niektórzy wstępują do zakonu. Nie ma chwili do stracenia.

Najpierw trzeba go znaleźć. Gdzie się ukrywa? Ale czy się ukrywa? Jak daleko mógł posunąć się w swej bezczelności? Hervé dowie się. Zawsze był sprytny. Czy istnieje jeszcze Front Celtycki? Czy zastąpili nas młodzi? Byłoby zabawne szukać kontaktów wśród grupek występujących pod różnymi nazwami, podtrzymujących niepokój, którego echo docierało nawet do więzienia.

Ale kiedy został zatrzymany, ileż lat mogli mieć owi autonomiści? Dziesięć? Dwanaście? Któż sobie o nim przypomni? A poza tym, czy na pewno bronią tej samej Bretanii? Trzeba zapytać Hervégo. Musi wiedzieć. Czy zgodzi się przyjść? Czy nosi jeszcze brodę w kształcie naszyjnika, którą uważał za fantazyjną? Może stał się kimś w rodzaju dyrektora generalnego i nie zechce mu poświęcić nawet chwili?

Ronan widział zdjęcia przedstawiające prehistoryczne zwierzęta, w świetnym stanie, zakonserwowane w mrokach Arktyki. Ma wrażenie, iż jest jedną z tych bestii. Dla niego, który marzył w więziennym chłódzie, czas nie miał znaczenia. Inni zestarzelili się. A on ma wciąż dwadzieścia lat. Temperatura jego namiętności, uniesień i buntów jest taka sama, jak w dniu, w którym został pochowany. Czuje się kompletnie wyobcowany. Powraca na ziemię z dziesięcioletnim opóźnieniem. Dlatego postanawia nie zwierzać się Hervému ze swych planów. „Chcesz koniecznie znaleźć Quéré?” – powie Hervé – „To przecież, mój biedny staruszk, przebrzmiała historia. Daj spokój. Czego chcesz od Quéré?” – „Chcę go zabić”.

Ronan wyobraża sobie rozmowę, przerażenie Hervégo. Byłoby to śmieszne. Ronan ma swoje racje, które szlifował dzień po dniu, noc po nocy; są mu tak bliskie, że bez wątplenia nie byłby w stanie podzielić się nimi – całym ładunkiem ich oczywistości i całą bezwzględnością. Być może wydałyby się szalone komuś, kto na całą wieczność nie był z nimi zamknięty. Hervé nie powinien niczego podejrzewać. Lecz oby tylko przyszedł!...

A tu trzeba zejść po schodach, przejść przez salon. I jeszcze matka, między nim a telefonem, bardziej nieufna niż kocica. „Po co chcesz telefonować? Jeśli tak ci zależy, mogę to zrobić za ciebie.”

Chwiejący się na nogach jest bardziej słaby, bardziej bezbronny od dzieciaka, który nabroił i usiłuje to ukryć. Będzie usiłował kłamać, co ona odgadnie nieomylnym instynktem. A wtedy wszelkie rodzaje pytań, aluzji, niedomówień... Będzie krążyła niestrudzenie wokół tego, co chciałby zachować w tajemnicy. Taka już jest: cierpliwa, niezmordowana, fałszywie skromna. Cóż za szczęśliwy traf, to zapalenie wątroby! Oto wreszcie jest ujarzmiony, ów nieznosny, przeciwstawiający się wszystkim chłopiec. Można teraz z miłości pożerać go małymi kęsami.

Ronan spostrzega, że powtarza w kółko to samo. Patrzy na zegarek. Jedenasta. Delikatne kroki na schodach. Znowu będzie trzeba wyklócać się o obiad. Zupełnie nie weźmie pod uwagę jego życzeń, narzuci stanowczo, choć z uśmiechem, własne menu, które, wśród szeptów konfesjonału, potajemnie uknuła z doktorem.

Ronan przybiera wyraz skrajnego wyczerpania. Ponieważ się naprzykrza, wystraszy ją. Odplaci się pięknym za nadobne. Odkrywa w jej szarych oczach trwogę i wstydi się wygranej. Z góry zgadza się na supę, jarzyny, kompot. Zachowane zostały reguły ich małej wojny. Ale pod jednym warunkiem. Przyniesie mu jego albumy ze zdjęciami.

- Znowu zaczynasz.
- Nie. Zapewniam cię. Mam ochotę ponownie pograć się w tym wszystkim.
- Nie możesz zostawić tego w spokoju?
- Jeżeli odmówisz, pójdę ich sam poszukać.
- Ach! Coś podobnego, nigdy w życiu! No, ale mój mały, gdyby z tym zacząć?
- Nie!

Ronan je. Ona nie spuszcza z niego oczu, a gdy kończy, udaje, że chce zabrać tacę.

- Moje zdjęcia!

Nie ośmiela się powiedzieć ze zdziwioną miną: „Jakie zdjęcia?”, by nie wywołać napadu złości. Ustępuje.

- Nie dłużej niż pół godziny – stwierdza.
- Zobaczymy.

Pomaga mu ułożyć się na łóżku. Powoli odchodzi z tacą. Odgadła natychmiast,

dlaczego pragnął owych albumów. By wpatrywać się w podobiznę Katarzyny, do licha! By zadawać sobie ból. I to prawda, że zada sobie ból. Cierpienie pomoże mu dowlec się do telefonu. Zaczyna od zdjęć, które zrobił starym kodakiem, aparatem buchniętym Admiraliowi, gdy z powodu reumatyzmu nie mógł już wychodzić. Przyjemnie było jechać wiosną na rowerze, by łowić ryby w Vilaine, w czasie, kiedy dróg nie zawałyły jeszcze samochody. A to właśnie zamek w Blossac, trochę niewyraźny. Czas naświetlania został źle obliczony... nadbrzeżne skarpy w Pont-Réau... raz jeszcze Vilaine w Redon i płynące przy brzegu rzeki klenie.

Ronan upuszcza album między kolana. Marzy. Słyszy, jak świszczą wędka ze sztuczną muchą. Czuje jeszcze w nadgarstku szarpnięcia złapanej na haczyk ryby. Zna Vilaine na pamięć. A także Mayenne. W myślach przechadza się po starych uliczkach Vitré, ulicy Embas, Beaudrairie; przechodzi przez Pont-Neuf, w Javal słyszy jadący po wiadukcie pośpieszny pociąg z Paryża. Przechowuje w pamięci słońce, deszcz, wilczy głód, zaspokajany w wiejskich gospodach. Tak wyglądał jego kraj. Żadnego folkloru, żadnej pobłażliwości dla letników, żadnej... Ale jak wytłumaczyć ludziom, co oznacza: „Jestem u siebie. Powietrze, którym oddycham, należy do mnie. Żądam, byście przybywali jako goście. Nie jako właściciele!”

Ronan ponownie bierze do ręki album. Nic, tylko krajobrazy. Unikał pocztówkowych motywów. Uchwycił, coraz lepszym obiektywem, zagubione w lasach stawy, nikiące niemal w ostach i paprociach prehistoryczne skały. Kodaka zastępuje minolta. Obrazy są coraz bardziej wyszukane. Uchwyciły szarość powietrza, światłocienie, które tworzy zachodni wiatr, to coś niewysłowionego, co kłuje w serce. Nazywać się Antoni de Guer! Stary głupiec! Ronan przypomina sobie ich sprzeczki. To przy ojcu kurczowo trzymającym się galonów, medali, honoru wiernego władzy oficera został upartym i nieokrzesanym odludkiem.

Zastanawia się nad sobą. Ma w nosie politykę. Nie ona się liczy. Ważna jest odmiennosc. Nigdy nie potrafił dokładnie wyjaśnić tego pojęcia. Niemniej jest przekonany, iż oznacza ono sposób trwania, a więc sprzeciwu, a więc pozostawiania wiernym; takim jak wieśniak wobec księdza, ksiądz wobec Kościoła, Kościół wobec Chrystusa. A to jeszcze nie całkiem tak. Chodzi o wierność głębszą, w pewnym sensie organiczną; zamku wobec wzgórza, które go dźwiga, sposobu osądzania, zagradzania drogi

przeciwnikowi. Ronan, kiedy chodził do czwartej klasy, wymyślił dewizę: „Oncques ne passera”. Była absurdalna, ale zachwyciła go niezachwianą siłą. W pełni zachowała swą moc.

Otwiera drugi album; są w nim obrazy budzące głęboki ból, nie do uśmierzenia. Już w celi często nie dawał mu spać, przenikał całe ciało, zmuszając do przyjmowania pozycji embrionalnej. Łzy napływają mu do oczu. Katarzyna! Fotografował ją wszędzie tam, gdzie zatrzymywali się podczas wycieczek. Katarzyna przed kalwarią, Katarzyna w kostiumie kąpielowym na plaży w Saint-Malo, Katarzyna na kutrze w Dinard albo w łodzi na Rance. Wszędzie Katarzyna uśmiechnięta, rozczochrana, zrobiona na chłopca. Są zdjęcia bardziej artystyczne, prawdziwe portrety, na których widać ją w dużym zbliżeniu, raz pogrążoną w myślach, to znowu wesołą, z wydrążonym w policzku dołkiem, który tak lubił całować. Ileż wspomnień! I z jego powodu odebrała sobie życie! „Kiedy zdała sobie sprawę, że jest w ciąży – powiedział prokurator – straciła głowę. Jak mogła związać życie z kryminalistą? Jak mogła zgodzić się dać dziecku mordercę za ojca?”

Idiota! Słowa! Słowa! Kiedy wszystko się zdarzyło, nie wiedział, że ona jest w ciąży. Dowiedział się później. Za późno. Zostawiła list: „Oczekuję dziecka. Nie mogę wybaczyć Ronanowi zła, które mi wyrządza”. Ronan, z zamkniętymi w cierpieniu oczami, widzi znów sąd przysięgłych, swego adwokata, gdy próbując tego, co niemożliwe – domaga się od sędziów wyrozumiałości.

– Ronanie de Guer, czy ma pan coś do dodania na swoją obronę?

Ledwie słyszał słowa sędziego. Nie, nie ma nic do powiedzenia.

Komisarz, którego zastrzelił z rewolweru... Jakie to mało istotne. Skoro Katarzyna odeszła nie przebacząc, nic się już nie liczy. Piętnaście lat więzienia? No i co? Czyż to może mieć znaczenie? Cathy! Przysięgam ci! Gdybym wiedział... Gdybyś mi powiedziała... Każdego dnia patrzy w myślach na Katarzynę. Tłumaczy się, broni. Móc cofnąć czas, inaczej pokierować wydarzeniami! Gdyby nie został zadenuncjowany, nikt by go nie podejrzewał i wszystko poszłoby w niepamięć. Poślubiły Katarzynę jak zdemobilizowany, wracający do kraju żołnierz. Zamyka powoli album. Myśli o legendach, których się lękał, kiedy był mały; wędrujące dusze, dusze potępione, oczekujące od zbawionych przywracającego spokój znaku.

Cathy, obiecuję ci...

Odrzuca kołdrę. Postanowienie dodaje mi sił. Chwyając się mebli idzie chwiejnym

krokiem w kierunku sąsiadującego z gabinetem małego, kwadratowego pokoju, gdzie jako mały chłopiec odrabiał zadania albo – już później – pisywał listy miłosne. Gabinet jest dokładnie w takim stanie, jak w chwili gdy go opuścił. Od czasu, gdy wyszedł stąd skutą kajdankami, matka niczego nie tknęła. Zadowolona się przecieraniem i odkurzeniem mebli w oczekiwaniu na jego powrót.

Jest jeszcze na stole książka Anatola Le Brasa i zaznaczająca stronę zakładka. Są mapy drogowe, kalendarz z datą aresztowania, w ramce tkwi jeszcze małe zdjęcie Cathy, którego matka nie ośmieliła się wyjąć, mimo wciąż odczuwanej wobec intruza wrogości.

Ronan siada w fotelu; patrzy wokół. Jest to pokój do pracy dwudziestoletniego chłopca: gramofon, rakietka tenisowa, na kominku miniatura statku do połowy tuńczyków, w bibliotece ulubione książki – Saint-Pol-Roux, Chateaubriand, Tristan Corbière, Vercel. A także między biblioteką a krzesłem, w kącie, jego wędki, uczniowskie torby. Nikomu nie wpadło do głowy, by do nich zajrzeć. Wstaje, nadśluchuje. Wszędzie cisza. Bierze jedną z toreb, odpycha zamykając ją skórzaną patkę. Grzebie, wyczuwa pod palcami wędkarski kołowrotek, szpule z zapasowymi linkami i, głęboko na dnie, zawinięty w irchę pakunek. Wyjmuje go i ostrożnie rozwija. Jest tam rewolwer kaliber 7,65, nie tknięty, jeszcze wciąż naoliwiony. Ronan trzyma go w dłoni. Wyjmuje magazynek, wytrząsa tkwiącą w lufie kulę. Naciska spust. Broń jest jak nowa; brakuje jedynie kuli, która zabiła komisarza Barbier.

Szybkim ruchem dłoni wstawia magazynek na miejsce, zawija broń i chowają na dnie torby. Wyobraża sobie płytę nagrobkową z napisem: „Jean-Marie Quéré – donosi-ciel”. Ale przedtem trzeba wyzdrowieć.

Drogi przyjacielu!

Tak więc otrzymałem pański list. Dziękuję. Czytam w nim: „Czuje się pan w sytuacji człowieka opuszczonego przez Boga, lecz On tam jest, wskazuje drogę, którą usiłuje pan przemierzyć samotnie.” Niech będzie. Nie chcę już dyskutować. Czy to ręka boża poprowadziła mnie do Langlois, gdzie straciłem ostatnie złudzenia? Czy to ona pchnęła mnie ku Helenie, ku memu największemu strapieniu? Bowiem po stokroć ma

pan rację mówiąc, że powinienem być wyznać jej prawdę. Ale właśnie, bezwiednie napisał pan „wyznać”, jak gdybym popełnił jakąś zbrodnię. Wyznają przecież złodzieje i mordercy. Ja zamilkłem. To nie to samo. Jednakże tak. Powinienem być. A dlaczego tego nie zrobiłem? Ponieważ wykreśliłem z pamięci przeszłość. W każdej chwili, niestety, nieszczęsna Helena, nie wiedząc o tym, usilnie stara się ją wskrzesić. Wczoraj znów wróciła później.

– Zatrzymałam się w kaplicy Augustynów – wyjaśniła. – Zapaliłam świecę, abys znalazł pracę.

Kiedy to słyszę, rozsadza mnie ze złości. Jak gdyby mógł istnieć związek między świecą a zatrudnieniem! A ona pyta:

– Czy źle zrobiłam?

Jestem tchórzem. Bez słowa wzruszam ramionami. Przypominam sobie, że ja także kiedyś składałem świece w ofierze. Mam ochotę powiedzieć jej: „Widzisz, do czego mnie to doprowadziło!” Wolę milczeć i milknę coraz częściej oddzielony od niej bezmiarem lektur i przemyśleń. Ona na szczęście jest gadatliwa. Skacze z jednego tematu na drugi niczym kanarek, który bez powodu przefruwa z żerdzi na żerdź. Kiedy odchodzi, po ostatecznym poprawieniu makijażu, rzuceniu okiem na lewy profil, rzuceniu okiem na prawy profil – i wnikliwej ocenie widzianej od tyłu w trójdzielnym lustrze sylwetki – zostaję oszołomiony, z uczuciem ulgi. W końcu otacza mnie cisza. Zapalam papierosa i kręcę się w kapciach po kuchni, nie spieszo mi do zmywania i układania naczyń. Kołysze mi się w głowie, strzępy myśli, mgiełka lenistwa i przytłaczające wrażenie, że mam czas, mam mnóstwo czasu.

Bezczynność na początku podobna jest do anemii. Gdy siadam w wygodnym fotelu, nie starcza mi już energii, by wstać. Rozkładam gazetę, lecz nie od razu na stronie z ofertami pracy. Czytam najpierw kronikę wydarzeń, potem przechodzę do artykułu redakcyjnego. Niezdolny do koncentracji przerzucam stronę sportową, programy telewizyjne. Bezrobotny, drogi przyjacielu, jest człowiekiem roztargnionym. W końcu zatrzymuję się na stronie z ogłoszeniami, ale bez najłżejszego bicia serca; z góry wiem, że dla mnie nic nie ma.

Nie udaje mi się nawet przetłumaczyć na zrozumiały język niektórych technicznych terminów. Czym jest taki analityk programator? Albo szef zespołu? Albo sekwestrator mienia? Dla mnie sekwestrator mienia to ktoś uzbrojony w szczypce lub hak i nieco podobny do gladiatora. Obraz gladiatora przyciąga jak magnes wyobrażenie cyrku,

następnie Koloseum, następnie Rzymu. Moja ostatnia podróż do Rzymu... było to w roku?... I już gubię się w moich katakumbach i tak błędząc zapominam o czasie. Jak ogrodzić, zamknąć pamięć na kłódkę? Wciąż istnieje gdzieś niewielka szczelina, przez którą wciskają się mdlące opary wspomnień.

Otrząsam się. Zobaczymy! Księgowy? Nie wchodzi w rachubę. Agent? Potrzebna jest pewność siebie, której nie mam. Urzędnik kontroli? Ale do kontrolowania czego? Kiedy ja nawet sam siebie nie potrafię kontrolować. Sygnalista? Telegrafista? Gonicz?... Prawdę mówiąc, zatrzymuje mnie jakaś ponura siła. Wszystko odbywa się tak, jakbym nie spieszył się, by coś znaleźć. Ciepło jak w kokonie braku woli, braku odczucia upływu czasu, braku myśli. Gdybym był diabłem, na drzwiach piekła zawiesiłbym napis: „Do not disturb”.

Żartuję, drogi przyjacielu, ale bez radości, proszę mi wierzyć. Oczywiście wpisany jestem na listę poszukujących pracy. Poczyniłem wszelkie kroki, złożyłem wszystkie podpisy. „Nie należy niczego pozostawiać losowi”, powiada Helena. A przecież nigdy bardziej niż dziś nie byłem ofiarą losu. Któż mnie zechce? Mam czterdzieści dwa lata. Dla pracownika jest to okres przekwitania. Czekam. Jeszcze nie w trwodze, bowiem mamy pewne oszczędności, ale w obawie przed jutrem, trudnościami z rodzinnym budżetem. A szczególnie dręczy mnie myśl: Cóż może wstrzymać moje powolne staczanie się?

Gotów jestem walczyć czy raczej zmagać się zawzięcie dla utrzymania posady. Ale co należy zrobić, by ją otrzymać? Do kogo się zwrócić? Mijam na ulicy podobnych do mnie ludzi. Idą prosto przed siebie: wymachują dyplomatkami. Śpieszą się. Na końcu drogi znajdują biura. Wydają i otrzymują polecenia. Są „połączeni”. Podobni do kropel krwi, które krążą w organizmie istniejącym dzięki nim.

A ja jestem torbielą. Odczuwam to tym silniej, iż przez całe życie miotałem się w gęstej sieci obowiązków; trochę mniej, być może, gdy pracowałem u Langlois, ale nawet wówczas moje oczy były utkwione w terminarzu spotkań. Biada temu, kto nie musi już przeglądać choćby nawet skromnego kalendarza. A na kuchennym stole znajduje wyłącznie listę sprawunków.

Raz jeszcze powtarzam, drogi przyjacielu, nie staram się wzbudzić w panu litości. Pragnę jedynie sprawić, by obrzucił pan świeżym spojrzeniem świat. Dotąd widział go pan poprzez książki. Kiedy rozstawaliśmy się, przygotowywał pan chyba publikację na

temat Ewangelii. „Szczęśliwi biedni...” itd. Otóż to nieprawda. Nie są szczęśliwi. Nigdy nie będą, ponieważ zbyt są zmęczeni. Och, nie pańska to wina, jeśli nie doświadczył pan owego znużenia. Co do mnie, czytam je na twarzach oczekujących przed okienkami. Schludni petenci, jeszcze pełni godności, udają, że są tam przypadkiem, by otrzymać zwykłą informację, ale ze spłoszonymi spojrzeniami, drżącymi rękami. I jeszcze inni, często bardzo młodzi, odpalający jednego papierosa od drugiego, popisujący się hałaśliwą beztroską, ale kiedy podniecenie opada, opanowuje ich przygnębienie.

Tak, jesteśmy zmęczeni. Nie zniechęceni, nie powodowani nienawiścią, nie zmorowani – oto co chciałbym panu wyjaśnić. Zmęczenie jest jakby stanem roztargnienia. Zauważam, że od początku tego zbyt długiego listu, właśnie ją, prawdę, staram się uchwycić. Niech pan sobie wyobrazi, co można odczuwać, kiedy wahamy się przed odpowiedzią i kiedy w końcu mówimy: Jest mi wszystko jedno! „Co chcesz zjeść?” Jest mi wszystko jedno!. „Chciałbyś wyjść na spacer?” Jest mi wszystko jedno! Sądzę, iż jedynie uwięzione za kratami dumające zwierzęta, które nie widzą przechodniów, które ziewają z na wpeł przymkniętymi ślepiami, mogłyby nas zrozumieć. W dzień podrzemują. W nocy sen nie przychodzi. Powiadają, że kloszard to ktoś, kto dotarł aż do kresu bezrobocia. Dlaczego by nie ja?

Wraca Helena. Opowiada mi, jak spędziła rano. Salon fryzjerski jest doprawdy jednym z najbardziej interesujących miejsc w mieście. Rozprawia się tam zarówno o kryzysie, cenie benzyny, jak i o modzie na najbliższą zimę czy najlepszym sposobie żywienia kotów. Wymienia się adresy rzeźników, dentystów lub kabalarek. Porównuje się gatunki kawy, wspomnienia z podróży. Hiszpania przyjemniejsza jest od Włoch, ale nic nie może równać się z Grecją.

– Pytałam Gabrysię, czy ma dla ciebie coś nowego.

Gabrysia to uczennica fryzjerska, kochanka pewnego majstra, pracującego w przedsiębiorstwie budowlanym. Majster ten, jak się zdaje, dobrze zna zięcia właściciela. Mógłby znaleźć mi stanowisko w „biurach”. Biura są dla Heleny niezbyt jasnym pojęciem. Jest to miejsce trochę magiczne, w którym wykształcony człowiek ma z góry wyznaczoną posadę. Otóż żona uważa mnie za człowieka wykształconego, który u Jana de Fréneuse miał sposobność obracać się w dobrym towarzystwie. Wpada w zachwyty, kiedy mówię jej – oczywiście bez cienia ostentacji – że pewnego dnia jadłem obiad z de Funèsem.

– Ale słuchaj uważnie... Byłem od niego daleko i nie przy jednym stole.

Nie słucha.

– Mam nadzieję – mówi – że poprosiłeś o autograf?

– Nie pomyślałem o tym.

– Nie wiesz, jak się zabrać do rzeczy – ciągnie. – Ci wszyscy poznani przez ciebie ludzie nie mogli cię gdzieś urządzić?

– Sekretarz, moja Helenko, nie znaczy zbyt wiele.

– Mimo wszystko! Nie jesteś byle kim.

Całuje mnie, bym poczuł się pewniej.

– Znajdzie się coś. Zobaczysz. Mąż Denise przez siedem miesięcy pozostawał bez pracy, a przecież dobry z niego elektryk. Zawsze sobie jakoś radzimy. Tylko nie należy tracić nadziei.

Jemy obiad i ona znów wychodzi. Po zmyciu naczyń i niedbałym przejechaniu miotłą po podłodze piszę kilka listów. Zwracam się do dyrektorów prywatnych szkół. Rzeczywiście sędzę, iż jedyną możliwą dla mnie pracą jest praca nauczyciela. Jestem na tyle kompetentny, by nauczać dwunastoletnie dzieciaki gramatyki i ortografii, a szkół prywatnych nie brakuje. Wszystkie noszą wyszukane, trochę onieśmielające nazwy. Oto dłaczego rozważnie posługuję się piórem. Nie chcę wydać się pospolitym, natrętnym petentem. Nie mogę również okazywać zbytnej pewności siebie, tym bardziej że moje dyplomy są mało warte. Czy wypada podkreślać, że długo byłem sekretarzem znanego pisarza? Reputacja Langlois nie wzbudzi raczej uznania dyrektorów szkół imienia Anatola France'a albo Paula Valéry.

Pod koniec drugiego listu, z głową pękającą od mozolnie układanych, wykreślanych, pisanych od nowa zdań, zniechęcony kończę. Nawet nie zadadzą sobie trudu, by mi odpowiedzieć. Jestem pewien, że w tej samej chwili dziesiątki kandydatów również próbują szczęścia, a dyplomów mają więcej ode mnie. Mimo wszystko idę wysłać listy. Spaceruję trochę, dla higieny, dokładnie tak, jak wyprowadza się psa. Czasem przytłacza mnie poczucie własnej nieprzydatności. Zatrzymuję się przed wystawą sklepową albo na skraju chodnika. Cierpi moja dusza i jest to ból podobny do tego, jaki człowiek po amputacji odczuwa w odciętej kończynie. Przechodzi obojętny tłum. Nie jestem niczym bliźnim z wyjątkiem być może właściciela małej kawiarenki, do której zwykłem chodzić.

– W porządku, panie Quéré? Posuwa się praca nad książką?

– Niezbyt szybko.

– A co by pan chciał? Natchnienie nie przychodzi na zawołanie, czyż nie... Co panu podać? Kieliszek calvadosu? Zobaczy pan! Zaraz pomysły pojawią się w głowie.

Wychyłam kieliszek, by zrobić mu przyjemność, jako że patrzy na mnie przyjaźnie. Helena nie dowie się o tym. Gdyby wiedziała, że popijam z człowiekiem pochodzącym z Owernii, okrutnie byłaby tym dotknięta. Dumna jest ze mnie, biedaczysko. Dlatego wpada w złość, kiedy jej mówię, że gotów jestem przyjąć jakąkolwiek pracę. Na swój naiwny, trochę wiejski sposób ma arystokratyczne poglądy na temat honoru. Są rzeczy, których się nie robi, to wszystko. Popijanie calvadosu przy barze oznacza rezygnację z wszelkiej godności. Jej sposób wartościowania sprawiłby pana w zdumienie. Dobrze jest być fryzjerką. Ośmieszające jest bycie fryzjerem. Dobrze jest być sprzedawczynią. Bycie sprzedawcą trąci natomiast „służalczą”. I tak dalej. Często staram się przemówić jej do rozsądku. Ona dąsa się. Mówi: „Nie jestem wykształcona, co?!”, bym poczuł się winny. A w chwilę potem ze śmiechem rzuca mi się na szyję. „Wiesz, jestem wieśniaczką.” Pewnego dnia opowiem panu o Helenie. Czuję, że liczy się ze mną, nie może pan wiedzieć, jak bardzo podnosi mnie to na duchu.

Żegnam. Być może do jutra, jeżeli życie okaże się zbyt ciężkie.

Serdecznie pozdrawiam

Jean-Marie

Ronan słyszy dobiegający ze schodów głos Hervégo.

– Zostanę tylko minutę. Obiecuję pani. Zresztą, czekają na mnie.

Kroki cichną. Szepty. Od czasu do czasu głos Hervégo: „Tak... Oczywiście... Rozumiem...” Pewnie uczepliła się jego ramienia, kładzie mu do ucha mnóstwo zaleceń. Wreszcie otwierają się drzwi. Hervé stoi na progu. Za nim czai się wątła postać w żałobnym stroju.

– Zostaw nas, mamó. Proszę cię.

– Wiesz, co doktor powiedział.

– Tak... Tak... Dobrze... Zamknij drzwi.

Spełnia życzenie z dobrze oddającą jej potępienie powolnością. Hervé ściska dłoń Ronana.

– Zmieniłeś się – mówi Ronan. – Tyjesz, daję słowo. Kiedy widzieliśmy się ostatnio... No, no... Będzie już dziewięć lat, co?... Siadaj. Zdejmij, płaszcz.

– Nie mogę zostać długo.

– Ach, nie zaczynaj. Wiedz, że nie matka tu decyduje. Siadaj. A przede wszystkim nie mów mi o więzieniu.

Hervé zdejmuje lekki płaszcz. Pod nim nosi elegancką tweedową marynarkę. Ronan obserwuje go uważnie: na rękę złoty zegarek, na serdecznym palcu duży sygnet. Krawat w dobrym gatunku. Atrybuty powodzenia.

– Nie wzbudzasz litości – podejmuje Ronan. – Interesy idą dobrze?

– Nieźle.

– Opowiedz. To mnie rozerwie.

Ronan odzyskał dawny ton, trochę wesoły, trochę sarkastyczny, i Hervé poddaje się z uśmiezkiem, który oznacza: „Tak, chcę się w to zabawić, ale nie za długo!”

– To całkiem proste – mówi. – Po śmierci ojca z przedsiębiorstwa zajmującego się przeprowadzkami stworzyłem przedsiębiorstwo przewozowe z prawdziwego zdarzenia.

– Jakie to są na przykład przewozy?

– Wszystko... Olej opałowy... Pasażerowie. I nie tylko w Bretanii, lecz również w Wandei, w części Normandii. Mam nawet biuro w Paryżu.

– Do diabła! – wykrzykuje Ronan. – Mówią o takich, że im się powiodło.

– Pracowałem.

– Nie wątpię.

Chwila ciszy.

– Masz mi za złe? – pyta Hervé.

– Ależ nie. Zarobiłeś dużo pieniędzy. To ci się należało.

– Och! Wiem, co myślisz – mówi Hervé. – Powinienem był częściej cię odwiedzać. O to chodzi?

– Częściej!... Przyszedłeś tylko raz.

– Ale zastanów się, stary. Trzeba złożyć podanie, które idzie skomplikowaną drogą służbową, kończącą się dochodzeniem. „Dlaczego pragnie pan rozmawiać z więźniem? Niech pan wymieni powody”. I tak dalej. Matka mogła cię często odwiedzać. Wiadomo, jedyna osoba z rodziny. Ale ja...

– Ty – szeptem Ronan – miałeś co innego do roboty. A poza tym dla dobra interesów lepiej było trzymać się z daleka. Kontakt ze skazańcem bywa uciążliwy.

– Jeżeli w ten sposób to traktujesz – odpowiada Hervé. Wstaje, podchodzi do okna, odsuwa zasłonę i spogląda na ulicę.

– Ona musi się niecierpliwić – zauważa Ronan.

Hervé odwraca się, a Ronan uśmiecha się niewinnie.

– Jak ma na imię?

– Iwona – mówi Hervé – ale skąd wiesz, że...

– Jak, gdybym cię nie znał. Stary lotrze! No, usiądź. Kiedyś trzymałeś je przy sobie najwyżej trzy miesiące. A z tą Iwoną, jak to jeszcze długo potrwa?

Śmieją się, nagle sobie bliscy.

– Może ją poślubię – odpowiada Hervé.

Ronan jest szczerze rozbawiony. Uchylają się drzwi. Fragment twarzy. Oko.

– Ronan... Nie zmuszaj mnie do...

– Denerwujesz mnie! – krzyczy Ronan. – Zostaw nas w spokoju. Ręką wykonuje gest, jakby chciał pchnąć drzwi.

– Jaka ona potrafi być męcząca – mówi do Hervégo.

– Czy ta choroba jest bardzo niebezpieczna? Twoja matka opowiadała mi niepokojące rzeczy.

– Postępujące zapalenie wątroby. Boli jak sto diabłów. I, prawdę mówiąc, czasem się na to umiera.

– Czy dlatego cię zwolniono?

– Oczywiście że nie. Pomyślano po prostu, iż po dziesięciu latach stałem się nieszkodliwy. Ułaskawiono mnie zatem. Zapalenie wątroby pojawiło się dodatkowo. Potrwa jeszcze wiele tygodni.

– Pewnie się nudzisz?

– Nie za bardzo. Nie bardziej niż tam. Myślę o napisaniu książki. Czy to cię dziwi?

– Przyznam, że...

Ronan podnosi się na łóżku. Z przebiegłą miną spogląda na Hervégo.

– Sądzisz, że nie mam nic do powiedzenia, co? Przeciwnie, wiele mam do powiedzenia. O latach poprzedzających sprawę. Pragnę wytłumaczyć, czym był nasz ruch.

Hervé patrzy na niego z niepokojem. Ronan ciągnie dalej, z oczami utkwionymi w sufit, jak gdyby mówił do siebie.

– Nie byliśmy łobuzami. Trzeba, by ludzie dobrze wbili to sobie do głów. Nie byliśmy również opętani.

Gwałtownie zwraca się w stronę Hervégo, ściska mu rękę.

– Zgadzasz się?

– Tak, oczywiście – przyznaje Hervé – ale czy nie sądzisz, że lepiej byłoby puścić całą tę historię w niepamięć?

Ronan śmieje się złośliwie.

– Niepokoiłbyś się, co, gdybym opowiedział o naszych zebraniach, nocnych wyprawach; o wszystkim. Powinniście mnie byli bronić w sądzie. Ale zostawiliście na pastwę losu... Och! Nie mam ci tego za złe!

– Przestraszyłem się – szeptem Hervé. – Nie przypuszczałem, iż rzeczy przyjmą tak fatalny obrót.

– Chcesz powiedzieć, że nie brałeś naszej działalności poważnie?

– Właśnie tak to jest. I zobacz... Będę całkiem szczery. Kiedy odwiedziłem cię w więzieniu... Wszystko, co mi powierzyłeś... na temat Katarzyny... na temat Quéré... zupełnie mnie załamało. Dlatego przestałem tam chodzić. Teraz to się skończyło. Było, minęło.

Sygnał klaksonu rozbrzmiewa na ulicy.

– O Boże! To Iwona. Niecierpliwi się.

Hervé biegnie do okna, zaczyna chaotycznie gestykulować, palcem wskazuje zegarek, by pokazać, że pamięta o czasie. Wraca z zatroskaną miną.

– Wybacz mi, stary. Widzisz, jaka ona jest!

– Jeżeli dobrze rozumiem – mówi Ronan – uciekasz... Jeszcze raz.

Hervé siada. Wzrusza ramionami.

– Nawymyślaj mi porządnie – powiada jeżeli sprawi ci to ulgę. Ale pośpiesz się. Chcesz czegoś ode mnie? No, słucham!

Spoglądają na siebie wrogo, lecz Ronan zrećźnie unika kłótni. Uśmiecha się lekko, trochę szyderczo.

– Przestraszyłem cię – stwierdza. – Mój pomysł napisania książki niepokoi cię. Wczuwać się w twoją sytuację. Ale uspokój się. To tylko projekt. W gruncie rzeczy nie mam zamiaru sprawić kłopotu byłym kompanom. Chcę cię prosić o dwie rzeczy, dwie drobne rzeczy. Przede wszystkim pragnąłbym mieć zdjęcie grobu Katarzyny. Aresztowano mnie, kiedy ona... kiedy ona zmarła. A widzisz, w jakim jestem teraz

stanie. Nie ma mowy, bym poszedł na cmentarz. Do kogo mógłbym się zwrócić? Nie do matki. Wyobrażasz ją sobie fotografującą grób?! A szczególnie ten! Umarłaby ze wstydu.

- Możesz na mnie liczyć. Obiecuję.
- Dziękuję... I druga rzecz. Chciałbym mieć adres Quéré.

Tym razem Hervé wpada w złość.

– Co to to nie! – wykrzykuje. – Znów zaczynasz zajmować się tymi głupotami! Jak miałbym zresztą go zdobyć? Co? Od dawna już tu nie mieszka.

- Odszukaj go. To nie może być szczególnie trudne.
- Po co ci ten adres? Aby do niego napisać?
- Jeszcze nie wiem. Być może.

Kolejny, tym razem dłuższy, sygnał klaksonu. Hervé wstaje. Ronan przytrzymuje go za rękaw.

- Należy mi się to od ciebie – mówi bardzo szybko, jakby ze wstydem.
- Dobrze. Zgoda. Do zobaczenia i dbaj o siebie.

Ronan wydaje się rozluźniony, niemal radosny. W chwili, gdy Hervé otwiera drzwi, rzuca pytanie:

- Jaką masz gablotę?
- Porsche.
- Szczęściarz!

Starsza pani czeka na pierwszym stopniu schodów.

- Jak on według pana wygląda? – pyta trwożliwie.
- Nie najgorzej.
- Tak bardzo zeszcupłał.

Drobnymi kroczkami schodzi przed gościem.

– Ma pan szczęście – podejmuje. – Z panem jest bardziej rozmowny niż ze mną. – wzdycha. – Charakter ojca. Zamierza pan wrócić?

- Myślę, że tak.
- Niech mu pan nie pozwoli za dużo mówić. To go męczy.

Towarzyszy mu aż do bramy, zamykają za nim dokładnie niczym furtianka. Hervé zajmuje miejsce w samochodzie z furją trzaskając drzwiczkami. Iwona poprawia maki-jaż.

– Nie zapomnę ci tego! To nazywasz trzema minutami? – Mówi przez zęby, wykrzywiając do lusterka twarz. – A poza tym – dorzuca – jesteś wściekły.

Hervé nie odpowiada. Gwałtownie rusza, kieruje się w stronę placu przed dworcem, pospiesznie zmieniając biegi i ryzykownie wyprzedzając.

– Powoli! – protestuje Iwona.

– Wybacz mi – mówi Hervé. – Wkurzył mnie ten dureń Ronan. Zwalnia, zręcznie parkuje przed restauracją Du Guesclin, pomaga wysiąść młodej kobiecie. Portier otwiera im drzwi. Porozumiewawczy uśmiech. Hervé jest tu stałym bywalcem. Uniżony kierownik sali wskazuje im ustawiony trochę na uboczu stolik.

– Nareszcie spokój – wzdycha Hervé. – Już lepiej.

– Dlaczego jesteś taki zły? Pokłóciliście się?

– Nie, właściwie nie.

– Opowiadaj.

Pochyla się ku niemu, słodka i ożywiona.

– Szybko, opowiadaj. Powiedziałeś mi tylko, że to kumpel, który wyszedł z więzienia. A więc czekam na ciąg dalszy!

– Kelner – wzywa Hervé – dwa razy martini! Chwyta dłoń towarzyszki.

– Co on zrobił? – podejmuje dziewczyna. – Ukradł?

– Zabił – szepce Hervé.

– Och! Cóż za okropność! I ty odwiedzasz takiego typa?

– Byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

– Kiedy?

– Przed dziesięcioma laty. A nawet znacznie wcześniej. Chodziliśmy razem do liceum. Bardzo mi imponował.

– Dlaczego? Nie byłeś chyba od niego głupszy.

Kelner podaje martini. Hervé unosi swój kieliszek, ogląda go w zamyśleniu, jakby pytał o radę kryształową kulę.

– To skomplikowane – odpowiada. – Ronan należy do osób, które przyciągają cię, a zarazem odpychają. Kiedy jesteś z nim, a próbujesz wszystko, co robi i mówi. Ale gdy zostajesz sam, przestajesz się z nim zgadzać. Jakby działa się to w kinie. Posłusznie wszystko przyjmujesz, po czym stwierdzasz: „to bezsensowne!”. Kiedy wpadł na pomysł Frontu Celtyckiego, o władnę nim całą naszą czwórkę albo piątkę.

– Co to było, ten Front Celtycki?

– Rodzaj małego związku, jakich wiele. „Bretania dla Bretończyków.” Wiesz, o co chodzi. Ale od razu sprawy zaszły za daleko. Ronan, sam nie wiem jakim sposobem, wystarał się o pieniądze, a nawet broń. Gdy czegoś chce, staje się niebezpieczny. Nam wydawało się, że to zabawa w wojnę, w policjantów i złodziei. Nie on. Do diabła, nie! Musieliśmy rozdawać ulotki, rozlepić plakaty.

– To pasjonujące.

– Do pewnego stopnia. Kiedy zaczęło się wysadzanie transformatorów, tłuczenie glin, poczułem, że sprawy przyjmą zły obrót.

– Biedny głuptasie! Ty również tłułeś gliny? Nie wierzę.

– Byliśmy smarkaczami. Jedni podburzali innych. A w głowie szumiało od tyrad Ronana. Biliśmy się za wolną Bretanię.

Kierownik sali podaje im jądłospis, sposobi się do notowania.

– Wybieraj – mówi Iwona.

Hervé, któremu spieszo podjąć wątek zwierzeń, zamawia ostrygi, dwie sole i butelkę muszkatela.

– I co dalej? – pyta Iwona po odejściu kierownika sali.

– Co dalej? A więc nasze postępowanie stawało się coraz brutalniejsze i nastąpiła katastrofa. Ile wtedy miałaś lat? Dziewięć, może dziesięć? Trudno sobie przypomnieć. A jednak sprawa narobiła hałasu. Barbier... Nic ci to nie mówi? Właśnie został mianowany komisarzem. Przybywał z Lyonu, uważał autonomistów za hołotę i publicznie zobowiązał się, że da im nauczkę. Pomijam szczegóły, oświadczenia w prasie itd. Wiem natomiast, że ojciec Ronana jawnie go popierał. Kapitan i Ronan byli ze sobą na noże. Wyobrażasz sobie minę starowiny, oficera z pięcioma galonami, udekorowanego i tak dalej, gdy Ronan oznajmiał, najchętniej przy stole, że Barbier jest skurwysynem i że na pewno znajdzie się ktoś, kto go w końcu załatwi.

– I to był on? – pyta Iwona z zawieszonym w powietrzu widelcem.

– Poczekaj! Nie tak szybko. Najpierw Barbier wpakował do mamra kilku nieostrożnych ryzykantów, największych pyskaczy. To jeszcze nie było najgorsze. A potem pewnego dnia w Saint-Malo odbyła się manifestacja, która niedobrze się skończyła. Śmieszna historia z rozrzuconymi na jezdni kalafiorami. Doszło do rozróby. A wtedy nigdy nie wiadomo, co się stanie. Krótko mówiąc, jeden trup. Jakiś zabity strzałem z rewolweru rybak. Barbier tłumaczył rzecz na swój sposób; mówił, że w tłumie

znajdowali się prowokatorzy i oskarżył pewne grupy podżegaczy, również Front Celtycki, który nie miał z tym nic wspólnego, zapewniam cię. Od tej właśnie chwili nie wiem za dobrze, co się wydarzyło. Nawet nie podejrzewałem Ronana, kiedy Barbier został zabity. Gdy dowiedzieliśmy się, ja i przyjaciele, że został aresztowany i że przyszedł się do winy, byliśmy kompletnie przybici.

– Nie uprzedził was?

– Skądże! Gdybyśmy wiedzieli, co przygotowuje, staralibyśmy się go powstrzymać. Ale on zawsze był bardzo skryty. A poza tym z pewnością domyślał się, że na to nie przystaniemy. Zastrzelił policjanta! Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę. Schowaliśmy się w najciemniejszym kącie.

– I nie byliście niepokojeni?

– Nie. Sprawy potoczyły się bardzo szybko. Trzy dni po zbrodni Ronan został denuncjowany. Anonimowy list. Natychmiast się przyznał. I zaraz potem jego przyjaciółka, Katarzyna Jaouen, popełniła samobójstwo.

– Cóż za okropna historia!

– Była w ciąży. Straciła głowę.

– No, ale przecież... ten Ronan.

– Nie wiedział o tym. Jeszcze go nie powiadomiła. Gdyby wiedział, że ona jest w ciąży, zachowywałby się spokojnie. Uwielbiał ją. Była dla niego wszystkim.

– Dziwny sposób kochania.

Hervé uśmiecha się smutno.

– Nie rozumiesz – mówi. – Ronan jest typem pasjonata. Zawsze robił wszystko namiętnie. Kocha i nienawidzi do szaleństwa. A nie można zapominać o jeszcze jednej rzeczy. Starannie przygotował zamach i uważał, iż absolutnie nic mu nie grozi.

– Tak się mówi. I widzisz, jak to wygląda.

– Nie, nie. Wciąż jestem przekonany, że poradziłby sobie, gdyby go nie wydano.

– Jednakże, o ile dobrze zrozumiałam, nikt nie wiedział.

Hervé opróżnia kieliszek i długo ociera usta.

– Porozmawiajmy o czymś innym – odpowiada. – Teraz to wszystko jest takie odległe.

– Jeszcze małe pytanie – nalega Iwona. – Nie byliście niepokojeni, ale policja trochę się wami zajmowała. Wyobrażam sobie, że w jej archiwach nie brakowało i waszych kartotek.

– Oczywiście. Ale Ronan oświadczył, że nie miał żadnych współników, co było prawdą. Wziął wszystko na siebie.

– Przynajmniej tyle.

Rozdrażniony Hervé potrząsa głową.

– Nie rozumiesz. Ronan nie jest łajdakiem.

– Podziwiasz go!

– Na pewno nie. Już nie, w każdym razie.

– Ale znów zaczynasz go odwiedzać. Ja na twoim miejscu dałabym spokój.

Hervé ugniata kulkę z chleba. Zastanawia się.

– Widzisz – ścisza głos – to ja jestem łajdakiem. Powinienem być zeznawać na jego korzyść. A tak nie zrobiłem. Och! Wiem. To niczego by nie zmieniło. Odsiedziałyby i wtedy piętnaście lat. Lecz czułbym się uniewinniony... Czego sobie życzysz na deser?

– Twój przyjaciel...

– Nie. Skończone. Koniec rozmów o nim. Wezmę lody i bardzo mocną kawę. A dla ciebie?... Kawałek ciasta?... No! Zapomnijmy! Życie dzieje się teraz.

Pochyla się i całuje Iwonę za uchem.

Drogi przyjacielu!

Pisanie do pana weszło mi już w nawyk. Proszę mi wybaczyć, że zasypuję pana marną prozą. Wśród szarości życia odzyskuję nieco równowagi jedynie w poświęconych panu chwilach. Nie zwracam się do pana – rozumiem to pan z pewnością – by się skarżyć, ale odnoszę wrażenie, iż przez indywidualny przypadek opisuję los tysięcy, dziesiątków tysięcy ludzi w moim wieku. Nie jest rzeczą ważną doznawanie, ale obserwacja z boku tego, co przeżywamy: umieramy w środku, pod korą, niczym drażony przez robaki pień.

Gdybym był kawalerem, lepiej potrafiłbym się bronić. A zresztą, nie jestem piewien. Być może zrezygnowałem już z walki. Lecz istnieje Helena, która podtrzymuje mnie na duchu, dodaje odwagi, i która jednak czasami musi mówić do siebie: „Cóż za człowiek z niego”. Jakbym nie dość zajadle walczył! Jest między nami pewna drażliwa

sprawa. Unikamy jej roztrząsania. Na razie to tylko siniak miłości. Jutro może stać się nieuleczalnym krwiakiem.

Dobrze wiem, co uspokoiłoby Helenę. Chciałaby mnie nawrócić, sądzę, że już o tym panu pisałem. Oczekuje ode mnie jednego, jedyne dowodu dobrej woli, a ja nie mogę go jej dać. Zdarzają się między nami gwałtowne kłótnie. Zarzuca mi, że nie modłę się razem z nią, że w pewnym sensie zrzucam na nią cały ciężar duchowych zmagañ. Jak mógłbym nie czuć, jakie myśli krążą po jej głowie, a mianowicie, że na niej spoczywa również ciężar naszego utrzymania. Nie próbuję dyskutować. Zupełnie wystarczy, że chociaż wiem, na czym poprzestać. To moja sprawa, że jej wiarę uważam za śmiechu wartą. Ale proszę zobaczyć paradoks: każde z nas uważa, że drugie cierpi na rodzaj ułomności – w ten sposób nigdy nie jesteśmy pogodzeni.

Ja niestety stałem się człowiekiem targanym wątpliwościami i z pewnością dlatego bez odrobiny wiary czynię codziennie kolejne kroki. Niekiedy mam wrażenie, iż biorę udział w zabawie w gęsi; bez przerwy trzeba powracać na pole „start”, a tam redagować wciąż i wciąż ten sam życiorys.

Nazwisko. Imiona. Miejsce i data urodzenia. Stosunek do służby wojskowej. Ewentualnie stopień. Prawo jazdy. Numer, data, miejsce... Potem trzeba przejść do szkół, dyplomów, zaznaczyć, czy mówimy biegle jednym lub kilkoma obcymi językami. Następnie określić sytuację rodzinną, w szczególności opisać przebieg pracy zawodowej. Przeradza się to w striptiz, w dodatku należy jeszcze podać moralne referencje. I zapominam o nich. Jako że wszystkie te papierzyska powędrują do kosza, ograniczam się do kilku pobieżnych informacji, które przepisuję jak automat. Z góry wiem, że pierwszy rzut kostką do gry wyśle mnie do studni albo do więzienia, albo na pole „start”.

I absurdalna gra rozpocznie się od nowa. A w tym czasie topnieją pieniądze. Choć przecież nie popełniamy żadnych szaleństw. Kiedyś kupowałem książki. Teraz sobie ich odmawiam. Uważam, że prościej jest pójść do Beaubourg i niedbale przerzucić kilka ilustrowanych czasopism. Straciłem upodobanie do nauki. Po cóż zresztą miałbym się uczyć? Starcza mi dotrwanie do kresu dnia, po którym zostaje ślad w postaci niedopałków. Pociesza mnie, że coraz więcej pojawiają się wokół mnie bezrobotnych. Rozpoznajemy się po nie wiedzieć jakich tajemnych znakach. Wymieniamy kilka słów; nigdy nie dochodzi do zwierzeń, ponieważ zwierzenia sprawiają ból, a poza tym

tak naprawdę nikt nikim się nie interesuje. Ale istnieje ukryta przyjemność spotkania. „Ach! pan także!” I każdy idzie dalej wiodącą donikąd drogą. Mówię sobie często, iż to powoli ogarniające serce zubożenie jest najgorszą formą przemocy.

Przypominam sobie, że kiedy byłem w Rennes, często dyskutowałem z młodymi ludźmi, którzy stworzyli rodzaj tajnego stowarzyszenia, o dość mglistych celach. Właśnie na przemoc odczuwaną ze strony rodzin, nauczycieli wszechpotężnego Państwa, skarżyli się przede wszystkim. Podstępna przemoc, niczym paraliżujący ciężar, który pozbawiał ich wolności, przeciwko której się buntowali.

„Trzeba wysadzić pokrywę w powietrze” – twierdzili. Zauważę mimochodem, iż zrobili to z powodzeniem, gdyż całe przedsięwzięcie skończyło się tragicznie.

Lecz owa skryta przemoc, na którą słusznie się skarżyli – zauważyłem to zbyt późno – nie jest najbardziej nieznośna. Zdruzgotani bronimy się, i bardzo dobrze! A kiedy przestajemy mieć poczucie wewnętrznego rozbicia? Czy wtedy, gdy wątpliwości wytryskają niczym pestka z owocu i jesteśmy już jedynie samą skórą?

W takim znajduję się stanie. Helena wstaje, czesze włosy, maluje się, podgrzewa kawę i nagle staje się już tylko pozbawioną konsystencji sylwetką. Nie warto wyciągać rąk. Jest niedostępna. Mijają w ten sposób dni i noce, kiedy jest obok mnie, nigdy nie będąc ze mną. Mówi, że powinienem przeciwdziałać. Jeśli nie chcę wpaść w depresję. Przeciwdziałać – cóż to właściwie znaczy? Wszyscy dobrze wiedzą, że bezrobocie wciąż rośnie, a pętla społecznej maszyny zaciska się coraz bardziej. Ale Helena żyje jakby w strefie frywolności, w kontakcie z kobietami, dla których piękność stanowi jedyną troskę. Nie ma czasu na czytanie gazet, a kiedy słucha radia, interesuje się jedynie konkursami. Świat nie stanowi dla niej żadnego problemu. Istnieje Bóg, dobro, zło. Oczywiście dobro musi w końcu zwyciężyć. Kiedy sprawy przybierają zły obrót, należy schronić się pod parasolem modlitwy. Najgorsze nie trwa długo. Kończą się wojny, kończą plagi. Życie zawsze zdoła się prześliznąć i zwyciężyć.

Ściskam pięści. Powstrzymuję się, jak mogę. Na moim miejscu Langlois już by wykrzykiwał: „Ale, na Boga, jeśli tkwimy w gównie, zawsze możemy powiedzieć, jakie życie jest piękne”.

Przepraszam, drogi przyjacielu. Obrażam pańskie uczucia. Zwłaszcza, że z wielu

różnych powodów stoi pan po stronie Heleny. Ale ja i Helena należymy do odmien-
nych gatunków ludzi. Nie zarzucam jej powierzchownej wiary. A zarzucam jej – w
sposób napełniający mnie wstydem – przynależność do kategorii uprzywilejowanych.
Tych, którzy mają zawsze zapewnioną pracę, ponieważ kobiety zawsze będą dbały o
fryzury, podczas gdy ja czuję się proletariuszem żyjącym z opieki społecznej, kimś, kto
nie wie, jak wołać o pomoc. Gdy myślę o bezpiecznym dzieciństwie, o tych wszystkich
latach, kiedy byłem pewien jutra! Zresztą, tego chciałem, nie wiedziałem, co mi się
przytrafi. Byłem dumny z wyboru drogi. Przypominałem ochotnika, który nie doświad-
czył jeszcze okropności transzei. Mięso armatnie czy bezrobotny, na jedno wychodzi.
W moim przypadku dochodzą okoliczności obciążające; nie cierpię być źle ubrany, nie
lubię, jak mówią do mnie per „ty” i nienawidzę gauloisów.

– Kieliszek calvadosu, panie Quéré?

Nie odmawiam, jako że alkohol bywa pomocny. My, inwalidzi pracy, tak bardzo
potrzebujemy ciepła!

Do widzenia, drogi przyjacielu. Wracam, by zająć się kuchnią. Zdobyłem już
wprawę w robieniu frytek.

Z wyrazami szacunku

Jean-Marie

P.S. Wracając znajduję pański list. Stokrotne dzięki. Tak, jeszcze dziś odwiedzę te-
go pana Didisheima. Nie jestem pewien, czy o takiego człowieka jak ja mu chodzi. Ale
będę się starał. Jestem zdecydowany uczynić wszystko, co w mojej mocy. Pańska re-
komendacja usunie wszelkie przeszkody. Nie wiem, jak wyrazić panu wdzięczność.
Raz jeszcze dziękuję.

Ronan siedzi w fotelu, blisko nocnego stolika. Boli go prawy bok. Słabość fizyczna
sprawia, że czuje się upokorzony. Nie jest to sęp wyżerający mu wątrobę. Znacznie
gorzej. Cierpienie. Swędzi go. Powoli jest nadgryzany. Myśli o rojącym się od mu-
szych larw ochłapie mięsa. Masuje się i drapie. Matka z pomocą starej służącej ścieli
mu łóżko.

– Proszę dobrze naciągnąć prześcieradło – nakazuje. – Ronan nie lubi fałd.

Sprawdza godzinę na zegarku, którego bransoletka luźno zwisa na wychudzonej ręce. Jeżeli Hervé się nie spóźni, on też nie powinien kazać na siebie czekać.

- Już gotowe. Mam ci pomóc?
- Ależ nie – odburkuje. – Sam dam sobie radę.

Zdejmuje szlafrok i wślizguje się do łóżka. Błogość. Nic już nie waży, jakby płynął na wznak. Matka patrzy na niego surowo.

- Źle się czujesz? Po oczach widzę, że źle się czujesz.
- Dobrze. Źle się czuję. Zadowolona? Aj! Aj! Jak się źle czuję!
- Ronan! Dlaczego jesteś taki nieprzyjemny?
- To nie ja zacząłem.

Odpowiada gwałtownie, jak gdyby gryzł. Widząc, że ona odchodzi, uspokaja się, by dorzucić:

- Tylko żadnych konszachtów z Hervém. Niech od razu wejdzie na górę. Nie zostanie długo.
- Będziecie się regularnie widywać?
- Dlaczego nie? Trzeba przecież, by mi opowiedziano, co dzieje się w mieście.
- Sądzisz, że nie jestem w stanie tego zrobić?
- To nie na jedno wychodzi. Nie widzicie tych samych rzeczy. Ale właśnie dzwoni. Idź prędko.

Hervé okazał się szybki. Ze zdjęciami musiało pójść łatwo. Ale zebrać w osiem dni informacje na temat Jean-Marie Quéré, to doprawdy zasługuje na uznanie. Ronana przepęlnia życzliwość dla przyjaciela. Wyciąga do Hervého rękę.

- I co?

Hervé klepie lekko dyplomatkę.

- Wszystko tu jest!
- Najpierw zdjęcie – szeptem Ronan.

Głos ma zachrypnięty, a skronie obficie zroszone potem.

- Zrobiłem cztery – mówi Hervé.

Wyciąga z dyplomatki kopertę i zaczyna ją otwierać.

- Daj.

Ronan przedziera kopertę i patrzy na pierwszą fotografię. Zwykła granitowa płyta nagrobna. Wyblakły nieco napis.

Katarzyna Jaouen
1950–1970
Niechaj spoczywa w Bogu

Świeże kwiaty u stóp grobowca i poprzeczny cień cyprysa. Ronan zamyka oczy. Oddycha jak po długim biegu. Katarzyna właśnie umarła w jego palcach.

– Ronan!... Stary!

Głos Hervégo dochodzi z bardzo daleka.

– Czekaj – szepce Ronan – czekaj... To minie. Pomóż mi się podnieść.

Z pomocą przyjaciela opiera się o poduszkę, odważnie przywołuje uśmiech na twarz.

– To potrafi wstrząsnąć człowiekiem, rozumiesz.

Ogląda trzy pozostałe zdjęcia, zrobione z oddalenia, które pozwala dostrzec aleję i sąsiednie groby.

– Dziękuję – mówi. – Do tych mogłeś użyć innego obiektywu. Tło jest trochę niewyraźne.

Ścisła dłoń Hervégo szorstko i czule zarazem.

– Mimo wszystko bardzo dobrze. Nieźle sobie poradziłeś.

Głos mu nieco drży.

– Teraz – dodaje – trzeba będzie z tym żyć!

– Jeżeli mogę... – zaczyna Hervé.

– Nie. Cicho.

Zapada milczenie i słychać wyraźnie, jak za drzwiami szeleści materiał.

– Słuchaj – szepce w końcu Ronan – schowasz te zdjęcia w bibliotece obok. Zobaczysz książkę Vercela... wiesz, tę którą lubisz...

„Kapitan Conan”... Włóż je do środka. Zrób to po cichu. Żeby nie wiedziała, co się dzieje.

Hervé na palcach przechodzi do gabinetu. Zna go dobrze. Tyle razy w nim bywał. Bez trudu znajduje powieść Vercela. Spełnione zadanie. Skinieniem głowy Ronan wyraża zadowolenie.

– Powiedz mi o Quéré – prosi.

– Tak jak myślałem – zaczyna Hervé, wyjmując z dyplomatki kartkę z wystukany na maszynie tekstem – mieszka w Paryżu, przy ulicy... Verneuil, na lewym brzegu. Tej ulicy nie znam... Jest żonaty.

- Łajdak!
- Jego żona pracuje w salonie fryzjerskim. Ma na imię Helena.
- Jak udało ci się zebrać te informacje?
- A co można zrobić, kiedy nie ma się czasu na przeprowadzenie wywiadu?
- Prywatny detektyw?
- Właśnie. To nie trwało długo. Wystarczyły mu cztery dni na odszukanie Quéré.

Ci ludzie są zręczni. I nie myśl, że Quéré ukrywa się. Wcałe. Żyje ze swoją żoną w pełnym świetle. W tej chwili szuka pracy.

– Pracy! – mówi Ronan. – Czyż nie można umrzeć ze śmiechu? Gliny mogły go zatrudnić jako konfidenta. To wszystko co wiesz?

- Wszystko. Co chciałbyś jeszcze wiedzieć?
- Jak on wygląda?... Czy rozpoznałbym go?

Hervé podrywa się z miejsca.

- Rozpoznać go? W twoim stanie? Chyba nie masz zamiaru...
- Oczywiście, oczywiście – odpowiada Ronan. – Ot, taki sobie pomysł. Kiedyś był ogolony, ale teraz być może zaczął nosić się modnie. Widzę go z piękną brodą. I jak?... Piękna broda, co o tym myślisz?

Śmieje się, jego twarz przez chwilę wygląda jak buzia dziecka. Hervégo ogarnia wzruszenie.

– Tak – mówi. – Piękna broda. Ale nie podniecaj się. Masz, czego chciałeś. A więc myślę, że zachowasz spokój.

- Od dawna jest żonaty?
- Tego nie ma w sprawozdaniu.
- Czy twój detektyw mógłby się więcej dowiedzieć? Na mój koszt, rzecz jasna.
- O nie – protestuje Hervé. – To moja sprawa. Mógłbym go poprosić. Ale do czego ci to potrzebne? Co ty właściwie kombinujesz?

– Och! Nic – odpowiada Ronan. – Wiesz, kiedy jest się uwięzionym w pokoju, można rozmyślać do woli. Chciałbym, by wiedział, że mnie zwolniono; to wszystko. Pragnę, by się tym dręczył. Jeżeli szuka pracy, ma tyle co ja wolnego czasu. Cieszyłbym się, gdyby wraz ze mną rozpamiętywał przeszłość. Nam obojgu dobrze by to zrobiło. Nie? Nie zgadzasz się?

- Biedny stary, to nie zwróci ci Katarzyny.
- Już nigdy nie będziemy rozmawiać o Katarzynie – rzuca ze złością Ronan.

Ból sprawia, iż jego twarz wydaje się jeszcze bardziej mizerna. Hervé chwilę odczeka, po czym wstaje.

– Wybacz. Trochę mi się spieszy.

– To prawda – odpowiada z ironią Ronan. – Jesteś człowiekiem interesu. Zawsze gotów do działania. Zdaję sobie sprawę, że ci się naprzykrzam.

– Wcale nie.

– Często jeździsz do Paryża?

– Tak. Nasze tamtejsze biuro dobrze prosperuje, ale naturalnie trzeba mieć oczy otwarte.

Ronan podnosi się na łokciach, przybiera tajemniczą minę.

– Polegam na twoim detektywie – mówi – ale gdybyś sam zobaczył Quéré, sprawiłoby mi to największą przyjemność. Dobrze go znałeś, dlatego zwrócisz uwagę na drobiazgi, o których glina nie pomyśli... Jak jest ubrany... czy wydaje się strapiony... wreszcie będziesz mógł porównać dawnego Quéré z dzisiejszym.

– To już najwyraźniej obsesja.

– Postarałbyś się?

– Nie. Nie będę miał czasu.

– Szkoda – wzdycha Ronan, opadając na łóżko. – Trudno. A więc w takim razie poproszę cię... Nie odmawiaj... Czy mógłbyś dla mnie ozdobić grób kwiatami? To sprawa godziny. Możesz poświęcić mi godzinę?

– Tak, mogę.

– Dobrze. Weź pieniądze z szuflady.

– Nie. To ja...

– Nie dyskutuj. To są pieniądze z więzienia. A więc niech się teraz zamienią w róże, goździki, we wszystko, co chcesz, aby tylko było piękne. Zgoda?

– Zgoda.

– Do zobaczenia!

Ronan odprowadza wzrokiem Hervégo. Ładna, pusta głowa z niego! Ale potrafił odkryć najistotniejsze. Ulica Verneuil... Mając adres będzie można wziąć Quéré w obroty. Ronan już rozmyśla nad słowami pierwszego anonimowego listu. „Dobierzemy się do ciebie”. Albo: „Znaleziono cię, szmato.” Coś w tym rodzaju. Żeby nie mógł spać. Na początek.

Drogi przyjacielu!

Złożyłem zatem wizytę panu Didisheim. Bez trudu zauważyłem, iż pański list przychylnie nastawił go do mnie, bowiem okazał się nadzwyczaj uprzejmy. A tacy petenci są przeważnie przyjmowani jak żebracy. Długo mnie wypytywał, choć taktownie i uprzejmie. Niełatwo z pewnością znaleźć dla mnie miejsce w takim przedsiębiorstwie jak jego. Nie ukrywałem przed nim, że nie posiadam żadnego doświadczenia handlowego. Tak zresztą przypuszczał, ponieważ powiedział mu pan, skąd pochodzę, co robiłem i co pragnę robić. Przez wzgląd na pana nie chciał mi powierzyć podrzędnego zajęcia, lecz z drugiej strony nie miał prawa podejmować ryzyka, umieszczając na znacznie przerastającym moje możliwości stanowisku. Krótko mówiąc, zgadza się mnie zatrudnić na próbę jako zarządcę „supermarkeciku”, który wkrótce zacznie działać na placu Jules-Jofftin, na Montmartrze. Dla informacji: w zawodowym żargonie „supermarkecik” oznacza całkiem mały supermarket. Twierdzi, iż łatwo jest mieć na wszystko oko. W sumie praca moja polegać będzie na kontrolowaniu i prowadzeniu na bieżąco spisu najlepiej sprzedawanych artykułów, ponieważ sklepy wykorzystują dane statystyczne. Nie mam zamiaru zanudzać pana wszystkimi objaśnieniami, których wysłuchałem i od których pęka mi głowa. Supermarkecik ów leży dość daleko od mojego domu, ale istnieje przecież metro.

Pan Didisheim pokazał mi lokal. Reklamowe płótna nad wejściem obwieszczają rychłe otwarcie sklepu, a z głośnika wydobywa się muzyka wywołująca dreszcze, ale to ponoć konieczne. Może pan sobie wyobrazić wewnątrz: sklep spożywczy, poszatkowany stosami konserw, skarpami butelek, barwnymi szpalerami przeróżnych towarów. I ja będę nad tym wszystkim królować! To aż nie do wiary. Będę miał czterech pracowników, trzy kobiety i jednego mężczyznę. Oddano mi do dyspozycji biureczko, maszynę do pisania i mały kalkulator, który już wywołuje u mnie zimne poty. Ale obiecuję panu uczynić wszystko, co w mojej mocy. Jestem to panu winien. Helenie również. Przejście od Marceau Langlois do coca-coli może, rzecz jasna, przyprawić o lekki zawrót głowy. Przypominam sobie amerykańskich pisarzy, którzy przed osiągnięciem sukcesu byli kolejno nauczycielami tańca, scenarzystami, barmanami, kierowcami autobusów i bukmacherami. Być może nie jestem od nich głupszy. Tak mówię

do siebie, gdy ze ściśniętym sercem myślę o tym bunkrze żarcia, którym mam kierować.

Na szczęście będę miał obok siebie doświadczoną osobę, Magdalenę Sédillot, oddelegowaną z dużego supermarketu koło Porte d'Italie. Pan Didisheim przedstawił mi ją. Około pięćdziesiątki. Nieco obrażona mina znającej swe obowiązki wdowy. Jak się zdaje niezbyt miła, ale skuteczna w działaniu. Od razu wyczuła we mnie protegowanego dyrektora: nasze stosunki bez wątpienia nie ułożą się tak zupełnie dobrze. Ale, raz jeszcze powtarzam, dołożę wszelkich starań.

Helena jest zachwycona widząc, że wreszcie znalazłem zajęcie. Kupiła mi biały fartuch, podobny do aptekarskiego, coś co przynależy człowiekowi o sporych kompetencjach i fachowości. Tanie sklepy, supermarkety, to jej domena. Kiedy tylko ma wolną chwilę, biegnie tam, czyhając na okazję. „Pomogę ci. Zobaczysz – powiada – najważniejsze to dobre ułożenie sobie w głowie rozmieszczenia półek i lad.”

Naturalnie musiałem wyjaśnić, iż to dzięki panu zaoferowano mi tę posadę. Wcześniej nie mówiłem, że byłem niegdyś pańskim uczniem na wydziale katolickim. Nie wiele z tego rozumie. Zadawała się wiedzą, że od pańskich studentów roi się niemal wszędzie, że są lekarzami, adwokatami, inżynierami czy zakonnikami i że wciąż ma pan na nich silny wpływ. Prosi, bym panu podziękował i nie zapomina dorzucić: „Opatrzność mnie wysłuchała. Byłam pewna, że tak się stanie”. Pragnę, by te słowa wynagrodziły panu poniesiony trud. Co do mnie, zadowolę się stwierdzeniem, iż dzięki panu trochę radości powróciło do domu. Wkrótce opowiem, jak odbyło się objęcie funkcji.

Jeszcze raz dziękuję, zapewniając o przyjaznych uczuciach.

Jean-Marie

Drogi przyjacielu!

Powinienem był napisać do pana wcześniej, ale odkąd otwarto sklep sam już nie wiem, jak mija dzień za dniem. Wiodę wyczerpujący tryb życia. A przecież moja praca nie wydaje się nazbyt skomplikowana. Być może istotnie nie byłaby taką dla kogoś innego. Aleja mam za dużo skrupułów. Wciąż sobie powtarzam, iż nie dość pracuję. Kiedy widzę klientki powoli pchające wózki od jednego do drugiego stoiska, z płonącymi oczami i gotową do zgarniania ręką, czuję, że zaraz mnie okradną, że mnie

okradają. To niemal fizyczny ból i nic nie mogę poradzić. Czuję się tak, jakby wypróżniano mi kieszenie! Chciałbym być wszędzie. Obserwuję jedną, następną... zwłaszcza te, które mają przepastne torby albo obszerne palt. Pani Sédillot zapewniła mnie, iż dość łatwo rozpoznaje profesjonalistki. Twierdzi, iż to kwestia węchu. Rzecz w tym, że mnie węchu brakuje. Ponieważ nawet najbardziej niewinne gesty wydają mi się podejrzane, nie potrafię nikogo złapać na kradzieży. Klientka obraca na wszystkie strony puszkę sardynek, spostrzega, że na nią patrzę, odkłada puszkę na miejsce, idzie dalej z do połowy napełnionym wózkiem, nie spiesząc się, niczym wyprowadzająca niemowlę na spacer opiekunka. Jeżeli za nią pójde, będzie sobie Bóg wie co wyobrażała! Ale wystarczy, że na chwilę się obróć, i już coś zniknie.

Bo kradną! To rzecz przyjęta i akceptowana. Pani Sédillot wyraźnie zaznaczyła, że dopóki kradzieże nie przekraczają 1,5 procent całego obrotu, nie ma powodu do niepokoju. Jeżeli jednak tę granicę przekroczą, można być wylanym z pracy. A więc krążę. Patroluję rejon artykułów promocyjnych. To moim zdaniem najlepszy teren do polowania, bo jest tu zawsze duży ruch. Zaczynam dobrze opanowywać topografię sklepu, tak jak strażnik dobrze zna swój las.

W dziale mrożonek nie ma się raczej czego obawiać. Klientki nie idą tam po to, by kraść, ale by się zaopatrzyć w niezbędne produkty. Ledwie wybierają. Mają gotowy posiłek. W części spożywczej pokusa staje się silniejsza, bowiem skromnych rozmiarów towar dużo kosztuje. Na przykład kawa. Telewizyjna reklama przyzwyczaiła ludzi do degustowania oczami Maxwella albo Fabre'a. Są to luksusowe towary. Trzeba więc mieć się na baczności. Nie złapałem jeszcze nikogo na gorącym uczynku. A zresztą, gdyby nieszczęśliwym trafem to mi się udało, nie wiedziałbym, jak postąpić. I mocno byłbym zakłopotany! Karanie nie jest moją mocną stroną.

„Niech pan obserwuje dyskretnie – radzi mi pani Sédillot – klienci nie lubią być pilnowani, Przychodzą na zakupy i po to, by się rozerwać”. Lecz jeśli należy pilnować udając, że się robi co innego, ja rezygnuję.

Koniec końców jest to ciężki zawód. Bezustanny ruch, ogłuszające dźwięki z głośników, ogłupiająca na dłuższą metę przechadzka wzdłuż półek, gdzie rozmieszczenie każdego towaru musi być zawczasu obliczone, by przyciągnąć uwagę i wzbudzić pragnienie konsumenta– wszystko to powoduje wyjąłwiającą mózg nerwowość. Poza

tym są rachunki do sprawdzenia, sprawozdania, które należy dostarczyć. A nade wszystko wewnętrzne przeświadczenie, że ta cała robota jest śmieszna, bo czy istotna dla oblicza świata może być wiedza, że dziś, bez wyraźnej przyczyny, makaron „Pan-zani” spisał się lepiej niż taki czy inny gatunek?

Lecz wszystkie zawody są męczące – sprzeciwia się Helena. – Czy sądzisz, że bawi mnie, kiedy matka Grandmaison opowiada o kolkach swego jamnika! A przecież muszę być uprzejma!

Pragnę być szczerą, drogi przyjacielu. Tak, często żałuję dawnego życia, które wiodłem w Rennes i które płynęło tak spokojnie. Dla pustyni opuściłem oazę przekonany, że oaza jest jedynie urojeniem. I dalej tak uważam. Ale złudzenie żywej wody wciąż budzi uczucie świeżości. Dobrze! Nie będę narzekał. Nie płacą mi źle. Należę do „aparatu kierowniczego”. Wyrażenie rzecz jasna idiotyczne, tak jak śmiechu warty jest cały ten administracyjny żargon. Ale owa przynależność oznacza mały galon na rękawie. A to imponuje Helenie. Tym lepiej!

Do zobaczenia, drogi przyjacielu.

Pański Jean-Marie

Drogi przyjacielu!

Nie pozwalam panu odetchnąć. Proszę mi wybaczyć. Przyszła mi do głowy okropnie dręcząca myśl. Rzuca się w oczy, że niewielki jest ze mnie pożytek w owym supermarkecie. Spostrzegam, że pani Sédillot nie została oddelegowana przypadkowo. Wciąż za mną stoi. Mam wrażenie, iż notuje, sporządza na mój temat sprawozdania. A wtedy zastanawiam się, czy pan Didisheim nie powierzył mi stanowiska jedynie po to, by sprawić panu przyjemność? Czyż nie jest to okrutny sposób przyścia mi z pomocą? Czy pan Didisheim i pani Sédillot nie prowadzą na mój temat poufnych rozmów? Jedno mówi: „To dla nas ciężar. Nigdy nam się nie przyda”, a drugie odpowiada: „Trochę przesadziłem. Cierpliwie poczekajmy!”

Być może źle interpretuję niektóre spojrzenia i zachowania. Chciałbym się mylić. Ale całkiem uczciwie pragnę pana przestrzec. Zadał pan sobie trud interweniowania

w mojej sprawie, nie potrafiłbym absolutnie zawieść pańskiego zaufania. Wolałbym porzucić posadę. Zatem proszę się nie wahać. Jeżeli przypadkiem pan Didisheim ma wobec mnie zastrzeżenia, niech mi pan da znać. Lubię jasne sytuacje.

Nie jest wykluczone, że dramatyzuję. Dobrze wiem, że nie potrafię nawiązać kontaktu z personelem. Stąd prawdopodobnie bierze się wrażenie, iż jestem odizolowany, otoczony pewną wrogością. Ale co robić? Jak mam się do tego zabrać? Istnieje rodzaj poufnej serdeczności, do której jestem niezdolny. Jowialność, otwartość, owszem chciałbym, ale nie leżą one w mojej naturze. Będąc skrytym wzbudzam nieufność, z czego zdaję sobie sprawę. Kasjerki są ledwie uprzejme. Po prawdzie nie mają czasu na gadaninę. Przez cały dzień płynie przed nimi, niczym niewyczerpana rzeka, wielokształtny, ludzki tłum, który kolejnymi falami pcha sprawunki: paczki, butelki, owoce, flakony, puszki. Lewą ręką kasjerki przesuwają towar po wąskiej taśmie, a równocześnie drugą z całych sił uderzają w klawisze maszyny. Drobne pieniądze, plastikowy woreczek dla każdego klienta. Następny proszę!

Nie mogę jednakże powiedzieć im: „Zbyt ciężko pracujecie”. Nie taka jest moja rola. A poza tym nie czuję się odpowiedzialny za system. Lecz lituję się nad nimi i dlatego tak bardzo pragnąłbym skutecznie działać. Jednak próżne są moje wysiłki. Zawsze postępuję nieodpowiednio. Wczoraj ustawiłem na widocznym miejscu cały rząd butelek oliwy (towar promocyjny). Młoda kobieta pyta mnie o stoisko z konfiturami. Uprzejmie ją tam prowadzę. Pojawia się sunąca za mną jak cień pani Sédillot. „Niech pan pozwoli im szukać – powiada – to zwiększa sprzedaż!”

Ogólnie biorąc, zabrania się serdecznego przyjmowania, życzliwości, usługiwania. Dlaczegoż więc miałbym się dziwić, napotykając wokół siebie jedynie chłód i obojętność? To mnie w pewnym sensie uspokaja. Ale handel bez handlowca nie przestaje mnie zdumiewać. Wszelako powoli zaczynam się przyzwyczajać. Pracuję tu już od trzech tygodni! Niech pan się nie lęka, drogi przyjacielu, rozmowy na mój temat z panem Didisheimem, jeżeli będzie pan miał okazję. Zgadzam się na wyciągnięcie mnie z kłopotów, lecz nie na jałmużnę.

Z wyrazami przyjaźni
Jean-Marie

Drogi przyjacielu!

Nie myliłem się. Jestem wstrząśnięty. Krótko mówiąc, znalazłem w skrzynce anonimowy list. Właśnie wracałem, by zająć się kolacją. Teraz na szczęście Helena wraca późno. W przeciwnym razie to ona znalazłaby tę obrzydliwość. Och! Tekst nie jest skomplikowany: *Pierwsze ostrzeżenie*. Dużymi literami. To wszystko. Ale wystarczy. Od razu zrozumiałem, skąd pochodzi cios. Z pewnością to ktoś z mojego otoczenia. Zatem ktoś ze sklepu. Słusznie podejrzewałem, że mają mi za złe. List wysłano na ulicy Littré, więc bardzo daleko od sklepu, by wprowadzić mnie w błąd. Ale oczywiście nie dałem się nabrać. Od wczoraj próbuję zrozumieć. Dlaczego taka pogróżka, bowiem w końcu chodzi o pogrózkę, nieprawdaż? Nikomu nie wyrządziłem krzywdy. Że mnie nie lubią, zgoda! Ale że chcą się na mnie zemścić?! Dręczę się myślami. Szukam. I dlaczego: „Pierwsze ostrzeżenie”? Jak gdyby miało być także i ostatnie? Przed czym?... To wszystko nie ma sensu. Pani Sédillot jest z pewnością wiedźmą, ale nie widzę jej w roli kruka. Innych zresztą także nie. Poza tym to nie w ich stylu. Raczej otrzymałbym obelgi. A nie suche jak wyrok słowa.

Jeżeli nie ze sklepu, to skąd pochodzi ów list? Przepraszam, że zanudzam pana tą historią, ale nie mogę się powstrzymać. Być może będzie pan mógł mi doradzić. Szczegółowo analizuję wszystkie hipotezy. Zastanawiałem się nawet, czy... Ale po dziesięciu latach, kto może o mnie pamiętać. Stempel pocztowy dał mi na chwilę do myślenia. Ulica Littré znajduje się przy dworcu Montparnasse. Dworcu Zachodnim, gdzie wysiadają pasażerowie z Rennes! Lecz powtarzam, po dziesięciu latach! Gdyby ktoś chciał dać o sobie znać, zrobiłby to w miesiącach, które nastąpiły po moim nagłym wyjeździe. Nie. Pierwsze ostrzeżenie każe myśleć o dopiero co podjętym, gwałtownym działaniu, jak gdyby ktoś niedawno postanowił uczeplić się mnie. A „od niedawna” oznacza niechybnie od czasu moich początków w sklepie. Wracam do pierwszych hipotez, które jednakże uważam za absurdalne.

Nie ma pan pojęcia, jakie zniechęcenie mnie ogarnia. Namacalnie odczuwam głupią niegodziwość, podstępność, pełzającą, którą widziałem już u ludzi pióra, ale której mi oszczędzono, bo byłem zbyt mało znaczącą osobą. Należy sądzić, że komuś teraz przeszkadzam. Ja! Ja, który chciałem zniknąć w tłumie! Być może zajmowane przeze mnie stanowisko było wcześniej obiecane innemu? Być może kogoś bezwiednie odtrąciłem?

Posada jest niczym koło ratunkowe. Żeby ją otrzymać, z pewnością należy walczyć do upadłego! Wszystkie chwytaki są dozwolone. Domyśla się pan więc, w jakim stanie ducha wyruszam do pracy? Ledwie ośmielam się odezwać do nich słowem.

Pani Sédillot nie wydaje się zakłopotana. Jest jak zwykle nieco zamknięta w sobie, sprawia wrażenie nauczycielki. Mówi mi: „Z powodu deszczu podrożały warzywa. Zielony groszek i jarzynowe sałatki w konserwach będą bardzo poszukiwane. Niech pan nie da się zaskoczyć”. A ja patrzę na nią, badam jej twarz gładką jak mur, na którym napisano: „Nalepianie afiszów wzbronione.” Czy na mojej twarzy odczytuje popłoch, zaniepokojenie? A inne? Czy pokpiwają ze mnie, gdy spotykają się w szatni? „Widziałas jego gębę? Pewnie przekreśli się ze złości.”

Chodzę od biura do sklepu, nie mogąc się skoncentrować. Z rękami założonymi na plecach włóczę się bez celu między ladami. Czyż nie jest żałosny ów przechadzający się wśród nagromadzenia żywności przygnębiony człowiek, kiedy z głośnika płynie rzewna muzyka? Idę wzdłuż mrozonek. Myślę: „Pierwsze ostrzeżenie, to wygląda na dzieło mężczyzny, niczym wyzwanie pojedyńkowicza!” Wracam do perfum i zadaję sobie pytanie: „Jeżeli nastąpi drugie ostrzeżenie, czy powinienem Helenie powiedzieć o tym?” Skręcam w stronę pasztetów i wieprzowiny. „Może to kawał? Żeby mnie rozdrażnić?” Obchód zakończony. Znajduję się w pobliżu kas. Przy wejściu spiętrzone wózki. Nikt chyba nie zwraca na mnie uwagi.

W miarę upływu czasu mniej cięży leżące na sercu brzemię. Zaczynam godzić się z sytuacją. W końcu, co mi się może przytrafić? I oto znów wyruszam w nowy obchód. Będą robili wszystko, bym stracił posadę? Niemożliwe. Zbyt dobrze ochrania mnie prawo pracy. Bezrobotny zagubiony jest na „ziemi niczyjej”. Ale od chwili podjęcia pensji zyskuje pełne bezpieczeństwo. A więc czekam na tego, kto chciałby wysadzić mnie z siodła. Wyrzucam sobie nadmierną wrażliwość. Przypominają mi się sentencje Langlois.

„Życie jest kością ze szpikiem. Nie należy szarpać zębami, lecz ssać.” A ja przez całe życie łamię zęby. Przysięgam panu, iż trudno jest pozostać wiernym samemu sobie i obranym zasadom. Kiedy odmawiamy tego, co nazywa pan „oddaniem się Bogu”, kiedy płyniemy pod prąd, wówczas należy w samym sobie znaleźć uzasadniające trwanie

argumenty. Ach, drogi przyjacielu, proszę mi pozwolić, bym od czasu do czasu w chwili słabości to panu powiedział.

Z przyjacielskim pozdrowieniem

Jean-Marie

Drogi przyjacielu!

Po tygodniu przerwy wracam do mojej kroniki. Ale wpieryw chciałbym panu podziękować. Pański list ogromnie podniósł mnie na duchu. Wiem, że jestem przeważliwiony. Chciałbym być człowiekiem bezpośrednim. Do tego dążyli moi wychowawcy. Koniec końców przeważył charakter. Wybrałem życie jakby na uboczu. Tak, ma pan rację. Powiem Helenie o tym anonimowym liście. Nie mogę ukrywać przed nią tak dręczącej mnie sprawy. Wszystkim musimy się dzielić. Przyjdzie mi to zresztą tym łatwiej, iż po pierwszym liście nie nadeszły następne. A jednak domyślam się, jak będzie wyglądała nasza rozmowa. I już z góry jestem przygnębiony.

Helena znajdzie sposób na udowodnienie mi, że obraziłem Boga nie idąc mu podziękować. Doszło między nami do małej sceny, ale zrezygnowałem z opowiedzenia jej panu. Helena ma wciąż te same argumenty: „Obiecałeś, że postarasz się zrobić mi przyjemność. No więc chodź ze mną do kościoła. Nie wymagam, abyś modlił się ze mną, ale żebyś po prostu tam był. To przecież nie jest wielkie poświęcenie!” Krótko mówiąc, widzi pan, jaka dyskusja zatrula nam niedzielę. Kiedy jej powiem, że otrzymałem list z pogroźkami, już teraz znam jej odpowiedź: „Jesteś ukarany. Tak to bywa, jeśli nie stać nas na podziękowanie!”

Wszystkie argumenty biedaczki są podobnego kalibru. Według niej Bóg należy do rodziny. To kapryśny dziadek, z którym należy obchodzić się delikatnie. Nigdy nie przyjmie do wiadomości, że istnieją dziesiątki i dziesiątki innych planet, gdzie podobnie jak tu najsilniejsi tworzą prawo. Nie miewa zawrotów głowy.

„Nigdy ani słowem nie odpowiadasz” – mówi.

A cóż miałbym odpowiedzieć? Poprzestaję na przytuleniu jej do siebie. Niech przede wszystkim zamilknie! Bliskość naszych twarzy jest jedyną prawdą, której

jestem pewien. Dlatego nie spieszo mi, by ją poinformować o anonimie. Dojdzie do jałowego sporu. Powie, że mam do czynienia z oso”bą zawistną, której znudzi się wcześniej ode mnie, że mądrzej nie okazywać zdenerwowania... itd. A ja jestem przekonany, że chodzi o coś innego i że to poważna sprawa. Czekam na drugi list. Być może naprowadzi mnie na trop. Będę pana informował.

Z wyrazami przyjaźni

Jean-Marie

- To ty? – mówi Ronan. – Sądziłem, że jesteś jeszcze w Paryżu.
- Właśnie wróciłem. Od ciebie zacząłem wizyty.
- Wysłałeś mój list?
- To pierwsza rzecz, którą zrobiłem po przyjeździe.

Hervé zdejmuje przemoczony prochowiec. Pada od trzech dni. Wygnane przez południowo-zachodni wiatr mewy wtargnęły do miasta.

- Pieska pogoda – rzuca Hervé. – Jak się czujesz?
- Kiepsko. Ledwo się trzymam na nogach. A co u ciebie? Hervé stawia krzesło obok łóżka, zbliża swoją twarz do twarzy chorego.

- Zgadnij, kogo widziałem?
- Quéré?

– Tak, Quéré. Nie chciałem wprawdzie zajmować się nim osobiście, ale naszła mnie ochota. Chodziła mi po głowie nasza rozmowa. Umówione na środę spotkanie nie doszło do skutku, miałem czas i ciekawość okazała się silniejsza. Mówiłem ci, że Quéré pracuje w czymś w rodzaju małego supermarketu...

- Wcale. Pierwsze słyszę.
- Jak to? Ach, prawda, nie widziałem cię od tego czasu... No więc, nasz informator kontynuował śledztwo i dzięki niemu dowiedziałem się jednej rzeczy. Quéré urządził się. Znalazł sobie zajęcie w sklepie spożywczym.

Ronan wybucha śmiechem.

- Niemożliwe. Nabierasz mnie.

– Ależ nie. Zobaczyłbyś go! Nosi zapinany na ramieniu fartuch, jak medyk. Warto się pofatygować, żeby go ujrzeć!

– Skąd wiesz?

– Ponieważ chciałem osobiście upewnić się. Miałem adres jego budy na placu Jules-Joffrin... Skorzystałem więc z wolnej chwili i pokręciłem się po okolicy. To był rzeczywiście nasz Quéré. Diabelnie się postarzał.

– Tym lepiej.

– Pamiętasz, pięknie się trzymał. Nie zdawano sobie sprawy, że jest mały. Teraz skarłał. Chodzi z rękami na plecach. Wygląda na dozorcę.

– Wszedłeś?

– Nie. Spostrzegłem go od progu.

– Obsługuje klientów?

– Ależ nie. Sklep jest samoobsługowy. Nie wiem, co właściwie robi. Jeżeli cię to bawi, zostawię ci wszystkie informacje; adres budy, salonu fryzjerskiego, gdzie pracuje jego żona, wszystko.

Harvé wyciąga z portfela kopertę i stawiają pionowo przy fiołce na nocnym stoliku.

– Ale to nie wszystko – podejmuje. – W niedzielę, jako że miałem mnóstwo czasu, poszedłem się napić w pobliżu ich domu, na ulicy Verneuil... Mała, sympatyczna knajpka, z której widać budynek. I o wpół do pierwszej nagle pojawili się oboje.

– Jaka ona jest?

– Dobra, za dobra dla niego! Młoda... elegancka. Niezupełnie dama, ale dziewczyna, która potrafi się ubrać... Ładne nogi... zgrabna sylwetka. Ładne piersi... Nie widziałem, oczywiście ale można się domyślić.

– Podłe indywiduum! Gdyby cię Iwona słyszała!

– To nie przeszkadza. A poza tym Iwona...

– Pokłóciliście się!?

– Nie. Jeszcze nie. Ale zaczyna mnie drażnić.

– Nie powiesz mi, że pani Quéré zrobiła na tobie wrażenie?

– Idiota!

– Słuchając cię jednak...

Ronan przeciąga się, potem rzuca w kierunku Hervé przenikliwe spojrzenie.

– Wyobraź sobie – mówi – że coś nie układa się w małżeństwie... Wyobraź sobie, że ten łajdak Quéré traci posadę... Wyobraź sobie...

– Wiesz – żartuje Hervé – że nie nadaję się do snucia przypuszczeń.

Ronan zastanawia się, skurcz wykrzywia mu wargi.

– Dlaczego – szepce – nie miałbyś postarać się ich spotkać? Czyż nie byłoby to zabawne? Zobaczyć, jak żyją, wejść w ich intymność? Kiedy ci to zaproponowałem, od razu się nastraszyłeś. Ale teraz?

Hervé potrząsa głową, po czym gwałtownie wstaje.

– Jeszcze o tym pomówimy – odpowiada.

– Kiedy?

– Może w przyszłym tygodniu. Otwieram biuro w Nantes i mam inne rzeczy na głowie niż małżeństwo Quéré.

Uścisk dłoni. Hervé zbiera się do wyjścia.

– Wolałem cię z brodą – mówi Ronan – tak ogolony przypominasz księdza.

Wymieniają porozumiewawcze uśmiechy, jak gdyby Ronan powiedział jedynie dla nich zrozumiały żart. Hervé zamyka drzwi i Ronan słyszy jego rozmowę z matką. Głosy powoli milkną. Ronan zanurza się w łóżku. Wie, jak zadać następny cios i tym razem nie zrobi tego na chybił trafił. Hervé będzie na miejscu, by go poinformować o skutkach następnego posunięcia.

Jean-Marie zdejmuje jak zwykle marynarkę, starannie wieszają na wieszaku, następnie zakłada fartuch i wkracza do biura. Pani Sédillot zdążyła już przejrzeć i posegregować korespondencję. Niezupełnie wchodzi to w zakres jej obowiązków, ale właściwie, co jest jej obowiązkiem? Jean-Marie nie próbował prosić ją o wyjaśnienia na ten temat. Zadowolona się stwierdzeniem, iż jest dokładna, skuteczna i oszczędza mu wykonywania najobrzydliwszych części pracy. Wkłada okulary i spostrzega niebieską kopertę. *Pan kierownik marketu – Plac Jules-Joffrin 75018 Paryż*. Koperta jest otwarta. Wyciąga złożoną na cztery kartkę, z jedną tylko linijką tekstu.

Obrzydliwa łajdaczko, jeszcze ośmielasz się pokazywać. Drugie ostrzeżenie.

Jean-Marie siada oszołomiony ciosem. Ma jeszcze siłę spojrzeć na stempel pocztowy. Ulica Littré.

Ktoś chce mnie urządzić – myśli – ale cóż takiego mogłem zrobić? Dlaczego nie powinienem się pokazywać? A ta wiedźma przeczytała list! Jak teraz wyglądam?

Staje na chwiejnych nogach, bierze tekturowy kubek, napełnia go wodą w toalecie. Opiera się ramieniem o ścianę i pije wolno. Stopniowo dochodzi do siebie, niczym bokser po nokaucie. Potem zapala papierosa, by dać sobie czas na zastanowienie.

Gdyby pani Sédillot napisała ten list, nie trudziłaby się jego otwieraniem. Zmylił ją napis „pan kierownik”. Z pewnością nie spodziewała się znaleźć anonimowego listu. Przynajmniej mogła się usprawiedliwić, powiedzieć: „W pierwszym odruchu chciałam go podrzeć. Ale wolałam, by pan wiedział. Nie należy przejmować się podobną napaścią”. Coś w tym rodzaju, słowa współczucia, okazanie sympatii. Ale nie. Nie czekała na niego. Reszta korespondencji została starannie złożona. Tylko tę niebieską kopertę położono obok, chyba po to, by z niego zadrwić.

Musiała się dobrze bawić, dziwka! Inni także. Na pewno postarają się, by dotarło to do pana Didisheima. A rzucane po kątach uwagi: „Popatrzcie, co siedzi w takim facecie! Nieładnie jest pisać anonimowe listy, ale nie ma dymu bez ognia... A poza tym nie wiadomo, skąd przyszedł, co?... Wygląda porządnie, ale zawsze uważałem, że coś ukrywa. Wy nie?...”

Jean-Marie decyduje się nagle. Wchodzi do sklepu, przechodzi kilka rzędów i spozstrzega panią Sédillot, która przy pomocy ekspedienta układa na półce puszki cassoulet. Jest za wcześnie na uruchomienie głośnika. Krążą pierwsze klientki, skupione i pełne zadumy, jak gdyby zwiedzały muzeum. Jean-Marie zbliża się.

- Mogę z panią chwilę pomówić? – pyta cicho.
- Czy to pilne? – rzuca szorstko.
- Bardzo panią proszę.
- Niech pan układa dalej – mówi do ekspedienta – wracam za minutę.

Dołącza do Jean-Marie, który oddała się w kierunku regałów z kosmetykami.

- Słucham.

Jean-Marie pokazuje jej niebieską kopertę.

- Czytała pani.

Obrzuca go gniewnym spojrzeniem.

– Nie zajmuję się pańskimi sprawami.
– Ale przecież...
– Proszę zwrócić się do policji, panie Quéré. I pozwolić nam pracować.
– Sądziła pani, że...
– Może da pan spokój. Tak będzie dla pana lepiej. Ale, jeśli mogę coś panu pora-
dzić; niech pańscy przyjaciele piszą pod domowy adres.

– Co? Jacy przyjaciele?

Odwraca się do niego plecami. Ekspedient chichocze i Jean-Marie słyszy, jak ko-
mentuje szeptem:

– Trafiają się i tacy.

Jacy przyjaciele? – myśli Jean-Marie. Nagle rozumie i czuje, jak wilgotnieją mu dło-
nie. – Więc o to chodziło! Z pewnością o to! Wzięli go za... – Chroni się za stoiskiem z
suszonymi warzywami i ponownie rozkłada list. Poprzednio pod wpływem emocji prze-
czytał: „obrzydliwy”, gdy należało czytać: „obrzydliwa”. – Miała uciechę pani Sédillot. I
doszła do wniosku, że... Nie mogło być gorzej. Został zniszczony, okryty hańbą.

Wnieść skargę? Przeciw komu? Ciosu nie zadał nikt ze sklepu. Teraz jest tego pe-
wien. Ktoś mu nie znany stara się go pogrzyżyc, a po tym liście przyjdą następne, aż nie
zrezygnuje, pełen wstrętu. Opowiedzieć wszystko panu Didisheimowi!

Ciągnę za sobą skandal – myśli Jean-Marie – z tym, co już o mnie wie, zasugeruje
mi, bym odszedł.

Ma ochotę wszystko zostawić, uciec, by już nigdy nie słyszeć o wujku Benie, panu
Czystym, profesorze Słoneczniku, Pietruszce, Orno, Homo... gra słów wyzwala w nim
posępną wesołość.

No tak, do tego doszedłem – mówi do siebie jestem ich kozłem ofiarnym. Protego-
wany właściciela włóczy za sobą bandę kumpli, którzy zabawiają się szantażowaniem
go. Jakie to komiczne! I taki śmie zadzierać nosa! Udaje przykładowego pracownika.
Mam nadzieję, że się od nas wyniesie!.

Dobrze – ucina swe myśli Jean-Marie – wyniosę się i to natychmiast!

Dochodzi do biura wolnym krokiem, by zachować twarz, wrywa kartkę z bloku
oferowanego przez Cinzano i pisze: „Do jutra będę nieobecny”. Kobieciny będą podej-
rzewały Bóg wie co, ale do diabła z opinią bab. Nigdy już jego stopa nie postanie w
sklepie. Koniec z handlem! Ostatecznie bezrobocie było mniej uciążliwe.

Wymyka się służbowym wejściem, ale nie ma odwagi wrócić od razu do domu. Zatrzymuje się w kawiarence.

– Dzień dobry, panie Quéré. Nie widzimy już pana. Cóż się dzieje? Opuściło pana natchnienie? Mały kieliszek calvadosu?

– Proszę mi dać również coś do pisania.

– Doskonale! Małe co nieco, a potem zobaczy pan, że pójdzie jak z płatką!

Tymczasem Jean-Marie starannie rozważa każde zdanie, po czym pisze nie odrywając pióra od papieru:

Szanowny Panie Prezesie – naczelny dyrektorze,

z wielkim żalem pragnę oznajmić, iż czuję się w obowiązku złożyć wymówienie. Nie powinienem był przyjmować stanowiska, które za namową wspólnego przyjaciela zechciał mi Pan powierzyć. Nie mam ani siły, ani umiejętności, by sprostać obowiązkom. Niepokoję się stanem swego zdrowia i dobrze wiem, iż brakuje mi zdolności handlowych.

Zechce Pan, Panie Prezesie – naczelny dyrektorze, przyjęc wraz z wyrazami żalu zapewnienie o moim głębokim szacunku

Jean-Marie Quéré

Może jestem tchórzliwy i przyziemny – myśli Jean-Marie, ponownie odczytując list – ale jeśli natychmiast nie wyślę tej rezygnacji, być może nie zrobię tego nigdy. Helena powie, że to szaleństwo. Trudno!

Wypija łyk alkoholu, usiłuje wyobrazić sobie nieznanego, który właśnie wygrał pierwszą partię.

Uważa się za wielkiego spryciarza – mówi do siebie Jean-Marie – ale w gruncie rzeczy to on zostanie wywiedziony w pole! Dobrowolnie znów zanurzam się w bagnie bezrobocia, gdzie nic mi nie grozi. Cóż można uczynić bezrobotnemu? To be or not to be? Wybieram: not to be.

– Uśmiecha się i pociąga solidny łyk.

– Już lepiej, co? – odzywa się człowiek z Owernii. – Miał pan przed chwilą grobową minę.

Na szczęście służące mu za podkładkę koperty nie zawierają nadruku. Jean-Marie

kaligrafuje adres, przykleja znaczek. List leży przed nim jak broń.

Jeżeli zacznę popełniać samobójstwo – myśli jak się to skończy? Być może on właśnie tego pragnie.

Bierze następną kartkę.

„Drogi przyjacielu”

Ale nie jest w stanie pisać dalej. Opowiadanie o sobie przerasta jego siły. Wychodzi niezdecydowany, zatrzymuje się na chodniku. Znowu kolejny raz bezczynność, jałowość wszystkiego, nieznośny ciężar ciała...

Czy wróg przeszedł już przez takie doświadczenie, by teraz narzucać je innym?

Wrzuca list do skrzynki. Od tej chwili nie jest już pracownikiem, a jedynie dymisjonowanym pracownikiem. Traci uprawnienia aparatu kierowniczego i dyrekcja może go zmusić do przestrzegania miesięcznego terminu wypowiedzenia. Jest niemal pewien, że zostawią go w spokoju, lecz mimo wszystko powinien załatwić sobie zaświadczenie o niezdolności do pracy. Potem zacznie się walka o znalezienie nowego miejsca.

Łatwo powiedzieć w złości „not to be”, ale istnieje Helena! Dla niej powinien pracować. Jednak kiedy znów zacznie, kruk rzuci się na niego zapamiętałe. Tak mniej więcej wygląda sytuacja.

Bezwiednie robi codzienne zakupy: chleb, mięso, ziemniaki. Po drodze zerka, czy jest jakaś poczta. Tak. List. Szkoła imienia Blaise-Pascala. Trzymając kopertę między zębami, wolną ręką szuka kluczy. W wątłym przeblysku nadziei drżą mu ręce. Rzuca zakupy na kuchenny stół i rozrywa kopertę.

Szanowny Panie!

Z zainteresowaniem zapoznaliśmy się z treścią pańskiego listu, ale z żalem musimy stwierdzić, iż chwilowo nie mamy żadnej wolnej posady. Jednakże pamiętamy o pańskiej kandydaturze i w razie potrzeby bylibyśmy szczęśliwi, mogąc skorzystać z pańskich usług... Proszę przyjąć...

Jean-Marie mnie list.

Banda obłudników... Powiedźcie mi szczerze: „Niech się pan odpieprzy”, zamiast owijać w bawełnę.

Wrzuca list do kosza na śmieci. Ze złości trzęsie się jak w napadzie malarii. Zasiadając w południe do stołu powtarza sobie: „Gdybym go złapał!... Gdybym go złapał!”. Nie słyszy Heleny, która zdumiona zatrzymuje się na progu kuchni.

– Co, ty tutaj?... Żle się czujesz?

– Nie wiem... Nie... Albo raczej... Wyciąga z portfela dwa anonimowe listy.

– Masz... Zrozumiesz.

– Wiesz – mówi po rzuceniu na nie okiem – to przede wszystkim głupie.

– Nie zdajesz sobie sprawy! – wykrzykuje. – Pierwszy list wysłano tutaj. To jeszcze można było wytrzymać. Ale drugi przyszedł tam do sklepu, i został otwarty przez matkę Sédillot, do licha! Wie o nim cały personel. Przeczytaj... „Obrzydliwa łajdaczko”. To jasne, nie? Wyobrażasz sobie, co myślała?

– Nie krzycz tak – odpowiada Helena – sąsiedzi nie muszą wiedzieć. Tak, to rzeczywiście przykre.

– Do tego stopnia przykre, że złożyłem wymówienie. Napisałem do właściciela.

– Chyba oszalałeś!

Zdejmuje rękawiczki, nie przestając patrzeć na niego z niepokojem. Potem bierze z wieszaka domowy fartuch.

– Wytłumaczyłeś mu? – pyta.

– Nie. Wiesz, jakie by to zrobiło wrażenie! Powiedziałem jedynie, że jestem chory i nie mogę dłużej pracować.

– A to pięknie!

Zapala gaz, bierze patelnię.

– Śpieszmy się – mówi – o wpół muszę tam wrócić. Powinieneś wcześniej spytać o radę. To było dobre miejsce.

Skwierczą na ogniu kotlety. Przygotowuje sałatę, wyciera oczy grzbietem dłoni.

– Płaczesz? – pyta Jean-Marie.

Wzrusza ramionami. Zbliży się do żony, obejmuje ją za szyję.

– Heleno – szepcze – nie mogłem tego ciągnąć dalej.

Uwalnia się gwałtownym ruchem.

– A w końcu co? Nie jesteś tym, o kim piszą w liście?

Zdumiony odsuwa się do tyłu, szukając krzesła.

– Heleno, coś ty...

- Nie jesteś taki?
- Ale jak możesz przypuszczać?
- A więc należało kpić sobie z tego, co myślą inni! Twój przyjaciel staje dla ciebie na głowie. Podaje ci posadę na tacy, a ty pod pretekstem, że jakiemuś durniowi spodobało się wysyłanie idiotycznych listów, składasz wymówienie! To niepoważne! Chodź, jedźmy!

Stawia na stole salaterkę i podaje talerz na kotlety. Ręce poruszają się szybko, nieświadome kłótni, pełnych napięcia twarzy, gwałtowności wypowiedzianych zdań. Jean-Marie siada naprzeciwko żony.

- Idiotyczne listy – odpowiada. – Jestem innego zdania.
- Posłuchaj – mówi Helena patrząc mu w oczy – albo to nie ma sensu, albo masz sobie coś do wyrzucenia. Pokaż mi raz jeszcze list.

Jean-Marie podaje go jej nad stołem. Helena czyta powoli półgłosem: „Obrzydliwa fajdaczko, jeszcze ośmielasz się pokazywać. Drugie ostrzeżenie”.

- Niepokoją mnie właśnie te słowa: „drugie ostrzeżenie” – mówi Jean-Marie.
- Mnie nie – odpowiada – ale to: „jeszcze ośmielasz się pokazywać”. Nie jestem ekspertem od anonimowych listów, ale ten fragment daje mi do myślenia. Tobie także, nieprawdaż?... W przeciwnym razie nie rzuciłbyś wszystkiego.

- Zapewniam cię, Heleno...
- Pomówmy poważnie, Jean-Marie. – Zerka na zegarek. – Czuję, że się spóźnię.
- Przysięgam ci, że nie jestem... – zaczyna.

Przerywa mu:

- Ależ tak. Wierzę ci. Chociaż życie często dostarcza niespodzianek.
- Jednakże zorientowałabyś się.

Odsuwa talerz, uśmiechając się ze smutkiem.

- Mogłabym zapytać cię, dlaczego zachowujesz się wobec mnie z taką rezerwą? Wiesz, mało jest podobnych mężów. A czy mógłbyś wytłumaczyć, czemu tak się boisz, abyśmy nie mieli dziecka?

- Nie widzę związku – protestuje. – Miałbym sobie za złe dając życie jakiemuś przestępcy albo bezrobotnej.

- Nie masz prawa mówić w ten sposób. Teraz on odsuwa talerz.
- Przyjemny obiad – mruczy pod nosem.

Helena chwyta jego dłoń na obrusie.

– Przepraszam – mówi – jeżeli piszący do ciebie chce nam wyrządzić krzywdę, wygrał. Ale często opowiadałeś mi, że Fréneuse...

– Langlois – protestuje Jean-Marie.

– Tak, Langlois... odwiedzały niekiedy dziwne indywidua.

– To prawda.

– Być może tu należałoby szukać. Może swego czasu posprzeczałeś się z kimś, kto teraz usiłuje się zemścić.

– Ależ nie. To śmieszne. Wbij sobie do głowy, że nie istniałem. Langlois rzucał zbyt wielki cień.

Milkną, po chwili Helena zaczyna sprzątać ze stołu.

– Zjemy coś solidnego wieczorem – mówi.

Jean-Marie zapala papierosa, a ona zmywa w pośpiechu.

– Jeśli masz coś do ukrycia – dodaje jestem tu, by ci pomóc. Czy wiesz na pewno, że nie masz nic do ukrycia?

Odwraca z zakłopotaniem głowę i wypuszcza kłąb dymu.

– Nic – odpowiada.

– A sięgając pamięcią do lat wcześniejszych niż u Langlois... dalej w przeszłość...

Sama nie wiem... Kiedy pracowałeś u twojego ojca?

Jean-Marie marszczy brwi, niczego nie rozumiejąc. Następnie przypomina sobie, że zmienił nieco swą przeszłość i opowiedział jej, iż był trzecim praktykantem w kancelarii adwokackiej pana Quéré.

– Ach! Zostawmy to – mówi. – Zgoda, może źle zrobiłem, pisząc do pana Disshaima. Teraz jest za późno. I w gruncie rzeczy uważam, że dobrze się stało. Nie byłem stworzony do tego zawodu.

Helena poprawia makijaż w toalecie. Słyszy jej odległy głos.

– Jean-Marie.. Nie gniewaj się... Ale czy nie sądzisz, że nadszedł moment...

Długie milczenie.

– Na co? – rzuca zniecierpliwiony.

– Spowiedź zaciera wszystko. To, czego obawiasz się mnie wyznać, On może wysłuchać.

Jean-Marie gasi papierosa w popielniczce. Zmusza się do zachowania spokoju; unosi jedynie z wściekłością ramię. Helena wychodzi z toalety całkowicie odrodzona i świeża i, jak gdyby nie doszło między nimi do kłótni, nadstawia policzek.

– Do zobaczenia wieczorem, kochanie. Zatrzymam się pewnie w kaplicy. Bardzo potrzebujemy wsparcia. A ty?

Nie ma odwagi odpowiedzieć, że będzie tracił czas na głupim i jałowym roztrząsaniu owego: „jeszcze ośmielasz się pokazywać”. Nigdy nie zdecyduje się na wyznanie prawdy. Zwłaszcza Helenie!

– Od nowa zacznę poszukiwania – mówi. – Nie przejmuj się kolacją. Ja przygotuję. To jeszcze potrafię zrobić.

Ronan nudzi się. Czuje, jak rośnie mu ciśnienie. Kiedy za długo stoi, trzy kwadranse, godzinę, kręci mu się w głowie, tonie w potach, drżą mu łydki. Musi się znów położyć. Nie ma ochoty czytać. Gazety, czasopisma, magazyny piętrzą się przy łóżku, spadają na podłogę; matka je podnosi.

– Naprawdę traktujesz mnie jak służącą!

Na próżno wyczekuje protestu, czułego uśmiechu. Zamknął się we własnej skorupie. Rozmyśla. Rozprasza się na rozmazane wizje. Wyobraża sobie, że łowi. Rzucił dwa anonimy, jak dwie wędki, i czeka na rybę. Być może nigdy nie dowie się, czy połknęła haczyk. Pewnie trzeba będzie powtórnie założyć przynętę. A jeżeli Quéré cisnął te listy do kosza? Jeżeli gotów jest stawić czoła skandalowi? Nie. Przestraszy się. Nie zapominajmy, iż na palcach opuścił miasto... Obraz na chwilę wprawia Ronana w dobry humor... Quéré skradający się pod murem, ukradkiem zbliżający się do dworca, niczym zbiegły więzień.

Jednak po dziesięciu latach musiał zhardzieć. Ożenił się poza tym. To dowodzi, że urządził sobie nowe życie i ma czego bronić. A więc anonimowe listy!... Jednakże ostatni... Obrzydliwa łajdaczko... Nieźle wymyślone. Jeżeli przypadkiem wpadł w ręce kogoś z rodziny! Ach, zobaczyć jego gębę! Jaki się musi czuć przyparty do muru!... Drugie ostrzeżenie! Zatem nastąpi trzecie... A w końcu prawda objawi się w pełnym świetle.

Uśmiechnięta twarz Ronana posępnieje. Czy aby nie snuje czczych domysłów? Czy przypadek Quéré ma istotnie takie znaczenie, kiedy wszędzie panoszy się gwałt, a otumanieni prasową sieczką ludzie szukają ucieczki przed troskami w Loto! Ani ich ziębi, ani parzy, że Quéré jest tym albo tamtym. Przed dziesięcioma laty to się jeszcze liczyło, zwłaszcza w mieście takim jak Rennes. Ale teraz... Ot, coś dobrego do schrupania, te

listy. Sposób na ukrycie swej bezsilności. Quéré jest poza zasięgiem. Aby do niego dotrzeć, należałoby pojechać samochodem lub pociągiem, a więc trzymać się na nogach. Po drugie czyhać tam na niego, czekać, starać się zbliżyć. Nie! Nie do chorego należy podróżowanie. To nie rybak ma przyjść do ryby, a właśnie ryba wpaść do czerpaka. Ale jak zmusić Quéré do opuszczenia Paryża i powrotu do miasta, którego nie darzy uczuciem. Gdyby jeszcze owe listy były w stanie go przerazić i ruszyć z miejsca. Hervé mógłby się tego dowiedzieć. Sporo czasu mija, jak nie dał znaku życia. Nigdy nie można na niego liczyć.

Ronan zamyka oczy w przystępie rozpacz. Klęska! Lecz pod koniec popołudnia, w chwili gdy podnosi się gorączka, odczuwa nagły przypływ pewności siebie. Ależ nie, kombinuje dobrze. Zwrot: „jeszcze się ośmielasz pokazywać” jest znakomity. Osobom trzecim pozwala snuć wszelkiego rodzaju domysły. A Quéré w najdrobniejszych szczegółach przypomina sobie to, co chciał zataić, i widzi, że ma się go na oku. „Oko zstąpiło do mogiły.” Ronan wybuchł śmiechem.

- Cóż cię tak bawi? – pyta matka. – Nie bardzo widzę powód.
- Och nie! – odpowiada Ronan. – Przyszedł mi do głowy wiersz Victora Hugo.
- Znowu będziesz miał gorączkę – wzdycha.

I już zapada wieczór; nocna lampka na stoliku, uśpiony dom. Przemierzył zatem siłą urazy bezkresne schody godzin. Znajduje się w szczytowym punkcie dnia. Nie śpi. Jest przekonany, że nie śpi również Quéré. Teraz, jak każdego wieczoru, ma spotkanie z Katarzyną. Zaczyna wyobrażać sobie ukwiecony przez Hervégo grób. Tak często przypatrywał się fotografii, że zna go na pamięć. Za pomocą lupy powiększył najdrobniejsze szczegóły. Wie, że to, co początkowo brał za kępę trawy, jest w istocie siedzącym na alei ptakiem. Być może kosem. Katarzyna lubiła wszystko, co się unosi; zarówno pianę, jak i mewy. Była to prawdziwa dziewczyna otwartej przestrzeni. Przechadza się z nią. Czasem ona zaczyna mówić. Czasem kłóć się. Czasem kochają i zmysłowe ciepło pulsuje w skroniach Ronana. Jęczy. Jest w jego ramionach. Ostatni raz, kiedy...

Przypomina sobie każdą chwilę owej ostatniej nocy. Ale zbyt wielkie odczuwa zmęczenie, by oddać się rozkoszy. Niekiedy stawia sobie dziwne pytania. Gdyby wzięli ślub, czy panowałyby pomiędzy nimi całkowita harmonia? Nie akceptowała jego „politycznej działalności”, jak ją nazywała. Na próżno powtarzał jej: „Dobrze wiem, że pozostawiona sama sobie Bretania nie ma racji bytu, ale nie można pozwolić na

sprzedawanie się obcym promotorom”. Odpowiadała z powagą: „Dzieciak z ciebie i nabijasz sobie głowę głupstwami”.

A jeżeli miała rację? Czy nie jestem raczej zdziecinniałym starcem? – roztrząsa Ronan. – Dlaczego nie potrafię zgodzić się z tym, że wsadzili mnie do więzienia? Zabiłem. Musiałem zapłacić. Logiczne, nie? Kwestia sprawiedliwości. Ale jej wymierzenie nie należało do Quéré. Zwłaszcza nie do niego! Lecz nienawidzę w zramolały sposób. Topię nienawiść w gładzeniu. Czemu się do tego nie przyznać? Moja nienawiść! Wszystko, co pozostało mi po Katarzynie. Jest naszym zmarłym dzieckiem.

Łzy palą policzki, nie przynosząc ulgi. Połyka solidną dawkę środka uspokajającego, czeka na sen, który wciąż nie przychodzi. Ma jeszcze czas pomyśleć.

Niegdyś byłem pobożny. Modliłem się wieczorami. Byłem bojownikiem, który zaangażował się w rodzaj świętej wojny. Miałem prawo do modlitwy, nawet kiedy sposobie się do zabicia Barbiera. A potem wmieszał się we wszystko Quéré i straciłem zarówno prawdę, jak i wolność. Zupełnie jak gdybym zabił dwukrotnie. Teraz już nie wierzę, ale mimo to daj mi, Panie Boże, siłę, bym zdołał wykonać egzekucję na Quéré.

Wpada w odrętwienie. Rozplątują się złączone dłonie. Płomyk lampy delikatnie oświetla jego spokojny profil.

Drogi przyjacielu!

Otrzymał wczoraj długi list od pana dodaje mi odwagi. Nie chcę wracać do okoliczności, które spowodowały moje wypowiedzenie. Wie pan wszystko: okropny anonim i mój umysłowy zamęt. Moje tchórzostwo – bo takiego należy użyć słowa – wobec opinii publicznej. To prawda, nie znoszę, jak wytykają mnie palcami. Ale pańskie zrozumienie i dobroć są dla mnie cennym oparciem. Cóż bym bez nich uczynił? Teraz burza minęła. Ale była dla mnie wielkim wstrząsem. Poszedłem do lekarza, aby być w porządku z administracją. Wszystko jest skomplikowane: poszukiwanie pracy, zaprzestanie pracy. Pewnego dnia wytłumaczę panu, co to jest ASSEDCICI Lekarz ów źle ocenił mój stan zdrowia: przemęczenie, niskie ciśnienie; krótko mówiąc można to

określić „stresiem bezrobotnego”, bo wydaje się, że większość ludzi w mojej sytuacji cierpi na podobne zaburzenia psychosomatyczne. Bezrobocie miałyby wywołać rodzaj nerwowej choroby, przypominającej depresję, na którą niestety nie ma skutecznego lekarstwa. Zapisał mi środki uspokajające, uraczył syropem ładnych słówek, odprowadził do drzwi i następny proszę!...

Gdybym był ofiarą „zbiorowego wypowiedzenia”, jak mówią, mógłbym pobierać zasiłek na doszkolenie zawodowe. Ale nie, dobrowolnie (!) rzuciłem pracę, a to niezamalna zbrodnia. Od razu klasyfikują pana do kategorii ludzi o zmiennym usposobieniu, dyletantów, blagierów, którzy w nieróbstwie znajdują przyjemność. Będą mieli pana na oku! Jestem tym bardziej podejrzany, iż moja żona pracuje i nie przyciska mnie konieczność.

Tymczasem w domu zrobiło się ponuro! Helena nieźle zarabia. Sama radziłaby sobie doskonale. Ale jest nas dwoje. Mamy wysoki czynsz. Świadczenia stają się rujnujące. Muszę prosić Helenę o kieszonkowe. Albo to raczej ona, by oszczędzić mi dodatkowego upokorzenia, daje pieniądze. Lecz kobiety nie potrafią oszacować drobnych wydatków mężczyzny. Bądź jest to za wiele, bądź też niewystarczająco. Mam na przykład problemy z tytoniem. Pałęm dwadzieścia papierosów dziennie. (Moje zdrowie na tym cierpiało? Nie dałbym głowy, ale nie tu tkwi trudność.) Teraz doszedłem do szesnastu. Cztery mniej! Widzi pan, jaka dziecinada. Te cztery staram się rozmieścić w ciągu dnia. Nie wiem dokładnie, kiedy obywam się bez nich. Zastanawiam się nad tym i natychmiast przychodzi mi ochota zapalić. Wymyślam sobie i wpadam w złość. Żeby wymierzyć sobie karę, a zarazem uspokoić, palę dwa lub trzy papierosy, jednego po drugim. I wtedy istotnie uważam się za łajdaka, niegodnego współczucia, przyjaźni, czułości; na tym polega być może ich osławiony „stres”.

Jak to się dzieje, że człowiek taki jak ja, pewnie nie głupszy od innych, niestety, bardziej od innych wrażliwy, doprowadzony został do podobnych aberracji? Drobnych aberracji, zgoda. Ale które wskazują na postępującą demoralizację. Zaczyna się to właśnie od mało istotnych drobiazków. Drobne urojenia, których nie miałem i które nagle odkrywam ze wstrętem, jak gdybym złapał wszy.

No i rzecz jasna mały kieliszek calvadosu. A także czas spędzany przy goleniu,

egzaminowaniu twarzy, szukaniu na niej najdrobniejszej zmarszczki, zadrapania, które pozwalają rozpoznać człowieka skazanego na bezmiar wolnego czasu, galernika bezczynności. Mam jedynie kłopot z wyborem; niech pan słucha, ja, który starannie unikałem wszelkiego kontaktu, wszelkiej rozmowy z ludźmi w moim położeniu, jak gdyby moje bezrobocie było tylko przypadkiem, a więc teraz nawiązuję z nimi rozmowy w kolejkach. Budynek Biura Zatrudnienia jest czymś w rodzaju leprozorium, w którym każdy pokazuje swe ułomności, opatruje je komentarzem, dzieląc się z innymi rozpaczą. „To nie może dłużej trwać” – mówi jeden. „To się źle skończy” – dodaje następny bez złości, raczej z rezygnacją. To nie jest protest, ale diagnoza. Wszystkich spotka podobny los. Zatem lepiej należeć do kategorii tych, którzy mają doświadczenie, którzy ułożyli sobie życie, tak jak reguluje się płomień gazu pod garnkiem. Całym majątkiem jest nieludzka cierpliwość, trwanie w bezwiednym oczekiwaniu, przypominającym hibernację uczuć.

Tak, staczam się. Przed podjęciem pracy w markecie jeszcze potrafiłem walczyć. Teraz upadłem niżej. A ponieważ jestem już przy spowiedzi – słowo mnie bawi – ǳ pozostaje mi wyznać najgorsze, ponieważ najgłupsze – oszukuję ńa zakupach, żeby od czasu do czasu zafundować sobie bilet do kina. Prawie nie zważam, na co idę. Najważniejsze to rozsiąść się wygodnie, z dala od codziennych rozważań – myślą i ruszają się za mnie. A ja poddaję się. Odprężam, uwalniam od zmartwień, staję się echem i odbiciem. Rozmywam się w obrazach. W tym czasie Helena ciężko pracuje. Wiem o tym i czuję okropny wstyd, ale nie podczas seansu; później, kiedy znów jestem w prawdziwym tłumie, prawdziwym mieście. Tam gdzie otrzymuje się ciosy.

Ze smutkiem roztrząsam właśnie opowiedziane mi historie. Kłamstwa! Kłamstwa osób najczęściej walczących o zagarnięcie władzy, pieniędzy albo miłości – jak gdyby to rzeczywiście istniało! Kiedy miałem piętnaście lat, fascynowały mnie obrazy surrealistów: ucięta stopa, a za nią, na piasku opuszczonej plaży, ślady aż po horyzont; albo też jajko z biustem zasztyletowanej kobiety w środku... Tak właśnie wygląda prawda. Mam ochotę napisać, ryzykując, że pana urażę: „Na początku była Negacja”. Owa antyfilozofia pozwala mi kroczyć prostą drogą. Kiedy Helena zapyta mnie dziś wieczorem: „Co robiłeś?” Odpowiem: „Nic”. I będzie wszystko w tym nic: mój upadek i moja duma.

Jak już pisałem, szukam prywatnych szkół. Trochę francuskiego, trochę łaciny, kilka dzieciaków nie zanadto rozdokazywanych i uważałbym się za prawie usatysfakcjonowanego. Będę naturalnie wykorzystywany, ale uniknę owego pogrążania się na rosyjską modłę. Szczerością, cynizmem, rozpaczą i wyzwaniem, proszę mi wierzyć, chwilami się delektuję. Kiedy tylko wydarzy się coś nowego, nie omieszkać o tym pana powiadomić.

Do rychłego zobaczenia, mam nadzieję.

Pański Jean-Marie

Drogi przyjacielu!

Nie, nic nowego się nie wydarzyło albo w każdym razie nic, na co pan oczekuje. Piszę, ponieważ przyzwyczałem się do rozmów z panem i miało miejsce małe zdarzenie – całkiem małe po prawdzie – które było źródłem przyjemności, co już zasługuje na odnotowanie. Spotkałem absolutnie przypadkowo – ale w metrze jest nieuniknione to, że połowa ludności musi spotkać się z drugą – dobrze znanego mi niegdyś chłopca, Hervégo Le Dunff. Poszliśmy się czegoś napić i być może znajdzie mi pracę. Dlatego o nim panu opowiem. Ma teraz trzydziestkę i kieruje jakimś przedsiębiorstwem transportowym, jak się zdaje dobrze prosperującym. Przypominał mi fragment mojej przeszłości, który jak mi się zdawało, na dobre wykreśliłem z pamięci, lecz odnalazłem mniej zatarty, niż oczekiwałem. Pewnie przypomina pan sobie, że utworzyłem w Rennes mały klub, w którym mieliśmy studiować bretońskie obrzędy od starożytności po współczesne czasy. Raz w tygodniu spotykaliśmy się w moim pokoju. Nie było nas wielu, może siedmiu albo ośmiu. Jakie to wszystko odległe. Mieli mniej więcej po osiemnaście lat. Byli ciekawi wszystkiego, jak to bywa w tym wieku. Ja spoglądałem w przeszłość wzrokiem historyka – i to historyka z nadwątloną wiarą, o czym jeszcze nie wiedziałem – punkt widzenia owych chłopców był zdominowany przez jednego z nich. Nazwisko wyleciało mi z głowy, pewien jestem tylko imienia: Ronan. O ile sobie dobrze przypominam, rodzina należała do skromnego lecz starego, szlacheckiego rodu... Ronan coś tam... Zresztą, mało ważne! Krótko mówiąc, chłopcy ci interesowali

się przyszłością Bretanii, którą widzieli w najbardziej utopijny sposób. Przestrzegałem ich. Lubili mnie i darzyli zaufaniem. Zwłaszcza Hervé. Bardzo ulegał wpływom i pomiędzy Ronanem, Hervém a mną istniała skryta walka o wpływy. Chciałem przeszkodzić Hervému w popełnianiu głupstw. A Ronan był uparty jak osioł.

Jakże słuszne okazały się moje obawy! Ronan zabił pewnego komisarza... Ponura historia, która swego czasu wzbudziła namiętności zarówno na prawicy, jak i lewicy. Nie chcę wdawać się w szczegóły. Powiem panu tylko, że nieszczęśnik dostał surowy wyrok piętnastu lat ciężkiego więzienia. Taktowny Hervé poprzestał na mglistych aluzjach. Dał mi do zrozumienia, że jego przyjaciela zwolniono, ucieszyłem się, bo miałem dużo szacunku dla owego Ronana.

Z satysfakcją stwierdziłem, że Hervé stał się człowiekiem statecznym, zrównoważonym, dobrze urządzonym w życiu, gotowym do oddania usługi, co należy do rzadkości. Dowiedział się naturalnie, dlaczego porzuciłem stanowisko w Rennes. Ale dał dowód najwyższej dyskrecji. A poza tym, tak bardzo zmieniły się czasy! W gruncie rzeczy okazał się wobec mnie równie jak pan wyrozumiały. Powiedziałem mu, że jestem żonaty. Pogratiulował mi. Powiedziałem mu, że jestem bezrobotny. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej i opisałem mu moje zajęcia u Langlois i niepowodzenie w sklepie. Powstrzymałem się, rzecz jasna, od wspomniania mu o anonimowych listach. Zauważyłem jedynie, że niełatwo mi znaleźć posadę. Pomyślał, zadał kilka pytań (zapomniał, ile mam lat, nie wiedział o moich świadectwach, dyplomach itd.) Sporządził kilka notatek, a ja, który w pewnym sensie byłem jego profesorem, stałem przed nim jak onieśmielony dzieciak. Oświadczył, że „sprawy mogą się ułożyć” i słowa te znały dla mnie tyle, co „wstań i idź” wracające życie Łazarzowi.

– Teraz kiedy połączył nas przypadek – powiedział – bądźmy w kontakcie. Gdy coś znajdę, dam panu natychmiast znać. Jak można pana złapać?

Z zażenowaniem musiałem mu wyznać, że nie mam telefonu. Dałem mu numer telefonu w kawiarni, zastanawiając się, czyjego dobre chęci nie znikną zaraz po przestąpieniu progu bistra. Ale nie! Po sposobie, w jaki powiedział ściskając mi dłoń: „Może pan na mnie liczyć”, zrozumiałem, że mój mały Hervé z minionych czasów nie zostawi mnie na lodzie. I po raz pierwszy od bardzo dawna poczułem się jak kariatyda w momencie wychnienia. Och! Znów nabieram ufności. Może mogłem opowiedzieć mu

o anonimowych listach? Pokażę mu je przy następnym spotkaniu, ponieważ jest bogaty, silny i młody. Będzie potrafił mi doradzić. Wyrażam się nieprecyzyjnie. Pańskie rady są również pozytywne. Chcę powiedzieć, że jego przy mnie obecność zrobi wrażenie na pilnującym mnie wrogu. Odwagi! Nie wszystko jeszcze stracone!

Dziś rozstają się z panem w optymistycznym nastroju.

Do zobaczenia, drogi przyjacielu.

Pański
Jean-Marie

– Ach! Każesz na siebie czekać! – warczy Ronan. – Nad czym to tak debatowałeś z moją matką, kiedy cię wyglądałem?

– Wiesz, jaka ona jest – odpowiada Hervé. – Bardzo chciałaby mnie wyrzucić za drzwi, a jednocześnie umiera z ciekawości, o czym mi opowiadasz. A więc zatrzymuje mnie w przedsiönku. To jest nasz neutralny teren między ulicą a twoim pokojem. Jak się czujesz?

– No więc, jak widzisz, zaczynam wstawać. Nasz stary, kretyński lekarz myśli, że najgorsze minęło, ale wciąż mam się na baczności. Wiesz, ile ważę? Pięćdziesiąt trzy kilogramy! Nawet po powrocie z Dachau nie byłbym chudszy. Co prawda w pewnym sensie właśnie stamtąd wracam. Zrzuc ten płaszcz, niechże zobaczą cię w pełnej krasie.

Hervé zdejmuje lekki płaszcz. Garnitur z angielskiego materiału koloru hawana. Krawat w tym samym odcieniu. Zamszowe buty.

– Słowo daję! – wykrzykuje Ronan. – Jaki jesteś szykowny! Siadaj. Najlepiej na moim fotelu. Będziesz mógł rozprostować nogi. Nie możesz zrobić fałd na kolanach! Takie eleganckie spodnie! Co by Iwona powiedziała?

– Zerwałem z nią. Zaczęła być uciążliwa. Wcielona inkwizycja. Mogę zapalić?

– Oczywiście... Możesz mnie nawet poczęstować jednym z twoich papierosów, z jasnym tytoniem. Craveny? Okay.

– Masz pozwolenie? – pyta Hervé.

– Nie. Sam sobie pozwalam. A więc? Opowiedz mi o Paryżu.

Hervé wydmuchuje w kierunku sufitu kłęb dymu i milczy.

- Spotkałem Quéré – odzywa się w końcu. Ronan wstając trąca krzesło.
- Nie? To niemożliwe!
- Pogadaliśmy.

Ronan przysiada na brzegu łóżka, blisko przyjaciela.

- Mów! Jak go spotkałeś?
- Och! Bardzo łatwo. Niby przypadkowo w tym samym czasie co on znalazłem się na peronie metra. Od razu mnie poznał.

- Kiedy to było?
- Przedwczoraj. Poszliśmy razem na kielicha. Nie prezentuje się dobrze. Popielata cera. Nieszczęśliwa gęba! Jakbym widział topiącą się świecę. Znowu jest bezrobotny.

- Powiedział ci dlaczego?
- Och! Twierdził, że nie posiada żadnych zdolności, których od niego oczekiwano w pracy.

Ronan kaszle, gasi papierosa.

- Nie jestem jeszcze zbyt mocny. Od tego dymu kręci mi się w głowie. Ale mów dalej. Nie wspominał ci o anonimowych listach?

- Nie. A to właśnie bardzo chciałbym wiedzieć. Gdybyś mógł mi uświadomić, co one zawierały. Naprawdę chcę ci zrobić przyjemność, ale wszystko ma swoje granice.

Ronan narzuca poły szlafroka na drżące kolana i uśmiecha się.

- Buntujemy się – mówi.
- Ależ nie. Nie o to chodzi. Jednakże mam prawo wiedzieć, w robieniu jakich głupstw jestem współnikiem. Czy owe listy mają związek z bezrobociem Quéré?

Ronan klepie go przyjacielsko po kolanie.

- Pan nie chce się kompromitować! Pan nie odsiedział dziesięciu lat w mamrze!
- Posłuchaj, Ronan...
- Od razu cię uspokoję. Napisałem rzeczy bardzo niewinne. „Nie zapomniano o tobie... Jeszcze się zobaczymy...” Takie numery, żeby go zwyczajnie poirytować. Nic bardzo złego, możesz mi wierzyć. Czy myślisz, że poprosiłbym cię o nadanie tych listów, gdyby były kompromitujące?

Wybucha śmiechem i pyta:

- Nie masz zaufania, co? Mówisz sobie: „Ten stary Ronan chce mnie wywieść

w pole”. Otóż mylisz się. Jeżeli ohydny Quéré jest bezrobotny, to nie z mojego powodu. Chyba nie oczekujesz, abym się nad nim litował?

Hervé waha się.

– Nie, nie – odpowiada – ale chciałbym raz na zawsze wiedzieć, w co się wplątałem. Życzyłeś sobie, bym wysłał listy. Zrobiłem to. Życzyłeś sobie, bym spotkał Quéré. Zrobiłem to. A co teraz?

– Kontynuujesz, do licha. Znowu go spotykasz. Zapraszasz na obiad. On zabiera cię do siebie. Przedstawia żonie. Uwodziś ją. Śpicie ze sobą.

Ronan wyciąga się na łóżku, opanowany atakiem śmiechu.

– Wybacz mi – bełkocze – gdybyś widział swoją minę! Jesteś nieoceniony. Przekląty Hervé!

Podnosi się i odzywa normalnym tonem, trochę poważnym, trochę ironicznym.

– Pozwól mi zabawić się co nieco! Nie mieszkam przecież w pałacu rozrywki. Wracam do naszej sprawy. Proszę cię, już na ten temat rozmawialiśmy, byś opowiedział mi o życiu tego nikczemnego Quéré. To nie szpiegostwo. Nikogo nie zdradzisz. Będziesz świadkiem, nic więcej.

– Ale dlaczego?

Ronan wpatruje się w jakiś punkt przestrzeni, gdzieś za oknem i dachami. Potrząsa głową.

– Ot, taka sobie potrzeba – szepcze. – Nie mogę ci wytłumaczyć. Uspokajam się wiedząc, co myśli, co robi, że jest bezrobotny i ma żalostną gębę. Matka powiada czasami, że nieszczęście jednych innym przynosi szczęście. I nie jest głupia, choć o tym nie wie, ta moja matka! Nieszczęścia Quéré sycą me pragnienia. Otóż to! Wiesz, czyjej pamięci je poświęcam! Ale jeżeli uważasz, że cię zmuszam, daj sobie spokój.

– Rozumiem – mówi Hervé.

– Idioto! Niczego nie rozumiesz. Nikt nie może zrozumieć. Proszę cię jedynie, abyś ze mną był, nie oceniał mnie i miał zaufanie. Czy potrafiłbyś mi tego odmówić?

– Nie. Skoro mnie zmuszasz do...

– Otóż to! Do niczego cię nie zmuszam. Twoje sumienie pozostanie białe niczym synogarlica.

Ronan opiera łokieć na ramieniu Hervégo w geście przyjaźni.

– Biedny stary. Gdybym był zdolny do działania, poradziłbym sobie sam, możesz być pewien. Dzięki, że jesteś moim szczudłem. Mam wielką nadzieję, że za kilka tygodni nie będę już musiał o nic cię prosić...

Pomóż mi odrobinę.

Opiera się na Hervém i wstaje.

– Mów dalej!

– Co mam mówić? – pyta Hervé.

– No, wszystko. Zatrzymaliśmy się na anonimowych listach. Nie wspominał ci o nich. Dobrze. A potem? Ma nową pracę na widoku?

– Nie. Jest kompletnie przybity.

– Doskonale!

– Dałem mu do zrozumienia, że być może będę mógł coś dla niego zrobić.

– Brawo. Chciałeś to przede mną ukryć. Naprawdę masz zamiar.

– Tak i nie.

– Ach! Jesteś wspaniały! Tak i nie! To cały ty. Naturalnie zapewnisz go, że się nim zajmiesz, i nie kiwniesz palcem. Pozwolimy mu skisnąć we własnym sosie. Mała kuracja, polegająca na odebraniu złudzeń, nigdy jeszcze nikomu źle nie zrobiła. Wiele kosztowało mnie, aby się tego nauczyć.

– A jeżeli sam znajdzie pracę?

– Jaki z ciebie dzisiaj rezoner. Masz albo nie masz do mnie zaufania?... Tym lepiej dla niego, jeśli znajdzie pracę, ale zdziwiłbym się. Czy jego żona wie?

– O listach? A skąd ja mam wiedzieć?

– Nie... O reszcie.

– Nie orientuję się.

– Musisz się dyskretnie wywiedzieć.

– Czy to ważne?

– Bardzo. Ale, nie powiedziałeś mi wszystkiego. Widząc cię był z pewnością niezmiernie zdumiony. Mnie zwałoby to z nóg. Nie wydawał się zakłopotany?

– Zakłopotanie, wiesz, jest jak sędzę uczuciem, na które nie może sobie już pozwolić.

Ronan gładzi go po karku.

– Dobrze, Hervé. Lubię twoje określenia. Ale czy jesteś pewien, że o mnie nie wspomniał? Jakaś aluzja... Słowo rzucone mimochodem?

– Nie. To ja powiedziałem mu, nie rozwijając tematu, że zostałeś zwolniony. Nie wyglądało na to, że dobrze sobie wszystko przypomina. Nasza grupka... Front Celtycki... to stara historia.

– Ale to przecież wspaniałe! – wykrzykuje Ronan. – Poczekaj! Odświeżmy mu pamięć.

Dźwigną za drzwiami talerze.

– Ronan!... Ronan!... Otwórz! To ja, mama.

– Zmusza mnie do jedzenia podwieczorku o czwartej, jakbym wciąż był szczeniakiem – mamrocze Ronan. – Zdajesz sobie sprawę: grzanki, kompot, zawiązana dookoła szyi serwetka. Lepiej już idź. Żadnych widzów, kiedy bobo zajada podwieczorek. Do zobaczenia, stary, i dzięki za wszystko.

Drogi przyjacielu!

Pisze pan w ostatnim liście, że najlepiej odpowiadałoby mi stanowisko nauczyciela. Z pewnością dlatego z taką niecierpliwością wyczekuję korespondencji. Do tej pory niestety odpowiedzi są odmowne. Nie dalej jak wczoraj otrzymałem list ze szkoły imienia Borisa Viana. (Modernizują się.) Znalazłem w tekście błąd ortograficzny; chciałem wierzyć, iż przyczyną jest jedynie roztrzępianie maszynistki. Nie ma niczego dla mnie. Póki co, umieściłem w sklepach ogłoszenia. „Dyplomowany nauczyciel przygotowuje do matury. Udziela również lekcji angielskiego”.

Nie jest to dobrze zredagowane. Przydałoby się coś bardziej wyszukanego. Ale wyszedłbym na snoba wobec drogerzysty, piekarza, pośrednika w handlu nieruchomościami, którzy zechcieli wywiesić moje skromne kartki. Wszyscy mnie znają. Zwłaszcza właściciel bistra, o którym byłbym zapomniawszy. To ludzie prości i wypada w stosunku do nich zachować prostotę. Gdy zaglądam od czasu, do czasu, z daleka potrząsają głowami. Nie trzeba zaczynać rozmowy. Rozumiem. Zresztą, niech pan powie, komu wpadłoby do głowy zwrócić się do mnie o lekcje angielskiego albo filozofii? Kto będzie szukał korepetytora u drogerzysty?

A poza tym te ogłoszenia trącą na miłą kimś żalonym, bez grosza przy duszy. Nie wzbudzają zaufania. Powiem panu prawdę, drogi przyjacielu: my, bezrobotni, jesteśmy „nietykalni”, jakbyśmy nosili wokół głowy nie aureolę świętości, lecz nimb niepowodzenia, świetlisty, złowrózny krąg. „Odsuńcie się, przyzwoici ludzie. Oto nadchodzi człowiek nieczystej krwi!”

Ja, rzecz jasna, jestem podwójnie „nietykalny”. Niech pan nie protestuje. Tak pan myśli w głębi duszy. Dowód, że modli się pan za mnie.

Lecz zostawmy to. Mam przed oczami wzory ankiet, które należy wypełnić w bardzo krótkim czasie. Może pan się wprawiać, jeżeli przyjdzie panu ochota. Uważam za skandal, że na serio zadaje się zagadki zgnębionym facetom, których długie oczekiwanie zubożyło ich na wszystko.

Pierwszy przykład:

„Które z następujących działań najlepiej posłuży wynikom pracy sprzedawcy:

- 1) Zaproszenie ewentualnych klientów na kolację?
- 2) Lektura najświeższych publikacji na temat jego pracy?
- 3) Zaliczenie lekcji psychologii?
- 4) Czytanie wszystkiego, co dotyczy hipotez psychologicznych?” Ładne, nieprawdaż? Zaproszenie na kolację! Nie ma pan już ani grosza, ale zabierze pan klientów do Maxima. A lekcje psychologii? Czy to nie chytre? Po co studiować drobne ogłoszenia? Lekcje psychologii, oto ratunek. Nie znam dobrej odpowiedzi, ale widzi pan, na czym polega sztuczka: oszołomić kandydata, zmusić go do błędu, bezlitośnie oblać nieszczęśnika, jeśli waha się zbyt długo.

Co prawda nie wszystkie ankiety są w tym stylu. Znajdzie pan również lekkie, powiedziałbym nawet frywolne. Na przykład:

„Pod którym z następujących tytułów ta sama książka sprzedawałaby się najlepiej?

- 1) Kolacja za śpiew?
- 2) Jak śpiewać dla pieniędzy?
- 3) Dolarowa serenada?
- 4) Podręcznik nauki wymowy?”

Co do mnie, szczególnie polubiłem „Dolarową serenadę”. To mi przypomina powieści Langlois. Ale „Kolacja za śpiew” też nie jest zła. Rada dla bezrobotnych koników polnych. Takie testy mógłbym panu cytować bez końca. Jak choćby jeszcze ten, wyciągnięty na chybił trafił:

„Która z następujących zalet jest najważniejsza dla sprzedającego szczotki komiwojażera:

- 1) Uprzejmość
- 2) Dobre maniery
- 3) Wytrwałość
- 4) Osobowość”

Uwaga! Chodzi o sprzedaż szczotek. Nie grzebieni albo wykałaczek, co wymagałoby zupełnie innych zalet. A zatem należy mieć dobre maniery, garnitur za dwa tysiące franków, dyplomatkę z krokodylej skóry, goździk w butonierce i aksamitny wzrok. I niech mnie diabli porwą, jeżeli nie uda się panu wcisnąć szczotki za dwadzieścia franków. Kiedy przegląda pan owe pytania, jedno słowo powraca z uporem: „sprzedaż”, „sprzedawca” albo „sprzedawać”... „Jest pan nowym sprzedawcą”... „Co najlepiej charakteryzuje dobrego sprzedawcę?”... „Najlepszy sposób postępowania sprzedawcy, który...” i tak dalej. Kręci się w głowie. Każdy test sugeruje, że trzeba walczyć z konkurentem... z klientem... z zegarem... Stańcie się groźnym przeciwnikiem. Pożerajcie, by nie zostać pożartymi. Czego bym nie robił, wraca do mnie obraz zagryzanej zębry. Myślę, że również lwice muszą przechodzić testy!

Jestem jednak niesprawiedliwy; istnieją kwestionariusze, które obchodzą się z panem łagodnie. Podsuwają przypochlebne zwierciadło i zachęcają do gry z samym sobą. Na przykład:

Jeżeli zarzucano panu upór, może pan skorygować tę opinię wybierając z następującej listy odpowiedni przymiotnik: przekonywający, gorliwy, nieśmiały, życzliwy, uprzejmy. Czy biorą pana za egoistę? Czy można o panu powiedzieć: zrównoważony, współdziałający, tolerancyjny lub przyjacielski? I tak dalej. Ale biada panu, jeśli nieostrożnie przedstawi się pan w nazbyt korzystnym świetle. Jest pan wówczas zgubiony!

Niech pan nigdy nie zapomina, że jest petentem, a więc osobą przegraną. Są przymiotniki, do których nie ma pan prawa. Podobnie jak z biletem na drugą klasę nie ma pan prawa podróżować w pierwszej. A miło przecież byłoby określić się jako: dynamiczny, szlachetny, zadowolony, twórczy lub czarujący! Garną się do pana te słowa niczym kwiaty. Chciałoby się nimi pooddychać, podelektować się. Niemożliwe! Lepiej

się nie upierać! I przechodzi szybko. Nie kazać czekać tym, którzy tupią za panem niecierpliwie.

Zgłosiłem swoją kandydaturę na stanowisko korektora w dużej drukarni. Na wszelki wypadek. Dlatego panu o tym nie powiedziałem. Musiałem spotkać się z konsultantem. Nie zna pan z pewnością zasad działania biura matrymonialnego. Wita pana osoba, która pyta o pańskie upodobania, pragnienia i grzebie w wykazie siostrzanych dusz, by wyszukać odpowiednią partnerkę. Konsultant natomiast jest panem, którego rola polega na zaoferowaniu panu już nie narzeczonej, lecz zawodu (w rzeczywistości trochę to bardziej skomplikowane, ale upraszczam). W ogromnym biurze wita więc pana wytworna osoba o inkwizytorskim spojrzeniu. Kiedy tylko podchodzi pan do wskazanego krzesła, zaczyna się ocenianie pańskiego zachowania, pańskiej niezręczności i pańskiego skrępowania. A później słuchają pańskich słów, poddają je osądowi i ekspertyzie. Stoi pan przed kimś, kto jest jednocześnie sędzią, lekarzem i spowiednikiem. „Od jak dawna, synu, pozostaje pan bez pracy?”

Ach! Drogi przyjacielu, niech mi pan pozwoli pożartować, bym osłodził mą gorycz. Raz jeszcze, tym razem ustnie, co czyni rzecz bardziej przykrą, musi pan zwierzyć się ze swego nędznego życia: miejsce urodzenia, data i cała reszta. Pański wróg zapisuje, bowiem przyjaźnie wyglądający konsultant kryje wnikliwego obserwatora, który à priori podejrzewa pana o kłamstwo.

Słusznie zresztą. Bo jemu również zaserwowałem wymyśloną dla Heleny bajeczkę: dlaczego miałby się dowiedzieć, że nigdy nie byłem zatrudniony u ojca? Jakim prawem? Jestem bezrobotny, zgoda. Ale moje prywatne życie wiąże się ściśle z moją godnością. Widzi pan; podobało mi się u Langlois to, że nigdy nie zadawał mi pytań. Właśnie możliwość milczenia, jak mi się zdaje, najlepiej charakteryzuje wolność. Zatem, dlaczego ten facet, uważający się za uprawnionego do grzebania w moim prywatnym życiu, pyta o powody rezygnacji z pracy? Miałem interesującą posadę w markecie i nagle ze wszystkim zerwałem. To go intryguje. Czy byłem chory? Przemęczony? Analizuje moje odpowiedzi, patrzy z potępieniem. Pod żadnym pozorem nie porzuca się znalezionej pracy. Nieważne, czy podoba się, czy też nie.

– Problem zatrudnienia jest sprawą poważną, drogi panie. Trzeba zadowolić się tym, co się posiada.

– Ale czy mam jakieś szanse?

– Nie ode mnie to zależy. Zostanie pan powiadomiony.

Oczywiście odprawiono mnie z niczym. Nie wiem, dlaczego opowiadam panu o tej rozmowie. Jest bez znaczenia. Myślę, że nastąpi wiele podobnych. A jednak wiem, po co panu o tym opowiadam. Ponieważ doświadczam ubóstwa, to znaczy żebractwo bez wyciągania ręki. Zorganizowane, zalegalizowane żebractwo. Być może w pańskich wystąpieniach pojawia się jeszcze słowo „miłosierdzie”. Niech pan zrozumie, że należy mówić o odszkodowaniu, co nadaje sprawie fałszywe pozory sprawiedliwości. Znają nasze przeczulenie. Nie jesteśmy rzecz jasna połamanećmi, zezowatymi, kuternogami, żebrzącymi u wrót kościołów. Lecz tam, gdzie istnieje kolejka, istnieje też nędza.

Poczekalnicy konsultanta zapełniają petenci, którzy przybyli wyznać grzechy, a największym jest to, że w ogóle żyją. Nie, nie jestem neurastenikiem. Helena tak sądzi i nie ma racji. Bardzo się zmieniła. Już przestała się mizdrzyć. Nalega, bym przyjął jakąkolwiek pracę, albo prawie każdą. Podobnie jak ja zdaje sobie sprawę, że jeżeli raz zaczniemy pożyczać, nigdy już z tego nie wyjdziemy. A więc zarzuca mi „apatię”. Mówi, że chwytam się każdego pretekstu, by założyć beczynnie ręce. Od pewnego czasu, dokładnie od porzucenia pracy w markecie, często dochodzi między nami do sprzeczek. I tak od zdania do zdania sprawiamy sobie ból.

Niestety! Ja również sądziłem, że łatwo jest wybaczyć, wie pan, puścić obelgi w zapomnienie. Jeszcze jedna pobożna brednia. Wszystko, co wnika w pamięć, zostaje w niej wytatuowane. Niezatarcie jest wspomnienie ciosów, nawet jeżeli usta mówią coś przeciwnego. „Apatia” stanowi cios. „Neurastenia” stanowi cios. Nie można się wycofać, należy zrewidować całą filozofię ekspiacji. Łatwo o wyrzuty sumienia, kiedy jesteśmy pewni jutra, ale właśnie kiedy z owym jutrem mamy problemy, kiedy przyszłość trąci zgnilizną, wiemy, że nigdy już nie zaczniemy od zera.

Wydaje mi się, że Helena to czuje. Czasami cisza rzuca pomiędzy nas jakby utkaną z mgły zasłonę. Samotność! Pustka! Chłód! Wymówki osiadające w sercu niczym płatki śniegu. A wszystko dlatego, że pod koniec miesiąca brakuje mi kilkuset franków. Miłość, drogi przyjacielu, jest maszynką do robienia pieniędzy.

Do zobaczenia.

Zawsze pański Jean-Marie

* * *

Dzwoni telefon.

– Siedź spokojnie – mówi pani de Guer – ja odbiorę.

Ronan i matka jedzą obiad. Usiedli naprzeciw siebie w zbyt dużej, jak dla nich, jadalni. Ronan dostał pozwolenie na zejście po schodach. Bez apetytu rozgziata kotlet. Przez wysokie drzwi z dwoma skrzydłami widzi w salonie starszą panią, jak bierze krzesło i siada przed podniesieniem słuchawki.

– Halo?... Tak, pani de Guer... Ach! To pan, panie Le Dunff.

Rzuca w stronę syna wściekłe spojrzenie, jak gdyby to on był odpowiedzialny za ten telefon.

– Nie najgorzej się czuje...

Ronan z serwetką w ręku przechodzi przez jadalnię. Matka odpędza go ruchem dłoni; jej twarz wyraża niezadowolenie, choć głos pozostaje uprzejmy.

– Nie... Lekarz nie pozwala mu jeszcze wychodzić. – Przysłania dłonią słuchawkę i syczy gniewnie: – Skończ kotlet. – Po czym ciągnie dalej, słodziutka jak cukierek: – To bardzo miło z pana strony, że się pan tak interesuje jego zdrowiem... Czy ma coś do przekazania?... Ach! Chce pan z nim mówić... Tylko że...

– Daj – warczy Ronan.

Zabiera jej słuchawkę, a ona znajduje jeszcze czas, by dorzucić pogodnie:

– Oddaję mu słuchawkę – nim wykrztusi z wściekłością: – Co za tupet! Nawet nie można zjeść spokojnie obiadu... Postaraj się szybko skończyć.

Oddała się kilka kroków, poprawia bukiet lilii w wazonie.

– Dzień dobry – mówi Ronan – ależ nie, nie przeszkadzasz mi. Skąd dzwonisz?

– Z Mans – odpowiada Hervé. – Obiad w interesach. Wieczorem wracam do Paryża. Dzwonię do ciebie, bo znów widziałem się z Quéré.

– Bardzo dobrze.

– Tak sobie ułożyłem zajęcia, by spotkać go pod koniec popołudnia; chciałem mieć wolny wieczór i dobrze zrobiłem, jako że zaprosił mnie do siebie.

– Niemożliwe! – rzuca Ronan.

Matka kiwa głową, wznosi oczy ku niebu i zrezygnowana wraca do jadalni.

– Mam wrażenie – ciągnie Hervé – że w małżeństwie panuje niezgoda. Był zadowolony zabierając mnie do siebie, jak gdyby bał się sam na sam z żoną. Jednocześnie z

przykrością pokazywał mi mieszkanie, które faktycznie, mogło sprawić zawód.

– Bez psychologii – ucina Ronan. – Co się z nim dzieje?

– Miałeś rację co do jego żony. Nakazał mi, abym przed nią nie czynił najmniejszych aluzji do naszych uczniowskich czasów.

– Drań!

Pani de Guer dzwoni na służącą.

– Proszę odgrzać kotlet pana – rozkazuje ostro. – Widzę, że to jeszcze długo potrwa.

– Ależ z niego hipokryta! – podejmuje Ronan. – I jak się to odbyło?

– Bez problemów. Żyją w zwyczajnym trypokojowym, dobrze utrzymanym mieszkaniu. Niemal wszędzie rozrzuca niedopałki. Na wszystkich meblach leżą popielniczki. Ale poza tym spodziewałem się czegoś gorszego. Czuje się dobry, kobiecy gust.

– Och!

– Zapewniam cię, że tak. Być może zaciskają pasa, ale łatwo domyślić się, że jest to kobieta, która lubi ładne rzeczy. Od razu zwraca się na nią uwagę.

– Mam do ciebie zaufanie. Ty i kobiety!... A więc, jaka ona jest?

Pani de Guer podejrzliwie wyciąga szyję, nie spuszcza syna z oka.

– Zupełnie niezła – mówi Hervé. – Moje wrażenie potwierdziło się. Z byle jakiego materiału zrobiła sobie całkiem szykowny strój. Suknia nie była być może kunsztownie skrojona, ale już nie jest źle, kiedy kobieta rezygnuje ze spodni, w których jej tyłek wygląda jak klaczy zad.

Ronan śmieje się serdecznie.

– Klaczy zad, a to dobre!

Pani de Guer podrywa się z miejsca i podchodzi do drzwi salonu. Ronan daje jej z daleka znak ręką, by odeszła, i pyta:

– Czy jest ładna?

– Powiedzmy, że w moim guście – odpowiada Hervé. – Dobrze zbudowana. Należałoby sprawdzić, jak zachowuje się w łóżku.

– Jesteś wstrętny. I co dalej? Przecież nie tylko wpatrywaliście się w siebie.

– Rozmawialiśmy. Przedstawił mnie jako odnalezionego po latach dawnego sąsiada. Znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Mało brakowało, by się zaczął rumienić.

– Musi jednakże być przyzwyczajony do kłamania.
– Dziwny z niego typ – mówi Hervé. – Nie zwała na kolana, ale przyznaje, że zyskuje w domowym zaciszu. Kiedyś nam z pewnością imponował. Ale teraz! To biedny, psychicznie zrujnowany facet.

– Przykro mi – rzuca szorstko Ronan – ale dla niego nigdy nie będzie przedawnienia.

– Poczekaj – podejmuje Hervé – nie unoś się. Staram się ci opowiedzieć... wszystko... bardzo dokładnie. Nie ulega wątpliwości, że dręczy się swoim bezrobociem. Nie było mowy o niczym innym. To ona napomknęła o anonimowych listach. Jest szczerą i bezpośrednią. Dlaczego miałyby nie poinformować przyjaciela męża? Po spojrzeniu Quéré natychmiast się zorientowałem, że właśnie popełniła gafę. Był zaniepokojony i wściekły.

– Przeczytała ci je?

– Nie. Quéré zaraz zmienił temat rozmowy.

– A więc zrozumiał, skąd pochodzi cios?

– Wcale nie. Pomyśl, gdyby cię podejrzewał, wiedząc, że jesteśmy starymi kumplami, nigdy by mnie do siebie nie zaprosił. Wstaw się w jego położenie. Nie. Całkowicie zniknąłeś z życia Quéré.

– Przecież musi kogoś podejrzewać. Kogo?

– W tym właśnie rzecz. Nikogo! I to najbardziej dręczy oboje.

Ronan obgryza paznokcie. Nie widzącymi oczami spogląda na matkę, wreszcie spostrzega jej obecność, odsuwa od ucha słuchawkę i szepce:

– Kończę. Już idę.

– Halo – odzywa się Hervé – słyszysz mnie?

– Tak. Rozmyślałem... Ta robota, wiesz, w sklepie... Czy on ją porzucił?

– Tak przynajmniej zrozumiałem. Ktoś z personelu przeczytał drugi list i Quéré wolał zniknąć. Bardzo chciałbym wiedzieć, co ów list zawierał. Bo w końcu, gdyby był tak nieszkodliwy, jak twierdzisz, nie wpadłby w taką panikę.

– Będziesz ich jeszcze odwiedzał?

– Nie chcesz mi odpowiedzieć, łajdaku!

– Tak, odwiedzę ich z całą pewnością. A wiesz dlaczego? Ponieważ są dla mnie bardzo sympatyczni.

– Zwłaszcza ona!
– Oboje. Są tacy bezbronni.
– A czy ja nie byłem bezbronny?
– Zgoda. Ale to stara historia. W końcu, twoja sprawa. Zauważ, że nie biorę niczyjej strony.

– Wszystko, o co cię proszę – mówi sucho Ronan – to to, byś mnie stale informował... Dziękuję... Do zobaczenia... Ach, jeszcze jedno! Uprzedź mnie, gdy znowu znajdzie gdzieś pracę.

Odkłada słuchawkę.

– A więc – wzdycha matka – można z powrotem zasiąść do stołu. Czego od ciebie chciał ten chłopak? Świetny moment na telefonowanie! A wygląda na dobrze wychowanego.

– Pozdrawia cię – odpowiada Ronan.

– Niewiele mnie to obchodzi. Mówiliście o kobietach... W porządku, w porządku, nie moja sprawa. Ale przy twoim stanie zdrowia...

– Posłuchaj, mamoo...

Nagle mnie serwetkę, rzuca na stół i wychodzi trzaskając drzwiami.

Jean-Marie na nowo odczytuje list. Drżą mu ręce.

Szanowny Panie!

Nasz kolega, pan Blanchot, zajmujący się trzecią i czwartą klasą, właśnie zachorował i musi przejść dosyć poważną operację. Ponieważ jest pan wolny, czy zechciałby wstąpić bezzwłocznie do mojego gabinetu? Będę mógł poinformować o obowiązkach, które spadną na pana, jeżeli zgodzi się z nami współpracować, na co mam nadzieję. Pracę będzie pan mógł rozpocząć natychmiast.

Proszę przyjmując wyrazy szacunku

*Dyrektor
Lucien Aujan*

Piękny papier. Szkoła imienia Charlesa-Péguy. To wydaje się poważne, robi dobre wrażenie. Ulica Prony, siedemnasta, elegancka dzielnica.

Uratowany – myśli Jean-Marie.

Nie traci ani minuty. Zdejmuje stary sweter oraz bezkształtne, domowe spodnie i zakłada szary, całkiem jeszcze przyzwoity garnitur. W końcu los się odmienił! Dzieciaki z trzeciej i czwartej klasy. Ideał! Trzeba będzie kupić kilka książek, podręcznik gramatyki, dziennik do wpisywania ocen. Ileż wspaniałych wspomnień związanych z dzieciństwem i początkami roku szkolnego. Rzut oka w lustro, nie wygląda źle. Oczywiście twarz nieco zmięta, ze względu na dzieci lepiej byłoby przybrać bardziej wesołą minę. Niesiony zapomnianą radością zbiega po schodach. Jakie to przyjemne! Radość rozpuszcza się w duszy niczym cukierek w ustach. Wstępuje do kafejki prowadzonej przez człowieka pochodzącego z Owernii, żeby zadzwonić do Heleny.

– Przypomina pan młodego żonkosia – mówi właściciel bistra – wszystko w najlepszym porządku?

– Tak. Bardzo dobrze. Dziękuję.

Telefon stoi na kontuarze. Niewygodnie rozmawiać przy klientach, którzy już nastawiają uszu.

– Halo... To pani, pani Matyldo?... Czy zechciałaby pani przekazać coś Helenie?... Tak, Quéré przy aparacie... Nie. Proszę jej nie przeszkadzać, tylko powiedzieć, że zaszła zmiana... dobra zmiana... Zrozumie... Dziękuję.

– Kieliszeczek calvadosu – proponuje właściciel bistra.

– Za mało czasu. Mam pilne spotkanie.

Takie słowa wywołują zachwyt. Spotkanie! Ktoś wie, że istnieje i już się nim interesuje! Jest jak właśnie ułaskawiony więzień. Życie zostało mu pożyczone, a odtąd należy do niego. Jest panem. Ma ochotę powiedzieć: „Spraw, Panie, żeby pan Blanchot długo pozostał chory i żebym zachował jego posiadłość”. Ostatecznie równie to szczerze i logiczne, jak: „Chleba powszedniego daj nam dzisiaj”. Dokładnie tak samo. Chleb powszedni należy przecież komuś zabrać!

Metro. Quéré kalkuluje, ile będzie mógł zarobić. Około czterech tysięcy franków?... Zresztą, mało ważne! Przyjmie, co mu zaproponują, i jeszcze podziękuje. Postara się zrobić dobre wrażenie. Będzie uważający i przymilny niczym cyrkowy pies, który ukradkiem zerka na kawałek cukru. Długie, ogromnie długie miesiące bezrobocia są znakomitą tresurą!

Wchodzi na szkolny dziedziniec. Teraz jest zaniepokojony. Jeszcze nie ma w rękę tego stanowiska!

Drogi przyjacielu!

Uff, nareszcie! Od zeszłego tygodnia jestem nauczycielem w szkole imienia Charlesa Péguy. Chciałem wcześniej do pana napisać, ale musiałem od razu objąć stanowisko i nie zostało mi ani chwili, by podzielić się z panem radością i autentycznym ukojeniem.

Odbyło się to bardzo prosto. Ten, którego zastępuję, zachorował. Dyrektor w swoim czasie otrzymał moją propozycję na piśmie, przypomniał sobie teraz o mnie i wezwał listownie. To wszystko. Rządę czterdziestką dzieciaków, chłopcami i dziewczynkami, choć powinienem raczej powiedzieć, że to oni mną rządzą. Partia pozostaje nie rozstrzygnięta. Spodziewałem się spotkać dzieci podobne do tych sprzed trzydziestu lat. Kiedy byłem w ich wieku, nauczyciel jawił mi się jako namiestnik Pana Boga. Smarkacze, z którymi mam do czynienia, dobrze wiedzą, że ich rodzice zarabiają znacznie więcej ode mnie. Jakiż więc mogę wywierać na nich wpływ? Według hierarchii wysokości konta bankowego jestem mało znaczącą osobą. Przyjeżdżają samochodami, na motorach, a ja przemieszczam się metrem.

Mojego poprzednika uczniowie bezlitośnie zniszczyli hałasem. Dlatego wołał odejść. Nie mógł już dłużej wytrzymać. Ale mnie nie dostaną. Mają jedynie bezczelność. A ja posiadam ironię. Są bezbronni wobec moich ciętych uwag. Kiedy, tak jak w moim przypadku, trzeba ratować skórę, do dyspozycji pozostają nieprzebrane zapasy złośliwości. A poza tym przewagę daje mi jeszcze ich całkowita, niezmierną, bezdenna ignorancja. Operują słownictwem niemal w całości wyjętym z komiksów, bardziej złożonym z wrzasków niżli słów. Wielu z nich wyrzucono już z kilku liceów. W wieku lat piętnastu, szesnastu i więcej przybierają miny ponownie powołanych do służby legionistów, a dziewczyny, już prawdziwe samice, są wymalowane i zuchwałe.

Założmy, że przesadzam, widzę wszystko w czarnych kolorach. Taką mam skazę. Ale niewiele przesadzam. I karanie jest wzbronione. Trzeba wytrzymać. Dyrektor, przypominający pozbawionego złudzeń impresaria, to właśnie nazywa: „wycuciem sytuacji”. O mnie może być spokojny. Będę postępował z mistrzowskim wycuciem. Z pewnością się nie dam, ponieważ nieźle płaci – to jakby transfuzja dla biednego, wykrwawionego faceta, którym zdążyłem się stać.

Czuć, jak drzewa nabrzmiewają sokami, cóż za niewysłowione wrażenie. Ach! Drogi przyjacielu, wiosna pieniędzy! Langlois miał zdecydowanie rację, mówiąc... Lecz nie, to co mówił, nie może być przytoczone przez wzgląd na przyzwoitość. Wraz z pieniędzmi wrócił do domu spokoj. Przede wszystkim Helena bardzo jest ze mnie dumna. Mąż nauczyciel! To ogromny awans. A poza tym wydaje się, że odzyskałem entuzjazm i lepiej wyglądam. W końcu znów możemy sobie pozwolić na snucie planów. Mamy sporo rzeczy do kupienia, trzeba odnowić garderobę. Nie ośmielaliśmy się już liczyć, by nie odkryć pod cyframi grymasu nędzy. Teraz, powolutku, na palcach, wracamy na dobrą drogę. I niech pan posłucha, to dziecinne, ale mimo wszystko powiem: kupiłem paczkę „Dunhilli”. Są to luksusowe papierosy. W czasie przerwy czasem zapalam jednego. Oni, którzy zawsze mają przyklepioną do warg gumę do żucia albo niedopałek, poznają zapach i spuszczają na godzinę z tonu.

Szybko biegnę na pocztę. Do zobaczenia.

Z wyrazami przyjaźni

Jean-Marie

Drogi przyjacielu!

Spokojnie podejmuję opowiadanie. Powiem od razu: wszystko w porządku, pomimo dość gwałtownych starć z dwoma lub trzema kawalarzami, którzy chcieliby rozkazywać. Byłem zrazu kompletnie bezradny, bo dzisiejsze szkolnictwo w niczym już nie przypomina dawnego. Mam na przykład w rękę podręcznik gramatyki, w którym tak roi się od uczonych słów, że mile widziany byłby słownik. To zresztą broń równie skuteczna, jak miotacz dymu pszczelarzy. Kiedy tylko klasa zaczyna się kręcić, szybko otwieramy nasz podręcznik: po kilku minutach złośliwość tężeje na twarzach, a jej miejsce zajmuje otępienie. Reasumując, powiem krótko, że na froncie notuje się jedynie sporadyczne zajścia.

Pozostaje rodzinny teatr działań wojennych. Tu również następuje odprężenie, ale oddają zbyt dużo terenu. Gdyby był pan żonaty, bez trudu mógłby mnie zrozumieć. Przeszedłem okres zamknięcia się w sobie, który żona wykorzystała na przejęcie inicjatywy. Mówiąc o nadużywającej swych praw kochance, Langlois zwykł twierdzić:

„Kiedy jej zimno, wtedy ja muszę dać się oskubać”.

Żartował, jak zawsze, a jednak była w tym racja. Niepostrzeżenie wpadłem w nawyk ustępowania, pozostawiając Helenie podejmowanie decyzji. Ostatecznie ona mnie żywiła. W końcu ustąpiłem w zasadniczej sprawie. Poszedłem z nią do kościoła, by podziękować Bogu za znalezienie pracy. Gdybym odmówił, zraniłbym ją śmiertelnie. Naturalnie wzięliśmy udział w mszy po łacinie. Dla Heleny bez łaciny nie ma religii. Grzecznie słuchałem, wraz z nią wstawałem, przyklękałem. Nie powinienem był tam być, a jednak przepełniała mnie wielka radość. Tak łatwo jest wierzyć, kiedy rozluźnia się pętla strachu.

Lud Boży, jak się teraz powiada, wznosił modły za Wietnam, Trzeci Świat, więźniów politycznych i nie wiem za co jeszcze, ale nikt nie myślał o modlitwie za takiego jak ja ateistę! Nawet Helena, która sądzi, iż obce mi są sprawy wiary, ale uważa, że nie jestem tym, kogo określa z pogardą bezbożnikiem. Oby się nigdy nie dowiedziała.

A skoro opowiadam panu o naszej niedzieli, niech pan zgadnie, kto na nas czekał przed drzwiami mieszkania? Chłopak, o którym już panu mówiłem: Hervé Le Dunff. Jest uroczy, uprzejmy, uniżony. Bardzo podoba się Helenie. Ja sam z przyjemnością go witam, choć lękam się gadatliwości. Gwałtownie nalegał, by zabrać nas na obiad. Miał na tyle taktu, że nie usiłował olśnić wyborem bardzo drogiej restauracji, a jednak potrafił nas ugościć. Kiedy dowiedział się, że zostałem nauczycielem, czy raczej wróciłem do tego zawodu, zamówił szampana.

– Jest pan zadowolony z uczniów?

Niebezpieczny temat. Zwrócił się ku Helenie.

– Pani mąż był tak...

Czubkiem buta trąciłem go w stopę. Po rzuceniu mi porozumiewawczego spojrzenia natychmiast się opanował.

– Był we wszystkim obkuty. Uczniowie mają szczęście, że posiadają takiego nauczyciela!

Helena z płonącymi policzkami i błyszczącymi oczyma nie odrywała wzroku od jego warg. Starałem się pospiesznie zmienić temat, ale nalegała.

– Czyż nie było to powołanie, panie Le Dunff? Dlaczego nie kontynuował studiów?

– To prawda – odparł Hervé – powinien pan być! Często zastanawiałem się z przyjaciółmi, co skłoniło pana do rezygnacji.

W jego spojrzeniu dostrzegłem coś w rodzaju kpiącej perfidii. Nie, słowo nie jest odpowiednie. Z pewnością nie perfidii. Raczej figlarności. Znam dobrze Hervégo. Nie zmienił się. Streszczam. Wypiliśmy za mój sukces. Następnie za jego, jako że bez przerwy rozwija interes i teraz myśli o organizowaniu turystycznych wycieczek: Rennes – Brest, przez Saint-Brieuc – Perros – Guires; Rennes – Le Mont – Saint-Michel, przez Diñan – Saint-Malo i tak dalej. Urodzony z niego pryncypał i czuję się przy nim bezpiecznie. Helena wyszła na chwilę, by poprawić makijaż, i wtedy zapytał mnie, czy otrzymałem nowe anonimy. Powiedziałem, że nie, i sprawiło mu to przyjemność.

– Co one dokładnie zawierały? Pogrożki?

Wolałbym porozmawiać o czymś innym, ale ponieważ nalegał, przytoczyłem nie bez wstydu tekst drugiego anonimu. Na jego twarzy poza zdumieniem wyczytałem również niedowierzanie.

– To niewiarygodne! – stwierdził.

– Oba listy nosiły stempel ulicy Littré; to znaczy bliskich okolic dworca Montparnasse.

– Pewnie, by wprowadzić pana w błąd – zauważył.

– Nie sądzi pan, że ktoś z Rennes...?

– Na pewno nie.

– Ale tutaj nikogo nie odwiedzam. Nikomu nie wyrządziłem krzywdy.

Przytaczam panu tę rozmowę, ponieważ Hervé zachował się podobnie jak pan. Udzielił mi takich samych rad. Już się nie zadręczać. Wykreślić z pamięci owe bardziej głupie niż wstrętne listy. Nie jest to łatwe, niestety. Wystarczy powiedzieć, że wciąż odczuwam nieokreślony strach, gdy otwieram skrzynkę na listy albo moją szafkę w szkole imienia Charlesa Péguy, jak gdybym miał położyć dłoń na czymś chłodnym i żywym.

– Nic już się panu nie przydarzy – stanowczo oświadczył Hervé.

Bardzo szybko dorzucił, gdyż Helena zbliżała się do stołu: – Niech pan mnie zawiadomi, jeżeli prześladowania trwałyby dalej. Ale jestem niemal pewien, że to już skończone.

Biedny chłopak! Jak gdyby miał na to choćby najmniejszy wpływ! Mimo wszystko w ciepełku przyjemnego trawienia uwierzyłem mu. Być może rzeczywiście nic się już nie przydarzy. Nie wytrzymałbym nowego ataku. Metal, który kurczy się, potem rozszerza, potem znów kurczy, szybko pęka. Zatem moje serce...

Hervé odwiózł nas swym pięknym, sportowym samochodem. Byliśmy nieco słóczeni, a mimo to mało brakowało, by Helena wywijiała z uciechy rękami. Stwierdziła, że przyjechaliśmy zbyt szybko.

– Chcecie się jeszcze przejechać? – zaproponował Hervé.

Helena popatrzyła na mnie błagalnym wzrokiem.

– Jedźcie oboje – odpowiedziałem. – Jestem trochę zmęczony. A ona niech się zerwie.

Nie należę do wesołych kompanów, ale jeżeli uda mi się zachować stanowisko – dlaczego nie? – możliwe że znów powróci uśmiech.

Dziękuję za pańskie życzliwe listy. Nie zasłużyłem na pańską przyjaźń.

Pozdrowienia

Jean-Marie

Ronan, idąc z matką pod rękę, po raz pierwszy wychodzi z domu. Wolałby być sam. Zresztą, matka niewiele by mu pomogła, gdyby nagle potrzebował wsparcia. Pojechali taksówką aż do wielkiego ogrodu Thabor i teraz powolutku spacerują w promieniach słońca parkowymi alejami.

– O czym myślisz? – pyta matka.

– O niczym.

Nie kłamie. Spogląda na kwiaty, podskakujące przed nim wróble, świeże liście. Ciało ma również świeże. Jeszcze trochę chwiejące się i zwiotczałe w środku, ale radosne pełnym wstydu szczęściem. To Katarzyna powinna iść obok niego. Kradnie jej to słońce. To popołudnie, przesiąknięte zapachami, szmerem skrzydeł, brzęczeniem owadów, również jej kradnie. Jest uczepionym ramienia starej kobiety w żałobie uciekinierem, mającym sobie za złe, że przeżył, i który woli nie wspominać. Chciałby być kossem, liściem pływającym po stawie, cieniem chmury na trawniku.

– Zmęczyłeś się.

– Nie.

– Chyba jednak trochę. Widzę tam ławkę. Odpoczniemy sobie.

Na nic nie zda się dyskusja. Zgadając się wyjść, z góry przystał na wszelkie ograniczenia. Dlatego taksówka. By uniknąć spotkań, komentarzy, jako że opinia publiczna ma dobrą pamięć. A dlatego Thabor, bo jest rzadko odwiedzany wczesnym popołudniem. Pani de Guer, z domu Le Corre du Plouay, nie pozwoliłaby, by szeptano na ich widok.

Pomaga synowi usiąść na ławce, trochę w cieniu, trochę w słońcu, wyciąga wólczkę. Druty zaczynają migotać. Ronan zapada w drzemkę. On również tka drobne przebłyski świadomości. Dlaczego Thabor? Istnieje inny powód... Katedra bez wątpienia. O dwa kroki stąd, na skraju lasku... Wracając przejdą obok, jakby przypadkiem. Potrafi posługiwać się starannie zaplanowanym zbiegiem okoliczności, czcigodna kobieta. Za oficjalnym powodem zawsze kryje się inny, jak krab pod kamykiem. Powie, że mały postój dobrze im zrobi. Jak odmówić? Będzie musiał jej towarzyszyć, usiąść przed ołtarzem. Już ją słyszy, jak wzdycha ze złożonymi rękami, porusza wargami jak królik. Skubie jakieś Ave Maria za zbawienie chłopca, który był niegdyś taki pobożny, a teraz ze wszystkiego sobie kpi. A ten drugi, okropny Quéré, czy wytrzymał w pobożności? Lecz nie czekasz na darmo, pocziwcz!

Ronan powoli otwiera oczy; blask słońca sprawia, iż kurz w głębi alei zdaje się niebieski. Rozpoczyna się safari. Quéré nie będzie mógł uciec z rezerwatu. Pozostaje sprowadzenie go na dogodną odległość. To długo potrwa... to długo potrwa... Głowa Ronana powoli opada na oparcie ławki. Śpi. Pani de Guer bardzo delikatnie okrywa mu nogi swoim płaszczem.

Drogi przyjacielu!

Niech pan wybaczy pismo. Ręka chodzi mi na wszystkie strony. To wzburzenie. Dzieją się rzeczy przerażające. W kilku słowach: przedwczoraj wezwał mnie dyrektor i dał do czytania list, który nadszedł z poranną pocztą. Natychmiast zrozumiałem. Trzeci list, do licha! Tym razem żadnej obelgi. Po prostu prawda.

- Czy to się zgadza? – zapytał mnie dyrektor.
- Zgadza się.

Nie miałem zamiaru się spierać!

- Dlaczego nie zwierzył mi się pan?

- Dlaczego miałbym to robić, skoro dotąd zachowywałem milczenie? Nic nie poradzę. Są rzeczy, które jedynie mnie dotyczą.

- Nie jest pan wyjątkiem! – podjął.

Rozmyślał dłuższą chwilę, na przemian rozkładając i składając okulary. Wiedziałem już, co zaraz nastąpi.

- Bardzo to przykre – westchnął. – Zdążył pan ocenić naszych uczniów, nieprawdaż? Mógł pan stwierdzić, iż trudno ich utrzymać na wodzy. A znacznie gorsi są rodzice. Wystarczy najmniejsza kara, a już, szczególnie matki, pienią się ze złości. Zatem w pańskim przypadku...

Gdyby pan od razu otwarcie powiedział. Może teraz byłaby inna sytuacja. Chociaż, chyba przesadzam. Ludzie są tacy głupi!... Niech pan sobie wyobrazi, że list zostaje powielony w dziesięciu, piętnastu egzemplarzach i zaczyna krążyć... Wszystko jest możliwe! Wie pan, jakie to by zrobiło wrażenie? Nie miałby pan żadnego autorytetu, a ja straciłbym sporo uczniów.

Nie byłem w stanie oponować. Miał całkowicie rację i nawet nie pomyślałem o proteście.

- Każdy ma własne poglądy – kontynuował – ale w takim zakładzie lepiej pozostać neutralnym. A więc... niech się pan wstawi w moje położenie.

Oczekiwałem na te słowa. Są odwieczne. Pewien jestem, że Poncjusz Piłat wypowiedział je przy zwyciężonym i krwawiącym królu Żydów.

Chwila milczenia. Nie potrafił zdobyć się na decyzję, bo mimo wszystko nikczemność ma swoje granice.

- Rozstańmy się polubownie – zaproponował w końcu. – Dam panu przyzwoite odszkodowanie i powiemy, że pan zachorował. Naturalnie może pan odmówić, bo ma za sobą prawo, ale pańska sytuacja szybko stanie się nie do zniesienia. Proszę mnie dobrze zrozumieć, drogi kolego. Psuje wszystko ów anonimowy list. Bardzo pragnąłbym pana zatrzymać. Ale wróg nie opuści nas na krok i muszę myśleć o reputacji instytucji.

Obserwował mnie i widząc, że nie wybucham, z wolna odzyskiwał pewność siebie. Ledwie go słuchałem. „Tak utalentowany człowiek jak pan zawsze znajdzie pracę”... „Zawsze pozostają prywatne lekcje”... Słowem, niewyraźny szmer wypowiedzianych słów, na które przestałem zwracać uwagę. Byłem daleko. Zdążyłem już odejść...

Nigdy nie zgodzę się, by mnie wyrzucono. Wolę uprzedzić bieg wypadków. Otóż to. Przyjąłem czek. Och! Niezbyt duży. Raz jeszcze znalazłem się na bruku, ale jestem zupełnie oszołomiony jak człowiek zmieciony wybuchem.

Cóż powiem, kiedy pójdę uregulować moje sprawy? Nie wspomnę im o anonimowych listach. Roześmialiby mi się w nos. I zwyczajnie pomyśleli, że już nic ze mną nie da się zrobić. Ale to jeszcze nic. Istnieje Helena! Nic jej nie powiedziałem, bo nie wiem, jak się do tego zabrać. Proszę sobie wyobrazić, że opowiadam wszystko, od samego początku. Z powodu owych anonimów pomyśli nieuchronnie, że jeszcze coś przed nią ukrywam. Nigdy nie przestanę się usprawiedliwiać i zasiane zostanie ziarno nieufności. To okropne. Bardziej niż pan przypuszcza. Nawet zakładając, że znajdę nową pracę, któż zaręczy, iż na mnie nie doniosą i znów nie zmuszą do porzucenia zajęcia. Ktoś mnie śledzi, nie spuszcza z oczu i teraz do wszystkich moich cierpień doszedł paraliżujący mnie, nieokreślony strach. Tak jakbym stał się przestępcą, któremu niewidzialni wywiadowcy depczą po piętach. To, rzecz jasna, chorobliwe urojenia. Nie przestanę sobie tego powtarzać. W ten sposób pewnie zaczyna się prawdziwa nerwica. Zauważam brak apetytu, nagle ściskającą gardło ochotę na płacz, nie mogę spać. A przede wszystkim dręczy mnie myśl o śmierci. Helena śpi obok, słyszę tykanie budzika, jest ciemno. Mówię do siebie: „Jak jej oznajmić, że nie wrócę do szkoły imienia Charlesa Péguy? W którym momencie? Jakimi słowami?

I, nie wiedzieć dlaczego, w moim nieszczęsnym, chorym umyśle zaczyna się goni-twa myśli. Byłoby dla wszystkich lepiej, gdybym zniknął. To życie jest idiotyczne!... A wtedy odpowiadam: W tejże samej chwili, dokładnie w tej samej sekundzie, w czasie jednego uderzenia serca, jest na świecie torturowany partyzant, mordowany przechodzień, gwałcona kobieta, umierające z głodu dziecko... Są ci, którzy toną, giną w płomieniach, są bombardowani, popełniają samobójstwo. Z przestworzy oglądam Ziemię, która wydziela trupi, nie do zniesienia odór. I po cóż ów cały zamęt myśli i obrazów? By się rozerwać! By zapomnieć, że wkrótce wstanie dzień i będę musiał znaleźć jakieś rozwiązanie. Opóźnić moment, kiedy przyjdzie mi rzec: „Heleno... Mam ci coś do powiedzenia”.

Drugi przyjacielu, jestem bardzo nieszczęśliwy. Często o panu myślę.

Jean-Marie

* * *

Drogi przyjacielu!

Nie będę się mazał. Wystarczy, że opowiem panu dalszy ciąg moich tarapatów. Znowu wezwał mnie dyrektor» szkoły. Ostatnim razem przemawiał ojcowskim, słodziutkim tonem. Teraz był wściekły.

– Kiedy skończy się ta komedia? Ostrzegam pana: jeszcze jeden podobny list i wnoszę skargę.

Pchnął w moim kierunku list i od razu poznałem papier. Przeczytałem. „Niech się pan ma na baczności. Quéré jest donosicielem. Może panu sprawić wiele kłopotów.”

Byłem oszołomiony. Ja, donosicielem?

– Daję słowo, panie dyrektorze, niczego nie rozumiem.

– Możliwe – odpowiedział – nie interesują mnie pańskie popełnione w przeszłości czyny.

– Jak to, popełnione w przeszłości czyny? Proszę cofnąć te słowa.

– Nie mam zamiaru niczego cofać. I radzę panu zrobić wszystko, by podobny incydent nie powtórzył się.

– Cóż mam zrobić?

– To nie moje zmartwienie, ale nie życzę sobie, by pański korespondent srał na mój próg.

– Nie mam pojęcia, skąd pochodzi cios.

– Coś podobnego! Za kogo mnie pan bierze?

Zdruzgotany wyszedłem. Ja donosicielem? Od ośmiu dni roztrząsam sprawę. Zna mnie pan. Nigdy nie potrafiłbym nawet pomyśleć o wydaniu kogokolwiek. Nie. Nie rozumiem. Z pewnością nastąpiła jakaś okropna pomyłka, co czyni moją sytuację jeszcze straszniejszą. Przed kim bowiem bronić mej sprawy? Kto stara się mnie okryć hańbą? Byłem w zeszłym tygodniu zdecydowany na rozmowę z Heleną. Teraz nie mam już odwagi. Czekam. Dlaczego ten (albo ta), który mnie prześladowuje, nie miałby zwrócić się bezpośrednio do niej? Wybieram milczenie. Każdego ranka układałam w torbie kilka książek, jak gdybym miał iść do szkoły. Helena całuje mnie.

– Pracuj dobrze. I nie przemęczaj się zbytnio.

Idę przejść się nad Sekwanę. Ciągnę me strapienie wzdłuż stoisk bukinistów. Zmordowany długim marszem wracam na obiad. Helena wita mnie z uśmiechem.

– Twoje dzieciaki nie były zbyt niezdolne? Ależ tak... Trochę... Widzę po twojej minie.

Jemy szybko. Słucham, jak mówi.

– Można by spędzić wakacje w Normandii – rozprawia wesoło. – Josiane poleciła mi bardzo przyjemną miejscinę, na południe od Granville.

– Mamy jeszcze czas.

– Tak sądzisz! Trzeba wynajmować pokoje znacznie wcześniej.

Biedna Helena! Wakacje są cudownym przeciwieństwem pracy. Ale kiedy zaczyna brakować pracy, bezczynność staje się sprośną karykaturą wakacji. Lepiej, jak odkryje to sama. I wyruszam z torbą pełną niepotrzebnych książek. Żeby zmienić otoczenie, jadę metrem w kierunku Lasku.

Przechadzam się pod drzewami, rozmyślając o przeszłości. W Rennes odwiedzałem często park Thabor. Lubilem jego zaciszne aleje. Byłem wówczas szczęśliwy. Nie żyłem w kłamstwie. Nie musiałem spowiadać się z moich myśli. Przychodzą mi do głowy słowa: „Zgrzeszyłem myślą, słowem, uczynkiem i zaniedbaniem.” Długo nie przywiązywałem większego znaczenia do grzechu przez zaniedbanie. Niestety! On jest najgorszy. Zakłada bowiem pogardę wobec innego człowieka. Pewnie nieświadomie pogardzam trochę Heleną. W przeciwnym razie wyznałbym jej wszystko; moje wyparcie się wiary, wątpliwości, słabości, które same w sobie są usprawiedliwione, lecz starannie skrywane wyglądają na zdradę.

Zatrzymuję się w barze, piję coś, błędząc, nie widzącymi oczami – jestem zbyteczny, zdecydowanie i definitywnie. Wychodzę. Tym razem z nią pomówię. W najgorszym razie będzie to oznaczało rozstanie. Wszystko lepsze od owej budzącej wstręt wilgotnej zgnilizny.

Wracam. W skrzynce na listy pusto. I to udzielone odroczenie wyroku osłabia me postanowienie. Jutro być może nabiorę sił. Ostatecznie nie muszę opowiadać jej swego życia. Wystarczy wyznać, iż raz jeszcze złożyłem wymówienie. Jestem od składania wymówień! Człowiekiem, któremu powierzono stanowisko i który je porzucił. Nie sądzi pan, że to określa mnie dosyć dokładnie? I nie może pan sobie wyobrazić, jak przemyślnie potrafię nadać twarzy wyraz zmęczenia, by wyglądało, że lada chwila umrę. Im bardziej Helena zaniepokoi się stanem mego zdrowia, tym mniej będzie zdolna do wymówek. To niezawodny sposób.

– Zbyttno przejmujesz się pracą. Za takie pieniądze!

Czy nadszedł właściwy moment? Czy wystarczająco dojrzała na przyjęcie mojego wyznania? Może jeszcze nie.

– To prawda – odpowiadam – strasznie wyczerpujący zawód. Zastanawiam się, czy zdołam wytrzymać.

– Macie na szczęście sporo wakacji – mówi.

Za późno! Właśnie przepuściłem dobrą okazję. Posępniję. To również niezła sztuczka. Natychmiast zaczyna się niepokoić.

– Jeżeli źle się czujesz, weź dzień lub dwa wolnego. Nie zje cię twój dyrektor.

Widzi pan, drogi przyjacielu, jestem słaby, ale nie podły. Biorę jej dłoń i przyciskam do policzka. Mówię:

– Heleno! Trzeba mnie kochać. Bardzo. Nie wiesz, co szykuje nam przyszłość, ale dopóki będziesz blisko mnie, wierzę...

Przerywa mi.

– Ponurak z ciebie, moje biedaczysko. Weź sobie jeszcze kawałek pieczeni.

No i tak wygląda codzienne życie, wymiana znaków o zapomnianym już znaczeniu. Wszystko do niczego. Jutro, być może...

Raz jeszcze odczytuję, co napisałem. Jak mógłby pan nie stracić dla mnie szacunku? To właśnie do pana miałbym teraz ochotę powiedzieć: „Dopóki będzie pan blisko mnie...”

Do zobaczenia. Pański przyjaciel
Jean-Marie

Drogi przyjacielu!

Zdecydowałem się. Albo to raczej los sam zdecydował. Bezmyślnie wrzuciłem do kosza paczkę nie poprawionych wypracowań i odkryła je Helena.

– Zaczynasz wyrzucać ich zadania?

Ona, taka skrupulatna, była wyraźnie zgorzonna. Nie miało sensu odkładać decyzji na później.

– Nie wrócę tam już – oświadczyłem jej – wolałbym tłuc kamienie. Nie możesz sobie wyobrazić. Za stary jestem na takich smarkaczy. Dają mi się solidnie we znaki. To wszystko... Rezygnuję.

Nastąpiła okropna scena. Ujrzałem jej łzy, dygoczący podbródek, zaciśnięte wargi, poblądłe policzki i oczy zdające się rozszerzać pod ciśnieniem wody, której rzęsy nie mogły już zahamować. A ja myślałem: „Cóż za bydlak ze mnie”. Powoli usiadła. Jej słowa wzruszyły mnie bardziej od łez.

– Co ja powiem w zakładzie?

Bowiem często opowiadała innym fryzjerkom o mężu, który jest nauczycielem. Manikiurzystka mówiła z uznaniem kasjerce: „Pan Quéré to nie byle kto! Helena ma szczęście!” Oczekiwałem wymówek. Płakała łagodnie, jak płacze się w ciemnościach, samotnie pośród nocy. Nie ośmielałem się wziąć jej w ramiona. Było mi ciężko na duszy, a zarazem czułem ogromną ulgę. Chciałem złączyć nasze dłonie. Gwałtownie cofnęła swoją.

– Trudno z tobą wytrzymać! – odezwała się obcym dla mnie głosem.

W jednej chwili staliśmy się dla siebie obcy. Straciłem głowę. Tego nie przewidziałem. Chciałem porozmawiać. Wytarła oczy.

– Jedźmy – rzekła – tak będzie lepiej.

I nastała cisza. I zaczęła się kwarantanna. Nie dąsa się. Ja też nie. Po prostu ignoruje mnie od wczorajszego wieczoru. Jestem dla niej przezroczysty. Wie pan wszystko. Kończę. Jeżeli znajdzie pan w brewiarzu modlitwę za upiory, proszę ją z myślą o mnie odmówić.

Pański przyjaciel
Jean-Marie

Ostatnia utarczka na progu.

– Nie chcesz, bym poszła z tobą?

– Ależ nie. Bardzo dobrze się czuję.

– Będę się niepokoiła. Niby uważasz się za mocnego, a potem...

– Jeżeli za godzinę nie wrócę, wezwij na pomoc policję – mówi Ronan. – Będą zachwyceni, mogąc mnie złapać.

Jest na ulicy. Nareszcie sam! Nie trzyma się jeszcze pewnie na nogach. Ból opuszcza go powolutku, w zaciekłym manewrze ewakuacji. Ale nie można nazwać lekko-myślnością spaceru do biur przedstawicielstwa Ouest-France. Trzeba przebyć co

najmniej kilometr. I to pierwsza chwila wolności. Od ponad dziesięciu lat żyje pod kontrolą, pod jakimś spojrzeniem gdziekolwiek by nie poszedł. A po więzieniu dom, matka, służąca.

Teraz jest niewidoczny. Nikt go nie rozpoznaje. Jest panem samego siebie. Może zatrzymać się, znów ruszyć. Może włóczyć się. Czas przestał już być ponurym, przyporządkowanym o zawrót głowy ciągiem podobnych do siebie chwil. Zmienił się w barwny pochód sekund, wiodących tam, gdzie dusza zapagnie. Wystawy są piękne: pragnienie kupowania przypomina chęć uprawiania miłości.

Ronan spogląda na sklepowe witryny. Widzi swe odbicie w szybach i szuka obok postaci Katarzyny. Często tu spacerowali. Mówiła: „Widzisz ten fotel, dobrze byłoby mieć podobny w naszym pokoju!” Przechadzali się powoli. Ze śmiechem urządzali wspólne mieszkanie. Był to... Był to okres zapału. Pozostaje głucha nienawiść. Ronan bez pośpiechu chodzi od jednego do drugiego kramu, od jednego do drugiego sklepu. Słońce kładzie mu się na ramionach jak przyjazna dłoń. Tylko nie wpadać w rozdrażnienie; na godzinę pogodzić się z życiem. Powtarzać sobie, że panuje nad sytuacją i że nie należy się spieszyć.

Ronan przedłuża spacer, staje przed księgarniami, sklepem Perrina z bronią. A obok handlarz wędkami. To coś nowego! Zmieniło się miasto, stało się bardziej hałaśliwe. Jest mniej bretońskie. Widywało się niegdyś czepki, małe czepki z Morbihan w kształcie daszku, koronki z Finistère.

Do muzeum mój kraj – myśli Ronan – do lodówki.

Spostrzega budynek redakcji, odświeżony, nowoczesny, funkcjonalny. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Chce przejrzeć zszywkę gazet.

Pierwsze piętro, na prawo, w głębi korytarza. Mija spieszące się sekretarki. Słyszy hałas maszyn do pisania. Któż sobie przypomina, że był kiedyś bohaterem kroniki wydarzeń i że inne sekretarki biegały z jego powodu, trzaskały inne maszyny do pisania. I któż przypuszcza, że za kilka tygodni jego zdjęcie raz jeszcze pojawi się na pierwszej stronie gazety. ZBRODNIARZ KOMISARZA BARBIERA WRACA NA DROGĘ PRZESTĘPSTWA. A obok zamieszczą zdjęcie Quéré.

Wchodzi do obszernego pokoju. Zmierza ku niemu urzędnik w szarym fartuchu, spogląda przez okulary.

– Pierwszy kwartał 1969 roku? Niech pan usiądzie... Bez wątpienia do pracy; dużo tu przychodzi studentów...

Przynosi ciężki segregator. Ronan zaczyna przerzucać pożółkłe gazety, pachnące drukarską farbą i starym papierem. Jest niemal pewien, że jamboree odbywało się w Quimper podczas świąt Wielkanocnych... A więc, niech to diabli... Nareszcie. Koniec marca. Są liczne artykuły. Robi się wiele szumu wokół czegoś takiego, jak zlot katolickich skautów w Quimper. I nagle znajduje to, czego szuka. Quéré w grupie harcerzy. Od razu i bezbłędnie go rozpoznaje.

Ronan wyciąga z kieszeni nożyczki do paznokci. Urzędnik odwrócony jest od niego plecami. Bardzo szybko wycina zdjęcie i zamyka zszywkę. Nikt nie zauważy okaleczonej strony. Wkłada fotografię do portfela. Bał się, lecz trud został wynagrodzony. Teraz Quéré jest jego więźniem. Rozprostowuje nogi, odpręża się. Wspaniale! Plan okazał się sprytny, a realizacja przebiega zgodnie z przewidywaniami. Quéré stracił pracę. Stracił żonę, a jeszcze potem stracił życie. Oko za oko, stary! Szukałeś ze mną zwady i znalazłeś ją.

Ronan, gdyby chciał zadać sobie trud, mógłby ponownie przeczytać historię swej zbrodni. Wystarczy poprosić o gazety z drugiego kwartału tego samego roku. Zobaczyłby wyrysowaną kredą na chodniku sylwetkę Barbiera. Trochę później dostrzegłby zbombardowaną flesztami własną twarz. Tytuły: „Ronan de Guer przyznał się do winy.” „Czyn ekstremisty.” I po kilku dniach: „Narzeczona mordercy popełnia samobójstwo.” Ale ma to wszystko w głowie. Nie musi odwoływać się do gazet. Rozmyśla, z dłońmi płasko położonymi na stole. Zbliża się urzędnik.

– Czy pan już skończył?

Ronan zrywa się z miejsca.

– Tak... Tak... Oczywiście. Może pan odnieść.

Wychodzi z pokoju. Emocje sprawiają, iż czuje w brzuchu tępy ból. Może filiżanka kawy. Przechodzi przez ulicę. Zatacza się, niczym trafiony z bliska filmowy gangster. O dwa kroki znajduje się bistro.

– Kawę z ekspresu.

To zabronione. To niebezpieczne. Ale od tak dawna żyje pośród zakazów i niebezpieczeństw. Potrzebuje czegoś mocnego, by uwolnić się od wspomnień. Kawa jest wyborna. Przeszłość oddala się.

Boże – myśli Ronan – obdarz mnie spokojem.

Drogi przyjacielu

Szczerze dziękuję za dobre rady. Ma pan bez wątpienia rację. Wszystko, co mi się zdarza, szyte jest na moją miarę, a los wydobywa się ze mnie jak jedwabnik z pajęczej sieci. „Sam jestem przyczyną tego, co mnie przytłacza – powiada pan – lecz moja wolność pozostaje darem Boga”. Nie mam już, niestety, głowy do filozofowania. Póki co jestem chory. Przedziwnie rozdwojony. Jeden, który gnije w łóżku, który nie słucha, co się do niego mówi, który kaprysi przy jedzeniu, który nagle pada ofiarą panicznych lęków, i drugi, który unosi się w obłokach, który z lubością pogrąża się w komfortowej nirwanie. Który jest moim prawdziwym ja? Nie mam pojęcia. Lekarz wypowiedział owo nadzwyczajne zdanie: „Potrzeba mu odpoczynku”. Jak gdybym nie był ucieleśnieniem odpoczynku.

Lecz zostawiłem pana w połowie rozdziału. Proszę mi pozwolić ciągnąć opowieść o dziwnej postaci Jean-Marie Quéré. Odbywał właśnie kwarantannę, jeżeli dokładnie sobie przypominam. No więc kwarantanna skończyła się. Pewnego pięknego dnia ów chłopiec, który spadł z nieba, nazywający się Hervé, przyszedł z kwiatami, wspaniałym bukietem róż rozjaśniającym jadalnię, i natychmiast Helena odzyskała mowę.

– Zobacz, co nam przynosi pan Le Dunff.

Zwracała się do mnie po raz pierwszy od... od bardzo dawna. Byłem w piżamie. Doszedłem do drzwi pokoju, aby podziękować, a potem położyłem się z powrotem. Róże... Hervé... Wielka mi rzecz! Ale słyszałem ich głosy w sąsiednim pokoju. Mówili o mnie i to było zabawne, niczym w teatrze.

Helena

– Tak się zachowuje od ośmiu dni. Mówi się do niego, a on nie odpowiada. (Kłamstwo. To ona zaczęła).

Hervé

– Co o tym sądzi lekarz?

Helena

– Niewiele stwierdził. Uważa, że to rodzaj depresji. Ale, rozumie pan, nie można się z tego wyrwać. Czy depresja każe mu porzucać pracę, czy też praca go męczy i powoduje depresję? Tracę zmysły! Jaki on był dawniej?

Hervé

– Och! Był kimś bardzo wartościowym!

(Dziękuję, Hervé. Myślę, że nie było ze mną aż tak dobrze).

– Energiczny, ogromnie pracowity. Zawsze z książkami pod pachą. To prawda, że miewał zmienne nastroje. Zawsze zdolny do skrajności.

(Mało brakowało, a wstałbym, żeby mu nawymyślać. Do czego się wtrąca?)

Helena

– Co należy zrobić pańskim zdaniem?

Hervé

– Trzeba wyciągnąć go z tego marazmu. Trzeba koniecznie znaleźć mu jakieś zajęcie. Czy ma pani na niego wpływ?

Helena

– Myślę, że trochę tak.

Hervé

– A więc proszę go przekonać, by przyjął cokolwiek.

(Ho! Ho! Znalazł się apostoł! Dlaczego nie strażnik w parku, skoro już tak daleko zaszliśmy!)

– Najważniejsze, tak mi się przynajmniej wydaje, nie jestem lekarzem, by ode-rwał się od kłopotów. Potem poszukamy czegoś lepszego, do czego bardziej się nadaje. Ale przede wszystkim musi zacząć wychodzić, wrócić do starych przyzwyczajęń. W każdym razie nie zostawię pani samej w strapieniu.

Zawsze, do diabła, gotowy! Dobry harcerzyk! Jak niegdyś. Kilku zdań nie dosły-szałem, bo oboje przeszli do przedpokoju. Helena wróciła, pochyliła się nade mną i pocałowała.

– Nie gniewamy się już – powiedziała. – Hervé potrafi bardzo dobrze poradzić. Uważa, że powinienes przyjąć jakiegokolwiek zajęcie w oczekiwaniu na odpowiadającą ci pracę.

Nie odważyłem się odpowiedzieć: „I znów wypłoszy mnie kolejny anonimowy list”. Nie. Poczułem się ogromnie wzruszony jej odzyskaną łagodnością. Wykańczał mnie nasz spór. Wznowiliśmy zatem wspólne poszukiwania. Rubryka ogłoszeń. Biuro zatrudnienia. Zgłaszałem się regularnie, bo musimy być meldowani jak ci, którym cofnięto prawo pobytu. Kompletna cisza ze strony szkoły imienia Charlesa Péguy.

Kruk przestał dawać o sobie znać, gdy tylko dowiedział się – ale w jaki sposób? – że odchodzę.

Helena modli się. Pan się modli. Zobaczymy. Nie twierdzę, iż wraca nadzieja. Twierdzę jedynie, że mniej uciążliwe stało się oczekiwanie.

Do zobaczenia,
pański oddany przyjaciel
Jean-Marie

– Nie ma twojej matki?

– Nie. Poszła na pogrzeb. Mamy mnóstwo kuzynów. Wiesz, jak to bywa w dużych rodzinach.

– Jak się czujesz?

– Nie najlepiej. Przechodzę jakby nawrót choroby. Ledwie trzymam się na nogach, ale to minie.

Ronan prowadzi Hervégo do salonu.

– A co z tobą? Nie widuję cię od pewnego czasu.

Hervé kładzie na niskim stoliku paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Robota, stary. Chciałbym, by już tego lata działało moje biuro podróży. Rozumiesz więc, że muszę tęgo się uwijać. Wpadłem tylko na chwilę.

– Masz jednak wolną minutę! Wybacz, że nie mogę cię niczym poczęstować. To jest dom wód mineralnych. Ale jeśli chcesz sobie pociągnąć solidny łyk wody Evian... Nie? Naprawdę? Buchnę ci papierosa. Przewietrzę po twoim wyjściu. Możesz być pewien, że ona to wywacha. Powiem, że zapach pochodzi z ulicy. Jest podejrzliwa, ale niezbyt cwana. A więc, co się dzieje z małżeństwem Quéré? Ostatnio zatrudniono go w prywatnej szkole... Nie, poczekaj, chyba został odprawiony albo coś w tym rodzaju.

Hervé uśmiecha się rozbawiony.

– Jakbyś nie wiedział. Jakbyś nie deptał mu po piętach! Oczywiście, że go odprawiono. Powiedziałem ci o tym przez telefon.

– Niemożliwe! – wykrzykuje Ronan, ironicznie udając zaskoczenie.

– Albo raczej nie – prostuje Hervé – odszedł z własnej woli, jeżeli to można nazywać własną wolą. Pewnie sobie przypominasz, że masz w tym swój udział.

Ronan wykonuje uspokajający gest.

– Dobrze, dobrze. Niech będzie! Wiesz, chodziło jedynie o małą przestrożę. Dyrektor miał prawo do pełnej informacji. A jeżeli Quéré uważał za stosowne zwinienie zagli, jego sprawa. Tylko nie miej ataku wyrzutów sumienia. Już cię nie prosiłem, abyś służył mi za listonosza.

– Może bym odmówił – odzywa się Hervé.

– Tak właśnie myślałem. Dlatego wolałem wysłać listy stąd. Bezpośrednio od wytwórcy do konsumenta.

– Listy! – wykrzykuje Hervé. – Wysłałeś kilka?

– Dwa. Sam je nadałem.

– Aby mieć pewność, że ci się nie wymknie.

– Właśnie. Jak na polowaniu. Pif, paf. Ale cóż! Wciąż jest bezrobotny. Musi się z tym oswoić, no nie? Bezrobocie nie jest takie straszne. Choroba jak inne. Gdyby odsiedział dziesięć lat w mamrze, mógłby się skarżyć. Ostatecznie ja również jestem bezrobotny. Zabawne, co?

– To nie to samo – protestuje Hervé.

– Ach! Tak sądzisz? Czy zechciałbyś mi powiedzieć, gdzie mógłbym zgłosić się z moimi referencjami?

Ronan odwraca się w kierunku portretu ojca w obszytym galonem kaszkiecie, z orderami, dumną miną i salutuje.

– Wiadomo, że posiadacie majątek.

– Prawda – przyznaje Ronan – stary kretyń miał sporo forsy. A ponieważ prawdziwą miłością darzył Republikę, splekał się do nitki na lokacie kapitału. Lepiej zrobiłby utrzymując dziwkę.

– Po co się denerwować – szepce Hervé.

– Nie denerwuję się przecież. Uważam po prostu, że nie ma co tak żałować Quéré.

– Nie mówiłbyś tak, gdybyś go widział. Okropnie zmizerniał. Wiszą na nim ubrania. A nowa praca na pewno mu nie pomoże dojść do siebie.

Ronan chwyta za rękę Hervégo, tak jak zwykł to czynić w chwilach podniecenia.

– Jaka praca? Podaj mi szybko drugiego papierosa. Chyba mnie dziś wykończysz. Trzeba ci wrywać słowa z gardła. Jaka praca?

– To Helena, która...

– Teraz nazywasz ją Heleną! – przerywa Ronan.

– Tak jest prościej. Ponieważ w salonie fryzjerskim, gdzie pracuje, dużo się rozmawia, usłyszała, że pracownik zakładu pogrzebowego odchodzi na emeryturę.

– A cóż mnie to obchodzi!

– Ale to właśnie praca! Chodzi o posadę prowadzącego ceremonie żałobne.

– Co! Facet w czerni, który ustawia rodzinę... i który... Bujasz?

– Wcale nie. Quéreé zgodził się.

Szalony śmiech pochyla Ronana, który zaciśniętymi pięściami wali się po udach tak, że po chwili dyszy ze zmęczenia.

– Jakie to może być zabawne! Nabierasz mnie.

– Słowo honoru.

Ronan wyprostowuje się, grzbietem dłoni wyciera oczy i już normalnym głosem mówi:

– W gruncie rzeczy świetnie to do niego pasuje. Nie będzie taki wyobcowany. Widziałeś, jak mu idzie?

– Nie ma powodu do żartów – protestuje rozdrażniony Hervé. – Bardzo źle to znosi. Na początku kategorycznie odmówił. I słowo daję, że go rozumiem.

Ronan przybiera zgorzszą minę.

– Nie ma głupich zawodów – wygłasza z przekonaniem. – Nagle zrobił się z ciebie snob. Ja wpadłbym w zachwyt, gdyby za proponowano mi posadę w zakładzie pogrzebowym.

Nowy atak śmiechu wstrząsa jego ramionami.

– To nie moja wina – podejmuje. – Komiczna historia, moim zdaniem. Już widzę głębokie ukłony, ugrzecznione gesty. Tędy, proszę szanownej pani, szanownego pana... Zechę państwo pójść ze mną...

Będzie facet w swoim żywiole.

– Jesteś więc bez serca? – odzywa się Hervé.

Twarz Ronana nieruchomieje.

– Nie używaj tego słowa – mruczy pod nosem. – Nie wiesz, o czym mówisz.

Wstaje, obchodzi salon, jak starający się zapomnieć o bólu chory w poczekalni dentystycznej, po czym znów siada.

– W porządku – rzuca. – Opowiadaj. Słucham.

– Nie mam niczego do opowiadania. Sądzę, że on nie wytrzyma, to wszystko.

– Ale przecież chyba nie jest sztuką pochylanie się nad trupem i wykonywanie uniżonych ukłonów.

– Pomyśl o upokorzeniu.

– Zapominasz, że od upokorzenia ja jestem specjalistą! Można się przyzwyczaić.

Gdzie on działa? Chcę powiedzieć, jakie przedsiębiorstwo go zatrudnia? W Paryżu istnieje kilka zakładów pogrzebowych.

– Nie licz na mnie, jeśli chodzi o informację. Ronan z komiczną miną unosi brwi.

– Zapewniam cię, że nie żywię żadnych złych zamiarów.

– Słuchaj stary – odpowiada Hervé – mam dosyć kłamstwa.

Państwo Quéré ufają mi, a ja ci pomagam w niszczeniu ich. Quéré jest być może łajdakiem, ale, jeśli o mnie chodzi, uważam, że wystarczy.

Założmy, że znów powiem ci, dla kogo pracuje. Za osiem dni będzie zadenuncjowany i wyleją go. Nie. Skończyłem z tym. Ciągnij dalej sam.

Ronan wznosi ręce ku niebu.

– Tym razem mogę ci przysiąc, że się mylisz, i to haniebnie. I od razu ci udowodnię. Zatrudnij Quéré. Znajdź mu coś. Nie jest to pewnie trudne dla takiego paniska jak ty, który rządzi tyloma przedsiębiorstwami.

– Wyobraź sobie, że o tym myślałem – oschle odpowiada Hervé.

– A czy pomyślałeś, że gdyby dla ciebie pracował, nie byłoby już anonimowych listów?

– Jak to?

– Podobnie jak ja znasz jego życie od A do Z. I coś skandalicznego mógłbym tobie, pryncypałowi, wówczas powiedzieć? Mam rację?

– Prawda – przyznaje Hervé. Ronan nalega.

– Weź go do siebie i od razu zamykasz mi buzię.

– Co się za tym kryje? – pyta podejrzliwie Hervé. Ronan uśmiecha się najładniej, jak tylko potrafi.

– Tak – mówi – przyznaję. Kiedy myślę o Quéré, czuję wielki żal w sercu. Ale nie chcę mścić się w nieskończoność. Dwukrotnie utarłem mu nosa, masz rację. Wystarczy. I skoro radzę ci go zatrudnić, to właśnie dlatego, by raz jeszcze nie ulec pokusie. Widzisz, gram w otwarte karty. Moja propozycja nie zawiera żadnych podtekstów.

– Nie pisałyś już więcej?

– Oczywiście, że nie. Po cóż miałbym ci opowiadać to, o czym wiesz?

Hervé rozmyśla chwilę.

– Wygląda bez zarzutu. Tak. To dobre rozwiązanie.

– Najlepsze – dorzuca energicznie Ronan. – Co mógłbyś mu zaferować? – W każdym razie coś niezbyt męczącego. Czy twoim zdaniem chciałby się tutaj sprowadzić? Oczywiście z żoną.

– Nie – odpowiada kategorycznie Hervé. – Nigdy nie zgodziłby się na powrót. Z pewnością go rozumiesz.

– Przykre – rzuca Ronan.

– Czy aby nie masz zamiaru go znów zobaczyć, co?

– Ho! ho! Kto wie!... No! Żartuję! Nie rób takiej miny. A więc sprawa załatwiona. Zatrudniasz go. Lecz nie od razu. Niech jeszcze trochę potapla się w błocie. Żeby mi zrobić przyjemność. Za jakiś czas weźmiesz go na swój pokład i historia zakończona. Helenie objawiasz się jako zbawiciel. I padnie w twoje ramiona.

– Ach! Na tym polega twój plan! – unosi się gniewem Hervé. – Zawsze uważasz się za mocniejszego od wszystkich. Tym razem jednak jesteś w grubym błędzie.

– Zgoda – mówi pojednawczym tonem Ronan. – Wiadomo, że prowadzisz życie mnicha. Czekaj, przychodzi mi do głowy pomysł. Pozwolisz?

Chodzi po pokoju przygryzając wargi. Hervé zbliża się do okna, rozsuwa zasłony. Z przyjemnością patrzy na swoje porsche, zaparkowane przy chodniku. On również zastanawia się. Propozycja Ronana nie jest głupia.

– Już mam – odzywa się stojący za nim Ronan. – Sądzę, że jest to do zrobienia.

Hervé wraca na swój fotel. Ronan wciąż stoi za nim, opierając się na oparciu fotela. Jego twarz jest napięta.

– Quéré jest obkutym facetem – podejmuje – dlaczego nie mógłbyś mu zaproponować pracy przewodnika. Czekaj! Nie zaczynaj dyskutować. Właśnie stawiasz na nogi cały interes z organizacją wycieczek. Na pewno niektóre będą do Bretanii... Przejazdki po plażach, zwiedzanie kalwarii... coś w tym rodzaju? Tak czy nie?

– Tak, oczywiście.

– Nie zapominaj, że Quéré sporo wie o Bretanii. Przypomnij sobie jego lekcje. Nie znajdziesz lepszego przewodnika.

– A jeżeli odmówi?

– Przynudzasz z tym szukaniem dziury w całym! Czy wyobrażasz sobie, że zawała się eskortując codziennie tabuny wdowców czy wdów? Z radością wszystko rzuci

dla pracy u ciebie. To oczywiste. Jasne jak słońce. I widzę jeszcze inny pożytek. Wycieczki będą wyruszać z Paryża?

– Tak. Niektóre potrwają jedynie dzień, inne zajmą być może cały weekend. Ale dlaczego pytasz?

– Ponieważ Quéré nie pogniewa się zmieniając otoczenie, na kilka godzin zapominając o tym, co przecierpiał w Paryżu. Jak widzisz, jestem wspaniałomyślny. Od czasu do czasu jego żona zostanie sama.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przepraszam. Źle się wyraziłem. Chcę powiedzieć, że krótkie rozstania obojgu dobrze zrobią... Obiecujesz mi, że dasz Quéré posadę przewodnika?

– Przewodnika... albo jakąś inną.

– Nie. Przewodnika: Musimy mieć gest. W przeciwnym razie znów chwytam za pióro. Zakłady pogrzebowe nie są znów tak liczne. Szybko znajdę właściwy i wykończę starą kanałię. A więc zgoda?

– Postaram się.

Hervé wstaje, rzuca okiem na zegarek.

– Uciekam. Miałem spotkanie o trzeciej. Do zobaczenia, stary.

Szybko idzie w kierunku przedpokoju. Ronan, z rękami w kieszeniach, odprowadza go wzrokiem.

– Dopełnia się Przeznaczenie – mówi.

Drogi przyjacielu!

Nie odpowiedziałem na pańskie listy. Proszę mi wybaczyć. Minęło okropnych piętnaście dni i jestem w tak pożałowania godnym stanie, że mam trudności z pisaniem, tak bardzo momentami drży mi ręka. Tym razem naprawdę ogarnęła mnie depresja. Powiedziano mi, że jest to choroba bezrobotnych, podobnie jak istnieje choroba górską albo lęk wysokości. No więc tak! Tego właśnie zaznałem. Istnieje choroba bezrobocia. Dręczy człowieka nie tylko w trakcie szukania pracy, ale trzyma w szponach nawet po znalezieniu posady, bowiem jeżeli nie jesteśmy urzędnikami państwowymi, aż do szpiku kości czujemy, że to nie potrwa długo – jakbyśmy szli podczas burzy pełnej błyskawic w trwożnym oczekiwaniu na uderzenie pioruna.

A ja w dodatku jestem człowiekiem prześladowanym. Są chwile, kiedy wolałbym nie żyć. Rozumiem, że można popełnić samobójstwo nie w przystępie szału, lecz po prostu dlatego, że już nas nie ma, jakby ktoś niewyplacalny wyjechał nie zostawiając adresu. Jest zdanie, które bardzo mnie poruszyło. Píše pan w ostatnim liście: „Bóg zabiera wszystko tym, których obdarza miłością”. Ręce mam puste, serce puste i pustą głowę. Czy wystarczająco jestem ogołcony, by przyciągnąć spojrzenie Boga?! A przecież dobrze wiem, iż nie spoczywa na mnie żadne spojrzenie. A więc, co jeszcze miałbym stracić? Niestety, nie jestem ani Hiobem, ani Jeremiaszem, ale nieszczęsnym facetem żyjącym teraz, który haruje, jak może i kiedy może, wegetuje na zasiłku, jestem mniej niż nikim. I gdy mówię „harówka”!... Ale opowiem panu, co mi zrobili. Chodzi o Helenę i Hervé.

Helena ze wszystkich sił nakłaniała mnie do przyjęcia posady w zakładzie pogrzebowym. Dowiedziała się od przyjaciółki, że miejsce będzie wolne, a ponieważ lekarz powiedział Helenie, iż moją jedyną szansą wyzdrowienia stanowi jakieś absorbujące zajęcie, ona, skądinąd taka dumna, dręczyła mnie niestrudzenie. „Zgódź się, potem znajdziesz coś lepszego... Będziesz miał towarzystwo”. Czasem tak się odezwie, że człowiek chciałby gryźć. „Koniec z tym roztrząsaniem ponurych myśli”. A wtórował jej Hervé. Przychodził do nas. Bardzo jest uprzejmy i wykazuje duże mną zainteresowanie. I natychmiast przejął pałeczkę od Heleny.

– Niech pan się zgodzi. Dobrze, nie jest to odpowiednia dla pana praca. Ale niezła na przeczekanie.

W końcu przekonała mnie jego natarczywość. Wziąłem go na stronę i powiedziałem:

– Zna pan moją sytuację. Z ręką na sercu, uważa pan, że...

Rozproszył moje wątpliwości.

– Ma pan skrupuły jak człowiek z innej epoki – odparł.

Krótko mówiąc, zdobyłem się na śmiały krok, by zobaczyć, jak to jest, a przede wszystkim uniknąć utyskiwań Heleny. Już w pierwszej chwili zrozumiałem, że nie wytrzymam. I nie chodzi mi o odrażający, pogrzebowy interes, trumnę przypominającą seryjny samochód, który po ulepszeniach można przekształcić w luksusową limuzynę.

Za wszystko trzeba płacić, jest pan tego świadom, nawet za kopeć świec. Nie wspominam już o podejrzanym porozumieniu między nadzorcą pogrzebowym a karawaniarzami, dzielonych napiwkach, monsturalnej obojętności w zetknięciu z bezmiarem najbardziej rozdzierających tragedii. Bowiem jest to prawdziwa taśma produkcyjna.

Metodycznie przechodzi się od jednego do drugiego nieboszczyka i nie ma czasu do stracenia. I nie należy przejmować się łzami!...

Najgorszy jest być może zapach, już ten niezdrowy, wydzielany przez kwiaty, a potem jeszcze inny. Ten sam zaduch w każdym domu... Taki, że trudno się przyzwyczaić. Ale nade wszystko nie mogę pogodzić się z faktem, że zostałem prawdziwym fagasem. Fagasem urzędowym, pedantycznym, w czarnych rękawiczkach i czarnym krawacie, z giętkim karkiem, ponurą głową – rodzajem żałobnego nauczyciela baletu, który prowadzi wokół trumny tańczących kadryla. Nie. Nie ja. Chciałbym ująć dłonie kobiet, wyrazić im współczucie, z prawdziwym miłosierdziem ucisnąć ręce mężczyzn, a nie zachowywać się jak sługa z dobrymi manierami, ściśle według ustalonej taryfy.

Może pan sobie wyobrazić moją egzystencję? Przechodzę od kościoła do cmentarza, z cmentarza do nowego domu żałoby, i stamtąd do kościoła, i tak bez końca, aż do otepienia. Śmiertelnie zmordowany przymykam wieczorem oczy, a wciąż jawią mi się świece i krzyże. Jakbym słyszał wciąż De Profundis i dreptanie żałobnych orszaków na kościelnym dziedzińcu. Okropny mam do Heleny żal. To ona wpakowała mnie w tę straszną historię. Dochodzi między nami do niezmiernie ostrej wymiany zdań. Ach! Jakże mi żal jałowych, długich, lecz spokojnych dni, które spędzałem na wypełnionych narzekaniem włóczęgach. Zasługiwałem na względy, bowiem nie należało obchodzić się brutalnie z człowiekiem w pewnym sensie chorym. Helena zwracała się do mnie łagodnie. A teraz... Kiedy jej powiedziałem, że praca przerasta moje siły, omal mnie nie spoliczkowała.

– A do czego się nadajesz?! – krzyknęła gniewnie. – Myślisz, że moja praca jest taka przyjemna? Są dni, kiedy nie mogę poruszać ręką!

Istotnie, zawód fryzjerki wymaga stałego ruchu ręką w przegubie, co często powoduje zapalenie ścięgna. Daremnie próbowałem wyjaśnić jej moje trudności. Wszystko na nic. Dialog głuchych.

– Przyszedł nowy anonim.

– Nie.

– Nikt się na ciebie nie skarżył?

– Nie.

– A więc sam zdecydowałaś, ot tak sobie, że doświadczenie wystarczająco długo trwało. Zabierasz manatki i ulatniasz się. Masz szczęście, że przełożeni nie ścigają cię sądownie.

Kłótnia, drogi przyjacielu, już wisi w powietrzu. Wpadam w rozpacz widząc, jak nieszczęsna Helena, taka wierząca, taka przejęta obowiązkiem, nie może teraz uwolnić się od dręczącego ją uczucia zacieklej niechęci. Zagrożone są korzenie jej miłości, bo właśnie traci żywiony dla mnie niegdyś szacunek.

– W sumie – dochodzi do wniosku – zostałeś zawodowym bezrobotnym.

Poszedłem do Beaubourg, zabrałem do podręcznika medycyny, by uspokoić sumienie. Do licha! Wszystko tam było, czarno na białym:

„Stanem depresji dotknięci są często ludzie charakteryzujący się słabą, narcystyczną osobowością. Jest ona następstwem przeżytych wydarzeń. Przyczyną może być strata, z którą nie można się pogodzić; dewaloryzacja sytuacji rodzinnej, itd”. Słaby narcystycznie! Nie bardzo rozumiem, co to znaczy. Może za bardzo jestem zajęty samym sobą. Ale ciągnę dalej.

„Kobieta częściej pada ofiarą owego kryzysu dewaloryzacji... itd. U mężczyzny funkcję tę spełniają raczej niepowodzenia w działalności zawodowej, na przykład kłopoty z przekwalifikowaniem”.

Oto, drogi przyjacielu, po czym można poznać depresję neurotyczną. Czy pan uwierzy, że owa lektura przyniosła mi ulgę? Mój brak apetytu, koszmary, nachodząca mnie niekiedy ochota, by wszystko zostawić i wiać dokądkolwiek, to nie moja wola. Tak mocno dręczące mnie poczucie winy – od tyłu miesięcy, wie pan dlaczego – spowodowane jest być może jedynie zaburzeniem działania kilku komórek nerwowych gdzieś w zakamarkach mózgu. Ach! Gdybym jeszcze potrafił zabrać się poważnie za mechanikę! Lecz jak o tym przekonać Helenę. Powie, zresztą już mi powiedziała: „Nigdy nie chcesz zachowywać się w sposób odpowiedzialny”. Jak to dobrze być czasem obłąkanym! Proszę pana o wybaczenie. Czuję, iż na ciężką próbę wystawiam pańską życzliwość, i – co jeszcze bardziej nieznośne – w kółko to samo powtarzam. Ale tak jak kiedyś zbiorowy upust krwi stanowił uniwersalny środek, tak samo teraz ja dla uspokojenia duszy upuszczam przed panem mą krew w owym słowotoku.

Dziękuję panu, wkrótce być może odezwę się znów

Jean-Marie

* * *

Drogi przyjacielu!

Uważałem się za zagubionego, a może właśnie teraz nadchodzi dla mnie ratunek. Dzięki młodemu Le Dunff. Chłopiec ów, którego energia wprawia mnie w zdumienie, niebawem otworzy wielkie biuro podróży. W programie figuruje kilka krótkich turystycznych wypadów do Bretanii, rzecz jasna również o charakterze kulturalnym. Podać panu trasę jednej z wycieczek: Paryż – Saint-Malo – Pontorson – Mont-Saint-Malo i powrót przez Fougères – Alençon. Albo inna: Paryż – Saint-Brieuc – Perros – Guirec – Brest... Są również objazdy po całej Bretanii. I wszystko jest gotowe. Restauracje, hotele, szczegółowy program i spis zabytków. Pozostaje wyruszyć. Data pierwszego wyjazdu: 25 czerwca. To znaczy za dziesięć dni.

A Hervé proponuje mi, bym został przewodnikiem pierwszej grupy, tej na trasie Paryż – Saint-Malo. Czas trwania: dwa i pół dnia. Bardzo krótki, zważywszy na to, jak wiele jest do zobaczenia. Powrót w niedzielę wieczorem około dwudziestej drugiej. Wahałem się. Lecz Hervé należy do ludzi, którzy wiedzą, czego chcą. Zgrabnie roztoczył przede mną wszystkie korzyści, wynikające z owej propozycji.

Stała, przyjemna i niezbyt męcząca praca. Zupełnie przyzwoite wynagrodzenie. Jako że ma w sobie coś makiawelicznego, nie omieszkął dodać:

– Będzie pan mógł wznović badania nad bretońskimi obrzędami. Przypomina pan sobie? Robił nam pan niegdyś na ten temat wykłady. Było to pasjonujące!

Tak, przypominam sobie. Ileż zmartwień od tamtych czasów!... Tak więc miałbym okazję kontynuować badania, na których bardzo mi zależało, ale których zaniechałem w chwili kryzysu. Nagła, gwałtowna, odurzająca jak opary alkoholu nadzieja przeprowadzenia badań przechyliła szalę. Zgodziłem się.

– Będzie pan miał bardzo doświadczonego kierowcę – zaznaczył Hervé. – Nazywa się Germain Berlan. Jest wyjątkowo zaradny i bierze na siebie wszystkie praktyczne problemy. Pan zajmie się jedynie własnymi sprawami. Później, jeżeli praca się panu spodoba, będę mógł pana częściej zatrudniać. Lecz zacznijmy od małej trasy. – Roześmiał się. – A w razie gdybym otrzymał anonimy, nie ma pan się czego obawiać.

– Dlaczego robi pan dla mnie to wszystko? – zapytałem.

Szepnął mi na ucho:

– Ponieważ uważam, że pański czyściec za życia wystarczająco długo trwał.

Mrugnął do mnie i ze wzruszeniem ujrzałem twarz wielkiego dzieciaka. Chciałem go zatrzymać, by sam obwieścił Helenie dobrą wiadomość, ale bardzo się spieszył. Zniknął za kierownicą szybkiego samochodu, zostawiając mnie, jeszcze oszołomionego, na brzegu chodnika. Bowiem nie mogłem dojść do siebie, zapewniam pana. Wystarczy teraz najmniejsze wzruszenie, a już serce odmawia mi posłuszeństwa.

Helena wydała się niezmiernie uradowana moją decyzją. Oczywiście samotny weekend nie wzbudza w niej entuzjazmu. Ale z drugiej strony będzie mogła całkowicie wypocząć, a potrzebuje tego; nasze sprzeczki męczą ją podobnie jak mnie.

Co zabiorę? Wystarczy mała walizka. Szczegółowo przeglądamy lekki bagaż, który pojedzie ze mną: ubrania, lekarstwa, itd. Znowu czujemy się złączeni. Jakby mały kwiatek szczęścia zakwitł pod koniec zimy na skraju fosy.

I już Helena zasypuje mnie radami, ale nie jestem tym zdenerwowany, a nawet przyjmuję je z radością. Tak, będę pamiętał o zażywaniu kropli. Tak, zabiorę pastylki przeciw chrypcie, bo gardło łatwo się męczy, kiedy mówimy długo przekrzykując hałas. Tak, na wszystko tak. Słowem, tak dla życia! Ach! I muszę pamiętać o zabraniu ciepłych, wełnianych rzeczy! W Saint-Malo wieje chłodny wiatr. Nie zapomnieć również o nieprzemakalnym płaszczu.

– Od czasu do czasu – powiedziałem Helenie – być może mogłabyś mi towarzyszyć. Kiedy będzie wolne miejsce.

– Co można by ofiarować twojemu przyjacielowi Hervému? – zastanawiała się Helena. – Trzeba mu podziękować.

Taka już jest. Żadnych długów. Musi się zgadzać po stronie winien i ma. Tak, podziękujemy mu. A przede wszystkim największą przyjemność zrobię mu starannie przygotowując notatki, które wykorzystam podczas wycieczki. Bez zbędnej erudycji. Jak również przynudzających banałów. Należy nad tym popracować.

– Pomyślałeś o formalnościach? – zapytała Helena.

Może pan nie wie, ale tyleż samo jest papierzysków do wypełnienia przy załatwianiu nowej pracy, ile po utracie poprzedniej. Zgoda, jutro poczynię niezbędne kroki. Dzisiaj opanowało mnie gorączkowe podniecenie i nie mogę się skoncentrować. A

skoro obiecałem niczego przed panem nie ukrywać, nie mogłem czekać aż do wieczora. W końcu Helena jest moją żoną.

Do zobaczenia, drogi przyjacielu.

Moc serdeczności

Jean-Marie

- Głośniej – mówi Ronan. – Nie słyszę cię. Halo?
- Teraz lepiej mnie słyszysz?
- Tak... Skąd dzwonicz?
- Z Paryża.
- Więc?
- Zrobione. Poszedł na to. W końcu dam go na trasę Paryż – Saint-Malo i zobaczę, jak mu idzie.
- Kiedy zaczyna?
- W następny weekend.
- Żona się zgadza?
- A co myślisz! Jest zachwycona. Martwi ją tylko, że przez dwa dni będzie sama.
- Czy to aby nie trochę za mało, Paryż – Saint-Malo w tak krótkim czasie? Twoi klienci nie będą mieli czasu się wysuszać.
- Pomyślę. Okaże się w praktyce. Ale wracając do Quéré, daj już spokój.
- Dobrze, proszę pana.
- Chcę, by się to skończyło.
- Dobrze, proszę pana.
- Wystarczy! Przestań udawać idiotę. A co z tobą?
- Całkiem w porządku. Leczący mnie stary osioł twierdzi, że wyzdrowiałem. Mogę wrócić do normalnego życia.
- Co na to matka?
- Jest zupełnie roztrzęsiona. Musiałem jej przysiąc, że będę przestrzegał diety. Mogę przysięgać wszystko, byle dano mi spokój. Zobaczę cię w najbliższym czasie?
- Wpadnę w przyszłym tygodniu.

– Okay. Ciao! Nie ośmielam się już mówić: kenavo. Znów by mnie wsadzili do mamra.

Ronan odkłada słuchawkę i wraca do swego pokoju. Ma trzy dni do dyspozycji. Nadany w czwartek list polecony dojdzie w sobotę. Doskonale!

Zamyka drzwi, gdyż chce być sam. Przez chwilę waży wszystkie za i przeciw. W gruncie rzeczy nic nie stoi na przeszkodzie, aby pojechał do Paryża i między dwoma pociągami porozmawiał z Heleną, sam opowiedział jej całą prawdę. Ale lepiej można wyrazić swe myśli w liście. Poza tym Ronan nie ma nic przeciwko tej kobiecie. Poprzez nią celuje w Quéré. Trzeba mocno uderzyć, ale nie jest bynajmniej konieczne, aby został podglądaczem. Zatem list! I to natychmiast. Musi mieć czas na wyszlifowanie go tak, by stał się ostrym niczym żyletka.

Ronan kładzie na biurku papier listowy, pióro i na dobry początek kreśli adres:

Pani

Helena Quéré

23 bis, rue de Verneuil

75007 Paryż

Dla większej pewności pisze w lewym rogu: *Do rąk własnych*. To zbyteczne, ale brzmi jak ostrzeżenie. Zaczyna:

Szanowna Pani!

Nim zacznie Pani czytać mój list, radzę przyjrzeć się uważnie dołączonej fotografii. Jest to zdjęcie z gazety, niezbyt wyraźne. Jednakże na pierwszy rzut oka rozpozna Pani stojącego w środku grupy mężczyznę. Niech Pani patrzy. Powoli, bez pośpiechu. To Pani mąż. Teraz proszę spojrzeć jeszcze uważniej. Co Pani widzi w butonierce marynarki? Nie jest to zwyczajna odznaka, a mały srebrny krzyż. Krzyż noszony przez kapłanów, którzy jeszcze nie cisnęli w diabły sutanny. Mąż, droga Pani, był w owym czasie, to znaczy przed dziesięcioma laty, kapłanem. Zresztą, niestusznie mówię w czasie przeszłym. Pani mąż jest „zawsze” kapłanem. Dla Pani, żarliwej katoliczki, i mnie, niegodnego chrześcijanina, nie ma najmniejszej wątpliwości: Jean-Marie Quéré jest kapłanem na całą wieczność.

Ronan odczytuje list. Zaczyna się niezłe. Kiedy Helena dotrze do tego fragmentu, będzie zraniona do żywego. Słysząc z dołu dzwonek na obiad.

– Idę – krzyczy Ronan.

Niczym pilny uczeń starannie układa pod leżącymi na biurku papierami list i kopertę, poprawia włosy i schodzi.

– Masz dziś zadowoloną minę – zauważa pani de Guer. – Słyszałam, jak przed chwilą rozmawiałeś przez telefon.

Milczenie.

– Nie pytam cię, kto dzwonił – podejmuje.

– Hervé.

Ona zaciska wargi i siada naprzeciw syna.

– Wciąż to ziemniaczane paskudztwo – odzywa się Ronan – czy nie można by dostać kiełbasy, pasztetu, w końcu czegoś treściwego?!

Ogarnięta lękiem pani de Guer mierzy go surowym spojrzeniem.

– Przysięgałeś, że będziesz rozsądny.

– Zgoda. Ale przypuśćmy, że wybiorę się w małą podróż, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

– Dlaczego? Nie jest ci tu dobrze?

– Przypuśćmy! Na przykład jadę wycieczkowym autobusem i przechadzam się nad brzegiem morza, gdzieś w okolicach Perros albo Oinard... Jestem zmuszony wybrać się na obiad i kolację do restauracji. Będę musiał jeść to, co figuruje w jadłospisie: ostrygi, może wieprzowe kiełbaski, może langustę.

Pani de Guer podnosi serwetkę do ust. Przymyka oczy.

– Kiedyś mnie wykończysz – wzdycha.

– Przecież żartuję – mówi Ronan. – Lecz to prawda. Mam ogromną ochotę zacząć trochę wychodzić, poprzebywać z ludźmi. Sympatyczne znajomości zawiera się podczas zorganizowanych podróży.

– Zwariowałeś!

– Oczywiście. Nie przestajesz mi tego powtarzać. To musi być prawda.

Znów zapada milczenie. Ronan chce szybko wstać od stołu. Na górze czeka na niego pilna praca. Błyskawicznie zjada rybę, wpycha w siebie marchewkę.

– Nie jedz tak szybko – protestuje pani de Guer. – Zrobisz sobie krzywdę.

A może lubi robić sobie krzywdę? Cóż ona może wiedzieć? Cóż on sam może wiedzieć? Odsuwa jogurt.

- Skończyłem – mówi – zapalę w pokoju papierosa. Jednego. Obiecuję. Wchodzi po schodach po kilka stopni i wraca do pisania listu.

Jean-Marie Quéré jest kapłanem na całą wieczność.

Kontynuuje:

Posłubiła Pani człowieka, który wyparł się wszelkich zobowiązań. Bez przerwy okłamywał Panią, wszystkich okłamywał. Zdolny jest do największych podłości. I zaraz to Pani udowodnię. Kiedy go poznałem, był szkolnym katechetą, bardzo przez nas podziwianym; proszę o to zapytać mojego kolegę, Hervégo Le Dunff. Ja, proszę mi wybaczyć, iż mówię o sobie, trzymałem się trochę z dala. Wraz z kilkoma innymi byłem za wolną Bretanią. Krótko mówiąc, pewnego dnia uznałem za swój obowiązek zabić policjanta, który zachowywał się jak esesman. Byłem żołnierzem – prawdziwym żołnierzem. Nikt tego nie rozumiał. Sądziłem, że właśnie Pani mąż zrozumie.

Należałoby zlikwidować to powtórzenie – myśli Ronan – ale jak to zrobić.

Poszedłem zatem wypowiadać się przed nim. Wyznałem, iż wykonałem egzekucję na Barbierze i prosiłem o wybaczenie. Takie było moje prawo. Odmówił mi rozgrzeszenia.

Ronan przerywa pisanie, jego policzki płoną. Raz jeszcze widzi ową scenę, swoją twarz przylepioną do kraty konfesjonału i w przesiąkniętym zapachem pasty półmroku widzianą z profilu twarz kapłana.

- Wybacza się bojownikom – mówił – tak należy czynić.
- A ja proszę cię, byś zamilkł. Znieważasz Pana Boga. Wyszedł wściekły z wąskiej kabiny. Pogroził pięścią w stronę konfesjonału. Tego jednak nie może napisać. Ujmuje pióro i ciągnie dalej:

Przedtem nie traktował mnie poważnie. „Ach te twoje nadęte miny” – śmiał się. No i zobaczył!... I doniósł na mnie. Przez niego zostałem aresztowany. A po kilku dniach

zrzucił sutannę. Powiedział mi o tym przyjaciel, Hervé. Ów smętny pan, który już przestał wierzyć, kiedy się przednim spowiadałem, miał czelność odmówić mi rozgrzeszenia. Jakże to mogło mieć dla niego znaczenie? Ale, widzi Pani, gdy ksiądz porzuca kapłański stan, gdy zaczyna zdradzać, już nic nie może go powstrzymać. I proszę mi nie mówić, dla usprawiedliwienia męża, iż nie dokonałem aktu skrucy albo innych podobnych głupstw. Byłem zupełnie szczery. Z pełnym zaufaniem. Pogodziłbym się z losem, jeśli zdradziłby mnie ktoś inny. Lecz nie on! Przede wszystkim nie on! W imię jakiej moralności tak postąpił, wyrzucając za burtę swój honor?

Ronan nie jest zadowolony.

Będzie trzeba to wszystko zagęścić – mówi do siebie. – Fakty! Jedynie fakty! Nie mogę mazgać się przed tą kobieciną. A poza tym doskonale wiem, dlaczego mnie zadenuncjował. By mieć czyste sumienie. By móc powiedzieć: „Zrywam z kapłańskim powołaniem. Takie moje prawo. Lecz pozostaję uczciwym obywatelem. Zbrodnię należy ukarać”.

Wstaje, szuka pistoletu, kładzie go przed sobą. Gładzi koniuszkami palców. Ostatni wierny kompan! Już teraz list wydaje mu się zbyt długi. A przecież do przekazania zostaje najtrudniejsze.

Zostałem zatem aresztowany – pisze. – A moja narzeczona popełniła samobójstwo.

Nie potrafi ciągnąć dalej. Ręka kreśli coraz mniej czytelne znaki. Odsuwa list, chodzi po pokoju, by ochłonać. Rozciera palce, prostuje je i zgina, potem znowu siada, ale teraz każde słowo jest dla niego torturą. Przekreśla ostatnie zdanie i starannie podejmuje wywód:

Moja narzeczona popełniła samobójstwo. Była w ciąży. Nie mogła znieść myśli, iż zostanie żoną skazańca.

Tak to wyglądało, Katarzyno, nieprawdaż? – rozmyśla. – Nie myłę się? Nie chciałaś walczyć. Byłaś tylko małą dziewczynką.

Z całych sił przyciska kciuki do oczu, ale łzy nie chcą przestać płynąć. Czuje ich pieczenie na policzkach.

Trudno – wzdycha – tak to pójdzie. Całkiem surowe. Może i źle napisane, lecz

wszystko jedno. Opowiedziałem o najważniejszym. Jeszcze zdanie na zakończenie.

Będzie Pani cierpiała przy czytaniu mojego listu, ale proszę wierzyć, że ja cierpię jeszcze bardziej. Z jego winy!

Podpisuje. Za trzy dni wyśle list. Przekonamy się, czy w żyłach tej Heleny płynie gorąca krew. Nagle czuje się wykończony, u kresu sił. Starannie zakleja kopertę; pa-trzy, jak leży obok pistoletu, po czym wkłada ją do szuflady. Oczywiście mógł wszyst-ko lepiej wyjaśnić, mianowicie podkreślić, iż to on był autorem anonimowych listów. Poza tym suchy fragment na temat Katarzyny, trochę za krótki, a przede wszystkim za mało dokładny. Katarzyna na pewno nie zabiła się z tchórzostwa, stawiała czoła rodzi-nie, kiedy odkryto ich związek. A on toczył walkę z Admiralem. Ona też nie przepuści-ła żadnej okazji, by sprowokować swego ojca. Moja Katarzyna. Jak się zdaje, byliśmy dziećmi 68 roku. Banda hipokrytów!

Ronan wraca do pokoju i pada na łóżko. Nawet po wypiciu butelki alkoholu nie byłby bardziej wykończony. Natychmiast zasypia.

O czwartej stara służąca z tacą w rękach zatrzymuje się przed drzwiami jego poko-ju. Nasłuchuje.

– Co się dzieje? – woła z dołu schodów pani de Guer. – Proszę wejść! Na co pani czeka?

- Tylko że, proszę pani – słysząc w odpowiedzi szept – pan...
- Co z panem?
- Chrapie.

Quéré ostrożnie otwiera drzwi.

– Nie bój się – mówi cicho. – To ja. Autobus miał spóźnienie. Jestem zmordowa-ny. Ale podróż udała się znakomicie.

Idzie po ciemku, potyka się o krzesło.

– Cholera! – woła. – Och! Przepraszam.

Helena nienawidzi przekleństw. Quéré siada, zdejmuje buty, porusza palcami nóg.

– Wciąż na nogach – komentuje ściszym, drżącym z pod niecenia głosem – można być wykończonym.

Nastawia uszu. Ona głęboko śpi. Mogła jednak na niego poczekać. Pierwsza wycieczka! Ma tyle rzeczy do opowiedzenia. Nie mówiąc o prezencie w walizce. Mała pamiątka z Dinard. Drobiazg. By podkreślić ważność tego dnia. Ręce zaczynają badanie. Pokój, tak dobrze znany, spowija teraz wrogość. Co robią na stole te filizanki? Spostrzega ekspres do kawy. Ekspres o tej porze? Trudno. Musi zapalić światło.

Po omacku przechodzi przez salonik, przesuwa dłońią po ścianie, aż znajduje kontakt i robi się jasno. Nie sprzątnięto ze stołu. Ogarnięty nagłym niepokojem wchodzi do pokoju. Żywej duszy. Łóżko w nieładzie, jak gdyby Helena nie miała czasu go pościelić.

– Heleno!... Heleno!...

Rozgląda się po mieszkaniu. Nigdzie jej nie ma. Co się wydarzyło? Staje na środku saloniku i wtedy jego wzrok pada na leżący na stole list, a raczej dwa listy. Zbliża się. Nie. Jest jeden list i, obok, wyrwana z bloku, zwykła kartka. Czyta.

Opuszczam dom. Zapoznaj się z listem, który właśnie otrzymałam. Popatrz na fotografię. Zrozumiesz. Jestem okropnie nieszczęśliwa. Nie próbuj zmienić mojej decyzji. Nigdy cię już nie zobaczę. Chciałabym być wdową.

Helena

Od razu wielkie słowa – myśli Quéré, a ból rozsadza mu głowę. Chwyta się krawędzi stołu, żeby nie stracić równowagi. Przez dłuższą chwilę stoi pochylony, nieruchomy niczym uschnięte drzewo. „Idiotka! Jest idiotką!” To migoce przed oczami niczym kolorowy neon.

Decyduje się na otwarcie listu.

Szanowna Pani!

Nim zacznie Pani czytać mój list, radzę przyjrzeć się uważnie dołączonej fotografii...

Przybliżają do oczu. Mój Boże! To on. To rzeczywiście on. Co do małego krzyżyka, trzyma go jeszcze w najgłębszej przegródce portfela. Więc wszystko skończone. To musiało nastąpić. Gwiżdże na list. Z góry wie, co może zawierać. Przerzuca go niezbyt uważnie. To mały Ronan z tamtych czasów zadreczęza go! To on wymyślił tę

bezsensowną historyjkę o donosie. Quéré przypomina sobie, rzecz jasna, wydarzenie przy konfesjonale.

Jest jeszcze trochę kawy w ekspresie. Zimnej i gorzkiej. Quéré pije powoli. Przepięła się czara niesprawiedliwości. Ów nieszczęsny Ronan kompletnie się myli. Fantazjuje jak zwariowany. A jednakże, w trudny do wyjaśnienia sposób ma rację. Kto podpowiedział mu owo straszliwe zdanie: „Kiedy kapłan zaczyna zdradzać, już nic go nie może powstrzymać”?

Minęła pierwsza. Zaczyna mu być trochę zimno. Ma absolutną pewność, że Helena nie wróci. Schroniła się gdzieś, w hotelu albo u jakiejś przyjaciółki. Wszelka z nią dyskusja jest zbędna. Oto właściwe słowo! Zbędna! Zbędność wszystkiego! Aby się czymś zająć, Quéré rzuca okiem na szafy na ubrania. Nie ma walizki. Zniknęły suknie Heleny. Choć niezupełnie. Na wieszaku pozostała jedna – szydercza zjawa. Quéré krąży bez celu po pokoju. Ponownie czyta list Ronana. Ze wszystkich, niezwykle ważnych dla chłopca wydarzeń – anonimowy donos, aresztowanie, samobójstwo tej biednej dziewczyny – dotarło do niego wówczas jedynie wątłe echo. Nie miał czasu ani ochoty na czytanie gazet i słuchanie radia. Przechodził okropny kryzys świadomości, od którego kulił się w sobie, głuchy na zewnętrzny świat. A po opuszczeniu miasta w całości odrzucił swą przeszłość, wszelkie wspomnienia.

Kawa pobudziła pragnienie. Pije pełną szklankę wody, po czym machinalnie zapala papierosa. Nie będzie miał nawet możliwości obrony. Dla Heleny stał się... Ach! Boi się o tym myśleć. Co robić? Czekać przed zakładem fryzjerskim, usprawiedliwiać się na ulicy, idąc dwa kroki za nią niczym żebrak? Rośnie w nim bunt.

W końcu co, nie jestem przecież kryminalistą! Tylko durnie...

Świt wyostrza kontur okna. Musi znaleźć się jakieś rozwiązanie. Zawsze można spróbować... Quéré wyciąga z szuflady papier. Odsuwa filizanki, ekspres, paczkę sucharków i zaczyna pisać:

Drogi przyjacielu!

Przytrafiła mi się rzecz przerażająca. Nie jestem w stanie wyniszczyć sprawy. Oto dwa listy, które właśnie otrzymałem. Potwierdziły się moje obawy. To pan miał rację. Byłem szalony nie wyznając Helenie prawdy we właściwym czasie, a teraz ona

odeszła. Lecz pozostaje mi drobna nadzieja, Wkrótce spotkam się z Hervé, by przedstawić mu sprawozdanie z podróży. Na pewno wie, jak odnaleźć swego starego przyjaciela. Pomoże mi uzyskać od Ronana de Guer zgodę na spotkanie. Będę pana informował. Chciałbym, aby pan zgodził się napisać do Heleny, kiedy sprawa zacznie się wyjaśniać. Darzy pana szacunkiem. Jeśli zapewni ją pan, iż jestem niewinny i że obecnie z przyzwoitych pobudek wielu księży przyzywa bolesny kryzys wiary, być może uwierzy. A nie zachowałby pan dla mnie przyjaźni, gdyby uważał pan, że zdolny jestem zdradzić tajemnicę spowiedzi. To jest najistotniejsze. Lecz gdzie w owej sprawie, bardziej głupiej niż ohydnej, można dostrzec rękę Opatrzności?

Dziękuję. Serdecznie panu oddany
Jean-Marie

Ronan czeka na Hervégo. Popija miętowy napój, patrząc na grających w bilard. Hervé jeszcze mu nie powiedział, dlaczego wyznaczył to spotkanie w Café du Thabor. Tylko karteczka: „Będę w Café du Thabor o jedenastej. Koniecznie musimy porozmawiać”. Z pewnością chodzi o Quéré. List bez wątplenia dokonał spustoszeń.

Ronan spostrzega przeciskające się za autobusem porsche. Chciałby już wiedzieć. Rozwód winien wisieć w powietrzu, chyba że młoda kobieta jest zupełnie pozbawiona charakteru. Po chwili wchodzi Hervé, szuka przyjaciela, zauważa go i podnosi rękę. Na cześć słońca wystroił się dziś w wytworny, bardzo jasny garnitur i błękitny krawat. Jak zwykle nienaganny, ten Hervé!

– Cześć! Co zamawiasz?

Hervé rozsiada się na ławie.

– To samo co ty – odpowiada.

I natychmiast przystępuje do rzeczy.

– Quéré zostawił mi wiadomość. Opuściła go żona. Słuchaj! Nie rób fałszywej miny. Doskonale wiesz, o co chodzi. Napisałeś do niej.

– Zgadza się.

– Wspomniałeś, że Quéré był naszym katechetą, że na ciebie doniósł, wszystko.

- Zgadza się.
- Wysyłając list wiedziałeś, co się zdarzy?
- Oczywiście.
- A więc teraz musisz być zadowolony?
- Nie.
- Czegóż jeszcze chcesz?
- Sprzątnąć go.
- Mówisz poważnie?
- Najzupełniej.
- Nie masz już dosyć więzienia?
- To moja sprawa.

Kelner przynosi szklankę, w której kawałek lodu unosi się w soku pięknego, szmaragdowego koloru. Hervé rozmyśla.

- A więc to tak – odzywa się w końcu. – Pięknie mnie wyprowadziłeś w pole!
- Po to przyszedłeś, żeby mi robić wymówki? Poczekaj. Nic nie mów. Sam odgadnę. Chciałbyś zrećnie się wycofać, bo sprawy przybierają zły obrót?

Hervé wzrusza ramionami.

- Gdybym wiedział!
- Zostawiłbyś mnie na lodzie – kończy Ronan. – Jak niegdyś w sądzie.
- Na Boga – unosi się Hervé – nie będziesz chyba wyjeżdżał z przeszłością przy każdej sposobności?

– Jaką przeszłością? – pyta Ronan. – Właśnie zostałem zadenuncjowany. Właśnie straciłem Katarzynę. Przeszłość nie istnieje. Odejdź! Już cię nie potrzebuję. Przyszedłeś zaproponować mi pokój. Czyż nie? Żałuję.

- Nedorzeczność. Jesteś niedorzeczny.
- Dobrze. Jestem niedorzeczny, ale go zabiję. Przekaż mu to.
- Nie można już z tobą rozmawiać.
- Nie. Odejdź!
- Biedny stary!

Hervé wstaje, przetrząsa kieszenie, rzuca na stół banknot, który Ronan odsuwa grzbietem dłoni.

- Ja płacę – burczy stanowczo – przyzwyczailem się.

* * *

Drogi przyjacielu!

Odbyłem wczoraj długą rozmowę z Hervé Le Dunff. Starał się przekonać Ronana. Na nic. Wydaje się nawet, że Ronan chce mnie zabić. To wszystko jest takie szalone, jakby mi się przysniło. Ów nieszczęsny Ronan święcie wierzy, że na niego doniosłem. A co gorsza, Hervé również tak uważał.

– Niech pan spróbuje postawić się w moim położeniu – powiedział. – Nikt nie mógł wiedzieć, kto zabił komisarza Barbiera. Absolutnie nikt. Rzecz jasna z wyjątkiem pana, jako że Ronan wyznał to na spowiedzi. Kiedy został aresztowany, zadawaliśmy sobie pytanie: który z nas powiedział? Lecz szybko uzyskałem niezachwiane przekonanie, że nie był to nikt z naszej grupy. Kto zatem? Ronan wyjawiał mi to w dniu, gdy odwiedziłem go w więzieniu. Pan, jedynie pan.

- Ja, kapłan?!
- Ale już nie na długo.
- A więc niegodziwy kapłan. Czyż nie tak?

Bardzo był biedak zakłopotany. Ja również byłem do tego stopnia wzburzony, że zapomniałem o najważniejszym strapieniu. Rzekłem:

– Znał mnie pan przecież!

– Tak. I targaly mną wątpliwości. Zdarzały się dni, kiedy byłem przekonany o słuszności oskarżenia, i inne, kiedy niemal na pewno uważałem, że Ronan się myli. W końcu wykreśliłem z pamięci całą tę historię. Miałem co innego do roboty.

Nalegałem:

- A kiedy spotkaliśmy się w metrze. Mógł pan mnie nie spostrzec.
- Dlaczego!? Miałem dużo czasu, by się zmienić. Pan także.

Nie było to zbyt przekonujące. Czuję, iż coś przede mną ukrywa, lecz nie chciałem dać mu tego po sobie poznać. Istnieją zresztą ludzie, którym do przebaczenia wystarczy czas. Przyznaję, że jestem ulepiony z innej gliny. I Ronan również! Zadowolilem się stwierdzeniem – skracam, ponieważ nie od razu ustąpił:

– Daję panu słowo honoru, że nigdy nie zaszkodziłem Ronanowi. Nastąpił jedynie przedziwny zbieg okoliczności. Wyleciały mi już z głowy daty, ale musiałem opuścić Rennes niemal dokładnie w chwili, gdy Ronan został aresztowany. Nie miałem z tym aresztowaniem nic wspólnego.

- A więc kto? Gdybyśmy mogli się dowiedzieć, Ronan zachowałby spokój.
- Pomyślmy! Do kogo Ronan miał całkowite zaufanie?
- Do pana. I naturalnie Katarzyny.
- To wszystko? Ale wówczas... Skoro nie ja!

Hervé spojrzał na mnie z przerażeniem.

- Nie. To nie może być ona, przecież zamierzali się pobrać.
- Czy wiedziała?
- Jedynie Ronan potrafiłby odpowiedzieć. Lecz jeżeli by jej oznajmił: „Zabiję Barbiera”, przeszkodziłaby mu w tym.

Pocziwy Hervé. Ma ogromny talent do zarabiania pieniędzy, ale nie rozumie ludzkiej natury.

– Pańskim zdaniem – spytałem – niczego przed nią nie ukrywał? Wiedziała z pewnością, że nienawidzi Barbiera.

– Z pewnością.

– Oto mamy dziewczynę, która kocha Ronana, chce związać z nim życie, która wie już, być może, iż jest w ciąży i obawia się wybryków kochanka czy, jak pan woli, narzeczonego. Czyż nie byłoby rzeczą normalną, że każe mu obiecać zaniechanie wszelkich działań przeciw policjantowi? A wtedy mógłby ustąpić i złożyć przyrzeczenie. Wydaje się to panu prawdopodobne?

– Tak.

– Obiecałby zatem, ale jako osoba zawzięta zapomniałby o obietnicy. Nie ma innego rozsądnego wytłumaczenia. Skoro nie ja, w takim razie ona.

Wiedziałem, że Hervé nie stawia już oporu. Z tego punktu widzenia sprawa była jasna. Nie miałem żadnych wątpliwości. Można zrozumieć gwałtowną reakcję zrozpaczonej dziewczyny.

– Pasowałoby to do pozostawionego przez nią listu – podjął Hervé. – Nie pamiętam dokładnie treści... „Nigdy ci nie wybaczę. Jesteś potworem...” Wie pan, o co chodzi.

Przytaczam panu niemal w najdrobniejszych szczegółach naszą rozmowę po to, by poczuł pan, jak bardzo byłem wstrząśnięty. Znacznie wcześniej niż Hervé zrozumiałem, że na nic zda się przekonywanie Ronana. Katarzyna stanowiła dla niego świętość. Mnie zatem wyznaczył na winnego. To mu odpowiadało. W zakamarkach duszy chował

coś, czego istnieniu uparcie zaprzeczał. Piszę przykre rzeczy, lecz z pełnym przekonaniem. Ronan jest, niestety, wiecznie jątrzącą się raną, a ja dobrze wiem, co to oznacza.

- Czy mam z nim porozmawiać? – zapytał Hervé.
- Skoczyłby panu do gardła.
- Trzeba jednak coś zrobić.
- Niech pan da spokój.
- Jest zdolny uciec się do najbardziej gwałtownych środków.
- Przemyszę wszystko. Miałem dosyć tej gadaniny.
- Ponieważ jest pan niewinny – powtarzał – niechże pan nie pozostaje beczynny.

Byłoby to doprawdy głupie!

Przerwałem mu w pół słowa i, żeby go uspokoić, a także żeby mu pokazać, że mimo wszystko nie widzę przyszłości w czarnych barwach, obiecałem obsługiwać kolejne wycieczki. Wstąpiłem na pewny teren. Na jego twarzy odmalowała się ulga. Cóż miałbym innego zrobić? Pójść na policję? Ukrywać się? Napisać do Ronana wyjaśniający list? Poruszyć niebo i ziemię, by odnaleźć Helenę, kiedy ściga mnie szalenciec? Jednym słowem bronić się? A ja właśnie nie mam ochoty się bronić. Czuję to bardzo wyraźnie. Niełatwo wyjaśnić panu dlaczego. W pewnym sensie nie występuję wraz z Hervé przeciw Ronanowi. Jestem z Ronanem przeciw samemu sobie. Bowiem odkrywam nagle, że z pewnością miał o mnie naiwne, lecz wzniosłe i czyste wyobrażenie. Byłem księdzem, a zatem opoką twardą jak skała. Przyszedł do mnie z takim ogromem zaufania, że zmuszony jestem nazwać to wyznaniem wiary. Całkowitej, absolutnej wiary. Tym, czym winna być wiara. Ważę słowa: uczynił mi honor wierząc, że jedynie przede mną może się całkowicie otworzyć, że mogę wszystkiego wysłuchać i wszystko przebaczyć. A ja zniknąłem. Uciekłem.

Odtąd w jego oczach byłem zdolny do najgorszego. Tak wygląda prawda! Dla Ronana nie ma pośredniej drogi. Gdyby mu oświadczyć, że nie mogłem go wydać, odpowiedziałby: „Dlaczego nie! Czyż nie zrzucił sutanny?! I niemal identycznie rzecz wygląda z Heleną. Są oboje wiernymi, dla których nie istnieje kompromis z własnym sumieniem. Rozstrzelać! Wierni...! Widzi pan przewagę, którą posiadają nade mną. Jestem dla nich tym, który wywołuje skandal. I ja teraz miałbym starać się przemówić Ronanowi do rozsądku, dać mu do zrozumienia, iż pomylił się co do osoby winowajcy! Miałbym odebrać mu Katarzynę. To tak, jakbym miał go zabić.

Ale jeżeli on mnie zabije? Chyba należy zdać się na to, co niegdyś tak jak pan nazywał Opatrznością. Sam nie wiem. Podobny jestem do wywracanej przez rybaka jak rękawiczka ośmiornicy, która dogorywa – lepka, kleista, splamiona galaretowatymi pręgami. Nie mogę już. Niech wydarzenia potoczą się własnym torem. Nie do mnie należy wybór.

Podziękowałem Hervému za wszystko, co dla mnie zrobił. Przywołał na twarz uśmiech, by mi powiedzieć:

– Ostatecznie nie przesadzajmy. Może Ronan chciał nas tylko przestraszyć. Może niepotrzebnie wpadamy w popłoch.

Tak przemawia się do nieuleczalnie chorego. Wszelako, dręczony resztkami skrupułów, dorzucił:

– Ale ostrzegałem pana. Niech się pan ma na baczności!

Kochany chłopiec! Chciałby czuć się dobrze – duchowo i fizycznie. Musi mieć szeroko skrojone sumienie, niczym wytworny, zwiewny strój. Może być spokojny! Nie wyrzucam mu, iż jest tym, kim jest: osobą uprzejmą i egoistyczną. Jakim prawem mógłbym go sądzić. Jest moim przełożonym!

Nie mam pojęcia, kiedy znów do pana napiszę. Może już nigdy. Proszę, by nie opuszczał mnie pan w myślach. To pomoże mi kroczyć przed siebie.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Jean-Marie

Ronan odczytuje swój list:

Droga mamo!

To nie twój mąż (mimo swego zawodu) był wojownikiem. Byłem nim ja. Pozostało mi do spełnienia ostatnie zadanie. Mam niezłomny zamiar doprowadzić je do końca. Potem uwolnię cię od mej obecności. Pewnie pomogła ci ona umocnić chrześcijańskie cnoty, ale z czasem straciłabyś trochę owego miłosierdzia, którego świat ci zazdrości. Co do mojej ostatniej woli, wypowiem ją, choć z góry wiem, iż nie będzie uszanowana

– *chciałbym zostać pochowany obok Katarzyny.*

Żegnaj. Pozwalam ci myśleć, że odejdziesz w przystępie ostatniego ataku szaleństwa. To ułatwi zachowanie pozorów. Całuję

Ronan

Wkłada list do koperty, nalepia znaczek. Za kilka godzin wyśle go z Paryża. Kiedy dotrze pod wskazany adres, wszystko się rozstrzyga i. Sprawdza pistolet, wsadza go do małej walizki. Ostatnie spojrzenie na gabinet i pokój. Wychodzi. Ruszył w drogę.

Podróżni wchodzą kolejno do autobusu pośród radosnego gwaru. Stojący obok Quéré Germain przerzuca listę: czterdziestu dwóch klientów. Kilku Belgów, niemieckie małżeństwo i reszta – pragnący uniknąć wakacyjnego tłumu emeryci... Duthoit, Martin, Gaubert, Peralta, de Guer... Quéré unosi wzrok. De Guer! Ronan wybrał już miejsce w tyle autokaru i spogląda na uliczny ruch. Pod surową maską wychudzonej twarzy – w przebłyskach, jakby podczas zabawy w chowanego – Quéré odnajduje młodzieńca z dawnych lat. Serce wali mu jak młotem. Jeżeli pojawił się Ronan, to z pewnością... Nie może już wysiąść. Za późno.

– Gotowy? – pyta kierowca Germain.

– Gotowy! – odpowiada Quéré.

Silnik volvo został wprawiony w ruch i długi, luksusowy niczym pulmanowski wagon pojazd oddala się od chodnika. Na razie wszelka dyskusja byłaby stratą czasu. Quéré zadawała się przejściem po autokarze i sprawdzeniem biletów. Podchodzi do Ronana, który już wcześniej wyjął z portfela otrzymane w biurze podróży dokumenty. Krzyżują się ich spojrzenia. Obojętny Ronan obrzuca go nieobecny wzrokiem i natychmiast odwraca głowę. Okazanie najmniejszego zainteresowania mogłoby zachwiać niezłomnym postanowieniem. Quéré rozumie, iż jakikolwiek kontakt nie jest możliwy. Ronan siedzi przed nim, równie bezosobowy, równie nieludzko oziębły, jak zaprogramowana na konkretną godzinę maszyna.

Quéré wraca na miejsce. Płacą mu przecież za ściśle określoną pracę. I wykona ją, mimo wzburzenia i oblewających go potów. Bierze mikrofon i przekazuje

najważniejsze informacje: pierwszy postój w Argentan, potem przez Domfront i Mortain przyjadą do Pontorson i Mont-Saint-Michel. Zwiedzanie Merveille, kolacja i nocleg w hotelu „Central” w Saint-Malo. Nazajutrz spacer po mieście, obiad w restauracji „La duchesse Anne” i czas wolny do szesnastej. Następnie wizyta w elektrowni wodnej przy ujściu Rance. Kolacja i nocleg w hotelu „Bellevue”. A w niedzielę wycieczka statkiem w okolice Dinard, obiad w Dinan w restauracji „Marguerite”. Wieczorem powrót do Paryża przez Bagnoles-de-l’Orne, ostatni postój w Verneuil. Jego słowa wywołują pełen zadowolenia szmer.

– Może pan zaczynać – mówi Germain, kiedy autokar mija Wersal – niech im pan trochę opowie o Normandii, dla stworzenia atmosfery. Po przerwie na siusiu każemy im zaśpiewać chórem.

Uwielbiają to. Jadą, żeby się zabawić.

Quéré potrafi mówić. Nim został szkolnym katechetą, był wikarym w Saint-Helier. Szybko nakreśla historię Argentan i opowiada kilka ciekawostek z historii walk o wyzwolenie, które zniszczyły wiele zabytków, między innymi wieżę obronną i kościół. Ronan zdaje się spać, lecz Quéré czuje, iż pilnie wsłuchuje się w każde słowo. Kiedy zdecyduje się na działanie? I w jaki sposób? Dobrze sobie musi zdawać sprawę, że nieprzyjacieli wciąż będzie otoczony przez turystów.

Autokar nabiera szybkości. Dojeżdża do Argentan i zatrzymuje się na placu Champ-de-Foirè, naprzeciw Café des Platanes, Quéré wychodzi ostatni, upewniwszy się, że Ronan jest daleko, w towarzystwie wesoło rozprawiających starszych pań.

– Łatwo się z nimi pracuje – mówi Germain – ale nich pan nie opowiada zbyt wiele o historii, tak jak ostatnim razem. Na ogół zasypiają w trakcie, w każdym razie nudzą się śmiertelnie. Proszę nie zapomnieć napomknąć o żarciu. Regionalnych przysmakach. Sola w śmietanie... Kieliszeczek między jednym a drugim daniem... Niech im się wydaje, że odbywają szaloną podróż. Spójrz pan na nich. Ledwie wyjechaliśmy, a już niektórzy zaczynają popijać!

Ronan, opierając się łokciami na kawiarnianym stoliku, pije również, ale wodę Vichy z ćwierćlitrowej butelki. Quéré myśli, iż mógłby podejść i powiedzieć: „Raz na zawsze wyjaśnimy całą sprawę”. Lecz autokar ma za chwilę wyruszyć, a poza tym Quéré coraz bardziej utwierdza się w przekonaniu, iż daremne byłoby wszelkie tłumaczenie.

Co mianowicie wyjaśniać? Do jakiego dojść porozumienia? Jakie uzyskać przebaczenie? Jak odwrócić bieg wypadków?

Germain klaszcze:

– W drogę!

Ronan wraca na swoje miejsce w tyle.

Może chce mnie jedynie przestraszyć – mówi do siebie Quéré. Włącza mikrofon.

– Drodzy przyjaciele, zaraz przejedziemy przez Mortain. To bardzo ładne miasteczko, leżące nad wąwozem Canee...

Ronan przymyka oczy, jego spokojna obojętność jest gorsza od pogrózek.

– Kościół Saint-Evrault zbudowany w trzynastym wieku...

Autokar zwalnia. Pasażerowie widzą przewrócony samochód, policjantów w pobliżu karetki pogotowia. Świetna okazja, by zatrzymać pojazd, wskazać Ronana; niech go przeszukają. Z pewnością ma przy sobie broń. Ale to jedynie strzępy myśli, niczym dym unoszące się na drugim planie wygłaszanych komentarzy.

– Położona na wysepce góra Saint-Michel wznosi kościół na wysokość sześćdziesięciu ośmiu metrów.

Quéré często bywał na górze Saint-Michel, oddawał się tu modlitwie. Chodził po klasztorze, szukając ukojenia. A teraz, im bardziej zbliżają się do morza, tym większą odczuwa słodycz spokojnej agonii. Jak chory na raka otepiąły od zażywania morfiny. Germain, który też ma mikrofon, krzyczy:

– Krótka piosenka, dajmy nieco odpocząć naszemu przewodnikowi. La Paimpolaise, wszyscy razem!

Pasażerowie zaczynają śpiewać. Ronan trwa nieporuszony. Ledwie otworzył oczy, by zorientować się w terenie. Autokar wjechał przed chwilą na drogę 176 i za szarą, rozległą przestrzeń, tu i ówdzie połyskującą jak cyna, ukazała się góra. Mała z tej odległości, bardziej przypomina ginący we mgle żaglowiec, niż wysoką skałę.

Ronan wyprostowuje się. Nareszcie jest u siebie. Tutaj konflikt nabiera prawdziwego znaczenia. Dobiegające zewsząd okrzyki podziwu omal nie doprowadzają go do wybuchu wściekłości. Autokar staje przy Królewskiej Bramie i pochód, z Quéré na przedzie, wkracza na główną ulicę.

Może się w końcu do mnie odezwie – myśli Quéré. Lecz Ronan kroczy na samym końcu. Jednakże z całą pewnością gdzieś nastąpi spotkanie, gwałtowna wymiana

zdań. Ronan uderzy bez wątpienia, ale nie przed wypowiedzeniem tego, co mu leży na sercu.

– Strzelista wieżyczka opactwa, sto pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza... Z pierwotnego klasztoru pozostały...

Quéré słucha cierpliwie monologu zatrudnionego w opactwie pracownika. Strach zagnieździł się w nim niczym odwieczne zmartwienie. Mały orszak wolno posuwa się od sali jałmużników i piwnic do sal gościnnej i rycerskiej. Zrobiono dosyć długą przerwę na podziwianie ogrodów. Jak okiem sięgnąć, za murami obronnymi Couesnon, rozciągają się melancholijne, bezkresne przestrzenie piaszczystego mułu, który w bladym świetle dnia zlewa się z morzem, tworząc wąską, białawą obwódkę jego konturu.

Ronan rozmyśla. Ręce położył płasko na porosłej mchem drewnianej balustradzie. Zdaje się być coraz mniej groźny. Kiedy grupa szykuje się do opuszczenia Merveille, jedna ze starszych pań jest zmuszona zwrócić się do niego osobiście, by wreszcie dołączył do towarzyszy podróży. W drodze powrotnej wlecze się na końcu, mija domy z okazałymi fasadami i sklepy z pamiątkami. Najwyraźniej nudzi się w otoczeniu turystów, których głupawe zdumienie, okazywane na każdym kroku, denerwuje go. Germain wpuszcza podróżnych i autokar rusza w kierunku Saint-Malo.

– Nie może pan zapomnieć o korsarzach – mówi kierowca do Quéré. – Na Chateaubrianda to oni gwizdzą.

Quéré zaczyna opowiadać o życiu Surcoufa. Nie spuszcza z Ronana wzroku.

Musi mieć mi za złe, że robię przed paryżanami za błązna – myśli.

Kiedy siedzi odwrócony do drogi plecami, po jego lewej stronie zaczyna wyłaniać się zielone, pokryte grzywami fal morze. Podziwiający ów widok pasażerowie słuchają nieuważnie. W oddali pojawiają się mury Saint-Malo. Po chwili autokar jedzie ciągnącym się wzdłuż brzegu oceanu bulwarem. Czarne, przegniłe, służące za falochron pale wystają ponad długą poręcz, która zabezpiecza promenadę.

– Drodzy przyjaciele – mówi Quéré – dojeżdżamy na miejsce.

Miniemy dwie ogromne wieże: Generale i Quiqengrogne. Zbierzemy się przy hotelowej recepcji i powiem, jakie mają państwo numery pokojów. Ale proszę jeszcze siedzieć. Mamy czas. Oto zamek. A po lewej stronie przystań statków spacerowych. Pojedziemy główną ulicą... i już jesteś my na miejscu.

Autokar staje przed hotelem i pasażerowie zaczynają wysiadać. Germain wraz z bagażowym wyjmują ze schowka walizki.

Recepcjonistka wręcza Quéré telegram. Szybko go otwiera.

Helena odnaleziona. Pod moją opieką. Pozdrowienia. Hervé.

Ale już nadchodzą podróżni. Gdzie się podział Ronan? Zagłębiony w fotelu czyta turystyczny prospekt. Quéré zabiera się za wyznaczanie klientom pokojów, co nie jest łatwe. Od czasu do czasu powtarza sobie: „Helena odnaleziona. Helena odnaleziona”. Czy oznacza to, iż zgodziła się do niego wrócić?

- Prosiłam o dwuosobowy pokój.
- Zaraz to wyjaśnimy, proszę pani. Przepraszam.

Hol powoli opróżnia się. Ronan zniknął. Germain siedzi przy barze nad kuflem piwa. Wyczerpany Quéré idzie do swojego, skromnie umeblowanego pokoiku na czwartym piętrze, przez mansardowe okno, ponad obronnymi murami, wzrok sięga masztów i kawałka nieba, pod którym przelatują mewy. Wyciąga się na łóżku. Nie ma sił wypakować rzeczy z walizki. „Helena odnaleziona”. No i co dalej?... Zasnąć!... Zapomnieć!... Aż wykrzywia ze zmęczenia twarz, lecz wstaje i zasiada przy malutkim stoliku, między umywalką a szafką. Znajduje kilka kopert i kartek z nagłówkiem hotelowym. Zaczyna pisać:

Drogi przyjacielu!

Przyjechałem do Saint-Malo. Ronan znajduje się wśród uczestników wycieczki. Z telegramu od Hervégo dowiedziałem się, że odnalazł moją żonę. Lecz nie mam zamiaru walczyć o małżeństwo i życie. Wobec fanatyków pozostaję bezsilny. Mogę jedynie uczynić im dar z mojego milczenia. Tylko na taki dobry uczynek mnie stać. Niech mają tę swoją prawdę! Chcę, by uważali mnie za łajdaka. Chcę umrzeć w grzechu. Później, jeżeli nadarzy się sposobność, zechce pan przekazać Helenie, iż w istocie nie byłem takim nikczemnikiem. Dziękuję. Żegnam.

Z całego serca
Jean-Marie

Zakleja kopertę, starannie kreśli adres:

Dom Hilaire Mermet

Opactwo de La Pierre-qui-Vire

89830 Saint-Léger-Vauban

Następnie zapala papierosa, z rękami założonymi na plecach robi kilka kroków.

Niczego nie jestem pewien – myśli. – Nie jestem nawet pewien, czy przed samym sobą nie odgrywam komedii. Z przegródki portfela, do której zwykł wsadzać dowód osobisty, wyciąga mały, srebrny krzyżyk, niegdyś noszony w klapie. Podrzuca go w dłoń, po czym przypina do marynarki. Patrzy na swoje odbicie w lustrze.

– Nieszczęsny błazen! – mówi głośno.

Nagle dzwoni stojący przy łóżku telefon. Z pewnością jeszcze jeden niezadowolony klient. Podnosi słuchawkę, słyszy głos portiera.

– Pan Quéré? Jakiś pan pyta, czy może pana odwiedzić.

– Kto?

– Pan Ronan de Guer.

Quéré milczy

– Czy może wejść? – nalega portier.

– Zgoda – szepcze Quéré.

Już! Już czas. Gdybym choć wiedział, kim jestem – myśli Quéré. Ze wszystkich sił wytęży słuch. W oddali wyraźnie słyszy szum windy. Kubina stanęła na jego piętrze. Czuje chłód. Mięka wykładzina na korytarzu tłumi odgłos kroków. Pukanie do drzwi. Podrywa się. Ma do przebycia dwa metry. Składa dłońe.

– Mój Boże, nie wiem, czy tam jesteś.

Postępuje trzy kroki, zatrzymuje się, przeciera ręką oczy.

– Panie, jeżeli tam jesteś, działaj szybko.

Otwiera drzwi.

Kula przeszywa mu serce.